



Elizabeth Rolls



Na przekór zasadom

Rozdział pierwszy

Julian Trentham, wicehrabia Braybrook, ugryzł się w język, choć tylko w znaczeniu przenośnym, i powtórzył sobie w myślach radę swojej macochy Sereny, która uważała, że takt to jedyna skuteczna droga postępowania z jego krnąbrną przyrodnią siostrą. Jednak kwitując zachowanie Lissy stwierdzeniem, że słucha się jej jak kiepskiej aktorki obsadzonej w grafomańskiej tragedii, taktownie na pewno się nie zachował.

- To nie w porządku, mammo! - zaperzyła się Alicja. - Julian poznał Harry'ego dopiero wczoraj i rozmawiał z nim pięć minut, a do tego...

- Pół godziny - stwierdził Julian, siadając na sofie. - Czyli wystarczająco długo, aby się przekonać, że nie ma dla niego żadnych perspektyw oprócz nadziei na stanowisko sekretarza sir Johna.

Kątem oka spostrzegł, że Tybalt szykuje się do skoku z kolan Sereny. Ten przeklęty zwierzak był przekonany, że Julian uwielbia koty. Naturalnie nie mógł bardziej się mylić.

- Pięć minut! - powtórzyła Lissy. - Po tym czasie biedny Harry został uznany za osobę nieodpowiednią, cokolwiek to znaczy.

- Między innymi znaczy to tyle, że doprowadziłabyś biedaka do bankructwa w ciągu miesiąca - orzekł niewzruszony Julian. - Bądź rozsądna.

Bury kot przeciągnął się, wlepiając w niego lśniące zielone ślepia.

- Nie mam zamiaru! - odparła Lissy, piorunując go wzrokiem.

- Lissy, kochanie - wtrąciła się Serena. - Jestem przekonana, że uroczy, pełen ogłady pan Daventry może... - Szybkim gestem próbowała przytrzymać kota, ten jednak już zeskoczył jej z kolan. - Ojej... Zaraz, o czym to ja mówiłam? Aha, o panu Daventrym. Otóż jestem pewna, że nie należy on do ludzi dobrze sytuowanych, więc...

- Czymże są pieniądze? Poza tym on ma źródło dochodu! - zaprotestowała Lissy.

- Dwieście funtów rocznie? - Julian z trudem powstrzymał pogardliwe parsknięcie.

- Co prawda, pieniądze rzeczywiście są bez znaczenia, ale najpierw musiałabyś się nauczyć, jak bez nich żyć. Inaczej wkrótce przekonasz się boleśnie, że jednak jakieś zna-

czenie mają. Na przykład kiedy komornik przyjdzie ci zabrać zajęte meble, a właściciel wynajętego mieszkania po prostu wyrzuci cię na bruk.

- Harry ma własny dom w Bristolu - odparła Alicja. - Sam mi o tym powiedział.

- Czyli jest właścicielem dóbr - stwierdził Julian.

Popatrzył zrezygnowany na kota, który zbliżał się do niego bardzo pewnym krokiem. Seterka Juliana, Juno, wyciągnięta u stóp pana, uniosła na chwilę głowę, opuściła ją jednak z powrotem, wydając przeciągłe westchnienie.

- Ja tam nie ożeniłbym się z Lissy - piskliwym głosikiem oznajmił z kąta sześciolatni Davy, który właśnie usiłował ułożyć łamigłówkę z mapą Europy. - Ożenię się z mamą.

Julian zdołał zachować powagę.

- To wspaniały pomysł, przyjacielu - powiedział. - Musisz jednak uważać, żeby nie trafić za to prosto do więzienia.

Lissy wydawała się bliska wybuchu śmiechu, nie mogła sobie jednak na to pozwolić, bo pilnowała, aby na jej twarzy odmalowała się stosowna uraza.

Kot wskoczył Julianowi na kolana i usadowił się wygodnie. Nawet trochę za wygodnie, bo jego wysunięte pazury pokancerowały Julianowi piękne spodnie z koźlej skórki.

- Nie martw się, kochanie - zwróciła się lady Braybrook do najmłodszego syna. - Kiedy podrośniesz, już nie będziesz chciał się ze mną ożenić.

- To prawda - przyznał Julian. - Lissy też już nie chce, abym został jej mężem. Mam rację?

- Nigdy tego nie chciałam! - odparła ze złością.

- Oświadczyłaś mi się, kiedy miałaś mniej więcej pięć lat - przypomniał jej Julian.

- To było wzruszające. - Zwrócił się do Davy'ego. - Może pójdziesz do kuchni i zobaczysz, czy Ellie nie ma dla ciebie czegoś do zjedzenia?

Davy zerwał się jak oparzony, rozrzucając Europę po całym salonie, i znikł za drzwiami, zanim matka zdążyła zawetować ten znakomity pomysł, powołując się na zasady dobrego wychowania lub groźbę niestrawności.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za chłopcem, Lissy ponownie zabrała głos.

- To nie jest w porządku, Julianie! Dlaczego właściwie wypowiadasz się na ten temat?

- Pewnie dlatego, że pełnię funkcję twojego prawnego opiekuna - odrzekł. - To niewątpliwie kara za grzechy - dodał. - Uspokój się, Lissy. Jesteś stanowczo za młoda, żeby myśleć o małżeństwie.

- Przecież wkrótce skończę osiemnaście lat! - wykrzyknęła takim tonem, że zabrzmiało to jak wyrok śmierci.

- Niecałe trzy miesiące temu skończyłaś siedemnaście - zwrócił jej uwagę Julian. - Staropanieństwo na razie ci nie grozi.

- Ciekawe, co byś mówił, gdyby chodziło o jednego z twoich bogatych, utytułowanych przyjaciół? - nie poddawała się Lissy. - Na przykład o lorda Blakehursta.

- Ponieważ jest żonaty, zastrzeliłbym go bez wahania. Możesz mi nie wierzyć, ale w twojej sprawie nie zgodziłbym się na żadne wiążące zobowiązania przynajmniej do przyszłego roku.

Kot na jego kolanach przewrócił się na grzbiet i podstawił pokryty futrem brzuch do pieszczot. Zrezygnowany Julian zastosował się do jego sugestii.

- Ale dlaczego? - Lissy przyjrzała mu się okrągłymi ze zdziwienia oczami.

- Ponieważ jesteś za młoda - powtórzył. - Nie próbuj powtarzać, że masz już prawie osiemnaście lat!

- Ale my się kochamy - oznajmiła z mocą Lissy. - To nie jest w porządku. Jedyne dlatego, że on nie ma znacznego majątku...

- Daventry'ego nie stać na to, by cię poślubić! - To był z jego strony przejaw nadzwyczajnej cierpliwości i szlachetności, że znalazł tak niewinny argument. - Na pewno nie przy takich rachunkach, jakie w zeszłym miesiącu przysłałaś mi z Bath - dodał.

Lissy oblała się rumieńcem. Julian miał nadzieję, że siostra przynajmniej zrozumie, jak pożyteczne bywa zachowanie umiaru w wydatkach.

- Mimo wszystko to nie jest w porządku. Jeśli nie wolno nam się widywać, to...

- Nie zakazałem mu wizyt - odparł zirytowany Julian. - Na miły Bóg, przestań zachowywać się jak bohaterka kiepskiej tragedii!

Serena kaszlnęła, a Julian ugryzł się w język, przypomniawszy sobie poniewczasie o znaczeniu taktu. Aby ratować sytuację, dodał:

- Wydaje się całkiem miłym człowiekiem, więc chyba mogę mu zaufać, że nie przekroczy pewnej granicy.

- Chcesz powiedzieć, że możemy się spotykać?

Spojrzał w oczy Lissy z wielką surowością.

- Jeśli będziecie obecni na tych samych przyjęciach i wieczorkach, to całkiem naturalnie dojdzie do spotkań. Może też odwiedzać cię w domu. Byle nie za często. Nie wolno ci jednak widywać się z nim bez przyzwoitki ani wymieniać korespondencji. Te same warunki dotyczą każdego mężczyzny, który chciałby się do ciebie zalecać, nawet gdyby był Midasem!

- Pewnie wydaje ci się, że jesteś wielkoduszny!

Skinął głową.

- Skoro o tym wspominasz, to wiedz, że tak. Gdybyś zamierzała nazwać mnie tyranem, pamiętaj - podkreślił - że nasz ojciec bez wahania szpicrutą pokazałby temu Daventry'emu drzwi, poszczuł go psami, złożył na niego skargę u jego chlebodawcy, a tobie wydał przynajmniej miesięczny zakaz opuszczania pokoju. Pomyśl o tym, że kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat, stracę wszelkie możliwości przeciwstawienia się twojemu małżeństwu.

Lissy mocno zacisnęła usta, a po dłuższej chwili milczenia powiedziała:

- Gdybyś miał choćby śladowe pojęcie o miłości, Julianie, zrozumiałbyś istotę cierpienia związanego z koniecznością oczekiwania.

Obróciła się na pięcie i wzburzona opuściła pokój.

- Zdawało mi się, że zgodziliśmy się co do taktownego postępowania - odezwała się Serena, lady Braybrook.

- Taktownego? Lissy potrzebuje soli trzeźwiących! - Zirytowany Julian zdjął kota z kolan. - Co ona czytała?

Serena zignorowała pytanie jako całkowicie nieistotne dla sprawy i spojrzała w skupieniu na pasierba.

- Powiedz mi, mój drogi, kiedy miałeś siedemnaście lat...

- Dajmy temu spokój - przerwał jej skwapliwie, przypomniawszy sobie niektóre grzeszki. - Przynajmniej nie chciałem się z żadną ożenić.

Kiedy Serena zaczęła się śmiać, policzki mu poczerwieniały. Tymczasem kot wykorzystał chwilę jego nieuwagi i odzyskał straconą przed chwilą pozycję.

- Tak, tak, pamiętam - przyznała, wciąż się śmiejąc. - Czy Tybalt ci przeszkadza? Możesz go przegonić.

- Kota jakoś wytrzymam - stwierdził, wykrzywiając usta. Zwierzę wprawdzie znowu niszczyło mu spodnie, ale było ulubieńcem Sereny. - Czy naprawdę byłem aż takim utrapieńcem?

- Jeszcze gorszym - zapewniła. - Ilekroć docierały do nas wiadomości o twoich niegodnych postępkach w Oksfordzie, a potem w Londynie, ojciec niezmiennie był bliski apopleksji. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Najgorsza była plotka, że Worcester zamierza wyzwać cię na pojedynek z powodu względów, jakimi darzyłeś Harriette Wilson.

Julian zamrugnął powiekami, zaskoczony bezceremonialną wzmianką o jednym z jego młodzięcych aktów niefrasobliwości.

- Do licha, Sereno, skąd to wiesz?

- O, więc to prawda? Ojcu powiedziałam, że niewątpliwie rzucono na ciebie złośliwą kalumnię, której nie warto poświęcić ani chwili uwagi. Czyżbym się myliła?

- Od niego to usłyszałaś? - Julian w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że ojciec o tym wiedział.

- Naturalnie - odparła zdziwiona Serena. - Inaczej nie zwróciłby się do mnie o radę.

- Zwrócił się do ciebie o radę? - Julian nie umiał sobie wyobrazić ojca rozmawiającego z Sereną na temat związku swojego syna z kurtyzaną.

- Często to robił - wyjawiała rozbawiona Serena. - Nie należy jednak z tego wnioskować, że chętnie stosował się do usłyszanych rad. Świadomie na pewno nie.

Julian uznał temat za zamknięty.

- Hm... Zamierzam pozostać tu do końca lata. W tym czasie niewątpliwie uda nam się uchronić Lissy przed kłopotami, a na zimę Lissy i Emma mają wyjechać do ciotki Massingdale.

- Pozostaniesz w Londynie aż do wznowienia obrad parlamentu?

- Z małą przerwą. W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Bristolu, bo muszę porozmawiać w pewnej sprawie z Modburym. Skoro zaś już się z nim umówiłem, to polecę mu dodatkowo, żeby zasięgnął języka o Daventrym. Na przykład jak jest z tym domem.

- Słusznie, to mnie zaskoczyło - przyznała Serena.

- Modbury powinien czegoś się dowiedzieć o tej nieruchomości - ciągnął Julian. - Ojcem chrzestnym Daventry'ego jest Alcaston, widocznie wyznaczył mu jakąś pensję.

Serena zmarszczyła czoło.

- Alcaston? Masz na myśli księcia?

- Tak. To on zarekomendował Daventry'ego na posadę u sir Johna. - Julian się zafrasował. - Dasz sobie radę podczas mojej nieobecności? Czy jesteś pewna, że nie muszę pisać do ciotki Lydii, aby przyjechała cię wspomóc? Ani... Urwał, czując na sobie spojrzenie Sereny.

- Mogę być przykuta do tego przeklętego fotela, Julianie, ale jak już ci mówiłam, nie znaczy to, że ktoś przez cały czas musi się mną zajmować - powiedziała. - A ponieważ to właśnie robiłaby Lydia, zdecydowanie nie chcę, aby przyjechała z wizytą.

- Zgoda więc - ustąpił. - Ciotka Lydia nie.

Wiedział, że musi pomyśleć o kimś innym, ponieważ kiedy zimą córki Sereny wyjadą do Bath, będzie jej potrzebne towarzystwo. Obdarzył macochę ciepłym spojrzeniem. „Przeklęty fotel”, jak to nazywała, poważnie ograniczał jej fizyczną niezależność. Julian rozumiał powody, dla których Serena kategorycznie odmawiała zgody na przyjęcie pomocy od owdowiałej krewnej. Lydia zrządziłaby na potęgę i nieustannie narzekała na niesprawiedliwość losu.

- Julianie, ja w ogóle nie życzę sobie opieki kogoś z rodziny, niezależnie od jego dobrych intencji.

- Rozumiem. - Czasem zastanawiał się, czy Serena przypadkiem nie potrafi czytać w jego myślach...

Należało więc znaleźć inne rozwiązanie. Najpierw jednak musiał napisać do Modbury'ego.

Rozdział drugi

- Myślę, że wiem, o który dom chodzi, milordzie. Byłem w stanie znaleźć tylko jednego Daventry'ego - poinformował go Modbury. - Nieruchomość przy Christmas Steps.

- I co?

- Jest pewien problem, milordzie. Podobno mieszka tam młoda kobieta... niejaka pani Daventry.

Wielki Boże!

Teraz Julian stał u szczytu Christmas Steps i zastanawiał się, czy nie zwariował, odwiedzając ten zaułek. Uliczka wyglądała jak żywcem przeniesiona ze średniowiecza, a ponieważ była bardzo stroma, jej budowniczy stworzył schody.

- Milord nie może tam iść! - zaprotestował Modbury.

Co on tam wiedział!

Ściskając w ręce parasol, Julian ruszył w dół po śliskich stopniach. Brał pod uwagę dwie możliwości. Albo Daventry ulokował tam ladacznicę, bo przecież zdarzało się, że kobieta używała nazwiska swojego protektora, albo był żonaty. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że to żona, którą dla własnej wygody trzyma na uboczu. Kochanka powinna mieszkać dostatecznie blisko, by można było regularnie ją odwiedzać.

Ciemne schody tchnęły wilgocią, wiatr dzwoniący szyldami niósł odór kapusty, ryb i zepsucia. Nadwieszony nad ulicą piętra starych domów z drewnianymi szkieletami nie dopuszczały tu ani światła, ani świeżego powietrza. Kilka obskurnych tawern stanowiło jedyne świadectwo przeszłości, z jakiej kiedyś znane było to miejsce. Niewielu ludzi kręciło się dookoła, ale podejrzliwe oczy śledziły go z okien i od progów. Sprawdził adres otrzymany od Modbury'ego: był to dom po drugiej stronie, przed rozpoczęciem kolejnego ciągu schodów, między sklepem rybnym a apteką.

Jednooki, wyleniały kot, kryjący się pod osłoną budynku, syknął i miękkim ruchem znikł w ciemnościach, kiedy Julian zbliżył się do otwartych drzwi.

Rozległ się podniesiony męski głos:

- Niech no pani będzie rozsądna. Mam tu list od pana Daventry'ego i jest w nim napisane dokładnie: „Dom i wszystko, co się w nim znajduje"! Widzi pani? Wszystko, co się w nim znajduje. Nie „wszystko, co się w nim znajduje, gdyby się okazało, że nikt tego nie chce". Tak więc...

- Zakładam, że nie planujecie wystawić na licytację również mnie, razem z moimi ubraniami i szczotką do włosów, które również znajdują się w tym domu - zabrzmiał drugi głos.

Ton był oschły, pasowałby do przełożonej pensji. Słyszając go, każdy dobrze się zastanowi, zanim stanie jego właścicielce na drodze.

- Jeśli potraficie dokonać takiego rozróżnienia - mówiła dalej kobieta - to powinniście też umieć wyłączyć spośród rzeczy resztę mojego dobytku osobistego. - Miejsce ironii zajął gniew. - Ponieważ zaś pan Daventry jest moim bratem, a nie mężem, nie ma prawa własności ani do mnie, ani do tych rzeczy.

Do licha! Prawdopodobnie jednak nie żona! Nie należało jednak wykluczać kochanki, uznał Julian.

- Kiedy wróci pan w przyszłym tygodniu - ciągnął kobiecy głos - może pan przejąć dom i całą jego zawartość, ponieważ tymczasem przeniosę się wraz ze swoim dobytkiem do wynajętego mieszkania!

W otwartych drzwiach Julian zobaczył rosnącego mężczyznę w staroświeckich spodniach za kolana i surducie szanującego się kupca. Był częściowo odwrócony, widoczny profil nie pozostawiał jednak wątpliwości co do jego irytacji.

- Proszę mnie posłuchać! - rzekł, wyraźnie straciwszy zdolność racjonalnego argumentowania. - Źle się stało, że nie miałem dokładnej orientacji co do stanu rzeczy, ale to nie powód do przybierania takiego tonu! Jeśli zabierze pani cokolwiek oprócz ubrań i szczotki do włosów, zawiadomię szeryfa i komornika. W liście jest powiedziane, że „wszystko", a ja mam spis inwentarza! - Machnął kartką zapewne przed nosem swojej niewidocznej oponentki.

Zdrowy rozsądek dyktował, aby nie mieszać się do prawnego sporu Daventry'ego z jego siostrą. Tyle że ten człowiek nie był Daventrym...

- Może pan odejść, Goodall - odezwała się ponownie kobieta. - Proponuję, aby wyjaśnił pan problem z moim bratem. Tymczasem skontaktuje się z panem mój adwokat.

Goodall nie dał się zbić z tropu. Postąpił krok naprzód, prawdopodobnie ku kobiecie.

- Pani mi grozi?!

- Proszę wyjść!

Siostra czy nie siostra, ale wyraźnie w jej głosie było słycać lęk, i to skłoniło Juliana do wkroczenia na scenę. Trzy szybkie kroki pozwoliły mu stanąć na progu.

- Goodall! - zagrzmiął.

Mężczyzna odwrócił się.

- Kim, u diabła, pan jest?

- Ta dama kazała panu odejść. Jako znajomy Daventry'ego proponuję usłuchać, zanim wezwę straż, aby zajęła się wtargnięciem do domu i napastowaniem kobiety. Proszę wyjść!

Wyminął Goodalla, nawet nie patrząc na nieznajomą. Zauważył jedynie postać średniego wzrostu w okularach, ubraną w coś burego. Całą uwagę skupił na rozjuszonym Goodallu. Jedynie na wszelki wypadek rozdzielili tych dwoje.

Goodall spurpurowiał na twarzy.

- Proszę posłuchać...

- Wynocha! - Sięgnął do kieszeni i podał mu bilet wizytowy. - Jeśli interesuje pana moja tożsamość, to nazywam się Braybrook.

Władczym gestem wskazał drzwi. Twarz Goodalla, przed chwilą jeszcze czerwona, gwałtownie pobladła.

- Jestem pewien... To znaczy... Nie sądziłem...

- Powiedziałem: wynocha!

Goodall wyszedł.

Julian zamknął drzwi i odwrócił się, aby odebrać wyrazy wdzięczności od damy wyratowanej z tarapatów.

- Nie mam pojęcia, z kim mam do czynienia, ale będę wdzięczna, jeśli również pan opuści ten dom.

Zza okularków wyzierało niechętnie spojrzenie. Było w nim coś onieśmielająco bezpośredniego, jakby dama każdego potrafiła przewiercić wzrokiem na wylot.

Paskudny, wielki czepek zakrywał włosy kobiety, a figurę maskowała workowata, bura suknia, zwracająca uwagę jedynie bezkształtnością i wyjątkowo nieprzyjemnym dla oka odcieniem. Prysły nadzieje na to, że kobieta okaże się kochanką Daventry'ego. Żadna szanująca się kochanka nie wdziałaby podobnego stroju ani nie nosiłaby takich okularków.

- Ani słowa wdzięczności, szanowna pani? - wycedził poirytowany Julian.

- Z wdzięcznością poczekam do czasu, aż dowiem się, kim pan jest i dlaczego wszedł bez pozwolenia do mojego domu - odparła lodowato.

- Nie dowie się pani ani jednego, ani drugiego, jeśli wyrzuci mnie na ulicę - zauważył.

Wyglądało na to, że coś tym zastrzeżeniem zyskał. Kobieta mimo woli zacisnęła dłoń, a na jej bladych policzkach pojawiły się rumieńce. Poza tym jednak nic nie zmąciło jej opanowania.

- Kim pan jest?

W zasadzie nie mógł mieć do niej pretensji o podejrzliwość. Wyjął kolejny bilet wizytowy. Przez cały czas mierzyła go nieufnym spojrzeniem, ale po chwili wahania podeszła. Gdy tylko bilet znalazł się w jej dłoni, znów oddaliła się o kilka kroków i dopiero potem przyjrzała się zdobyczy.

Julian przyglądał się temu zafascynowany. Było w jej twarzy, a nawet postaci coś niepokojącego, czego nie umiał nazwać. Mimo to wydawała się całkowicie opanowana.

- Czyli mam przed sobą lorda Braybrooka, jeśli założyć, że naprawdę jest pan tym, za kogo się podaje, a nie jakimś łajdakiem...

- Wypada mi zwrócić uwagę, że te dwie możliwości się nie wykluczają.

- W to nie wątpię - przyznała, a po chwili dodała: - Jedno oko mam niebieskie, a drugie piwne, i co z tego? Może wreszcie przestanie pan się na mnie gapić!

Jedno niebieskie, a drugie... Rzeczywiście. Dopiero teraz to zauważył. Matowy błękit i orzechowy odcień brązu za soczewkami.

- Nie, nie jestem czarownicą - oznajmiła.

Uśmiechnął się.

- To już wiem, skoro Goodall odszedł stąd w ludzkiej postaci, a nie jako ropucha.

Przez ułamek sekundy w oczach kobiety zabłyśły ogniki, jakby miała się roześmiać. Ruch kącików jej ust okazał się zaskakująco wymowny. Wyglądało na to, że ich właścicielka często się kiedyś uśmiechała. Wrażenie to stopniało jednak niczym grudka śniegu w wodzie.

- Żarcik - powiedziała takim tonem, jakby podczas lekcji wymieniała nazwę chrząszcza, a jej usta nabrały odpowiednio surowego wyrazu.

- Ach, więc zna się pani na żartach.

Julian był coraz bardziej zaintrygowany. Zastanawiał się, w jaki sposób można wytrącić kobietę z jej pozy.

- Czy wszyscy ludzie przychodzący pani z pomocą mogą liczyć na taką reakcję? - spytał. - Powiedziałem prawdę, rzeczywiście znam Harry'ego. Co do moich motywów, to szedłem do pani z wizytą i na progu usłyszałem Goodalla. Wtrąciłem się z bezinteresownej rycerskiej szlachetności, pani Daventry.

- Panno Daventry - poprawiła go.

Przyjrzał jej się z uwagą.

- Czyżby? Poinformowano mnie, że mieszka tutaj pani Daventry.

- Już nie. Moja matka umarła przed kilkoma miesiącami.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. Proszę przyjąć kondolencje.

- Dziękuję, milordzie. Usiądzie pan?

Wskazała mu zniszczone krzesło z poręczami, stojące przy wygaszonym kominku. Obicie ze skóry nosiło ślady zainteresowania przynajmniej kilku kotów. Poza tym do siedzenia w tym pomieszczeniu służyła jeszcze tylko mało zachęcająca drewniana ława naprzeciwko, na której oparciu rozwieszono wilgotną pelerynę. Tam właśnie zajął miejsce, na co kobieta zareagowała wyraźnym zaskoczeniem.

- Co się stało? - spytał. - Chyba nie sądziła pani, że usiądę na krześle?

Znowu przybrała zasadniczą minę.

- Z moich spostrzeżeń wynika, że dżentelmeni wolą wygodne krzesła.

Harry Daventry natychmiast sporo stracił w jego oczach.

- To znaczy, że ci, o których pani wspomina, nie byli dżentelmenami.

Surowy wyraz jej zaciśniętych ust stał się jeszcze wyraźniejszy.

- A pan jest?

Roześmiał się.

- Zazwyczaj tak. Ostrzegę panią, jeśli przyjdzie mi ochota postąpić niegodnie.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Czy mogę zaproponować panu herbatę?

Zasadnicza, przyzwoita i spokojna, jakby przyjmowała pastora, pomyślał.

Do tego ta herbata. Nie przepadał za herbatą nawet w najbardziej stosownej porze do jej picia. Kiedy zaś wyobraził sobie jakość napoju, który miał dostać, ciarki przebiegły mu po krzyżu. Z drugiej strony, dobre maniere stawiały wymóg przyjęcia takiego zaproszenia.

- Dziękuję, z przyjemnością.

Skinęła głową.

- Proszę mi więc wybaczyć, bo moja służąca ma wychodne. - Z wdziękiem dygnęła i opuściła salon.

Julian głęboko odetchnął i rozejrzał się po zastawionym pomieszczeniu. Bądź co bądź, przecież właśnie po to przyszedł, aby osobiście ocenić majątek Daventry'ego. Gdyby Lissy mogła to zobaczyć, zapewne dałyby jej do myślenia warunki życia, na jakie skazałaby się, biorąc ślub ze swoim wybrankiem.

Zwrócił jednak uwagę na nieskazitelny porządek panujący we wnętrzu. Zupełnie jakby kurz nie miał wstępu do pokoju, w którym mieszka panna Daventry. Drewniane powierzchnie były nawoskowane i wypolerowane. Ani śladu pajęczyny. Przy jednej ścianie stała szafa pełna książek, przystosowana również do funkcji sekretarzyka. Julian zmarszczył czoło. Mebel miał już swoje lata, ale bez wątplenia świadczył o dawnej świetności.

Ciekawe. Stopniowo obejmował wzrokiem inne sprzęty. Staroświecki rozkładany stół z lampą, zajmujący miejsce pod ścianą. Mosiężne lichtarze, kiedyś pokryte warstwą srebra. Zniszczony stolik, przy nim zaś krzesło z poręczami i na nim kolejne sterty książek. Wszystko wskazywało na to, że Daventry należał kiedyś do zamożnych

ludzi, obracał się w eleganckich kręgach, a zmuszony do przeprowadzki pod ten adres, zachował kilka najcenniejszych przedmiotów.

Mocniej zacisnął usta. Nie pozwoli, aby Harry Daventry odbudował pozycję swojej rodziny kosztem szczęścia Lissy. Siostra Daventry'ego bez wątpienia stałaby się rezydentką w ich domu... Jego wzrok padł na książki leżące na stoliku. Podejrzewał, że to zbiory kazań i inne budujące dzieła. Wziął tom z wierzchu i uniósł brwi zaskoczony. „Ivanhoe” sir Waltera Scotta. Kilka następnych zawierało poezje. A więc panna Przyzwoita miała, zdaje się, romantyczne upodobania.

Zaintrygowany, odłożył książki. Najwyraźniej za zasłoną burej przyzwoitości i czepka kryły się różne sprzeczności. Wracając na ławę, zastanawiał się nad kolorem włosów panny Daventry. Spod jej ohydneho nakrycia głowy nie wystawał ani jeden kosmyk. Szare? Pasowałyby do okularków i surowo zaciśniętych ust. Chętnie przyczyniłby się do tego, by ta kobieta zmieniła pozę.

Wkrótce panna Przyzwoita wróci do salonu z tacą, którą trzeba będzie gdzieś postawić. Pod oknem zauważył stolik przeznaczony do tego celu. Z westchnieniem wstał i przeniósł go między krzesło a ławę.

Wytlumaczył sobie, że dżentelmeni właśnie tak postępują. Nie miało to nic wspólnego z panną Daventry ani z chęcią udowodnienia jej, że nie wszyscy mężczyźni są bezdusznymi prostytutkami, którzy wybierają najwygodniejsze krzesło, a siostrze zostawiają twardą ławę.

W pomieszczeniu bardzo wyraźnie doskwierało zimno. Popatrzył na wygaszony kominek. Rozpalenie niewielkiego ognia nie zajmowało dużo czasu. Wystarczyło tylko znaleźć hubkę. Zdażył się przy tym zakrzętać, zanim wróciła panna Daventry.

Na widok ognia stanęła jak wryta.

- Przecież nie...

Julian wyjął jej z rąk tacę i umieścił na stoliku.

W dalszym ciągu stała nieruchomo, najwidoczniej nie mogąc pojąć, skąd wziął się stolik w nowym miejscu. Potem spojrzała ponownie na ogień i jej surowe rysy złagodniały, choć tylko na chwilę.

- Milord jest bardzo uprzejmy. Proszę usiąść - powiedziała zasadniczym tonem. Pochyliła się nad tacą i naląła herbaty do filiżanki. - Z mlekiem? Z cukrem?

- Z odrobiną mleka, proszę.

Napełniła również swoją filiżankę i usiadła sztywno wyprostowana.

Julian upił pierwszy łyk i przeżył zaskoczenie. Jeśli ktoś lubił herbatę, z pewnością nie miałby powodu narzekać na jakość tej mieszanki. A filiżanki, chociaż stare i miejscami obite, kiedyś były niesłychanie eleganckie i kosztowały małą fortunę. Jednak Harry Daventry nie wspominał o żadnych znaczących koligacjach ani dawnej świetności rodziny, jeśli nie liczyć wzmianki o ojcu chrzestnym, Alcastonie.

- Może milord zechce mi wyjaśnić, w jakim charakterze zna mojego brata.

Chłodny ton panny Daventry wyrwał go z zamyślenia. Czy wiedziała o Lissy? Jeśli tak, to zapewne związek miał jej błogosławieństwo. Korzyści z takiego małżeństwa były oczywiste. Dzięki nowym koligacjom i ona miałaby szansę na całkiem znośne małżeństwo.

- Pani brat zawarł znajomość z moją siostrą.

Panna Daventry znieruchomiała z filiżanką w pół drogi do ust. Gwałtownie poba-
dła.

- Z pańską siostrą? - Udało jej się doprowadzić filiżankę do celu i odstawić na spodeczek z cichym brzękiem. - Czy chodzi o pannę Trentham?

- Tak. To moja przyrodnia siostra.

Jeszcze bardziej zeszywniała, jeśli było to w ogóle możliwe, a na jej twarzy odmalował się wyraz oślego uporu. Mimo pobladłych policzków wydawała się w tej chwili uosobieniem godności. Bez wątpienia należało liczyć się z tym, że będzie jak lwica bro-
niła matrymonialnych ambicji brata. Dlaczego miałoby być inaczej? To była dla niej ży-
ciowa szansa.

Zacisnął usta. Musiał chronić Lissy nawet za cenę urażenia dumy panny Daventry.

- To bardzo niefortunny przypadek - powiedziała nieoczekiwanie spokojnym to-
nem. - Ufam, że robi pan wszystko, by położyć kres tej znajomości.

Niefortunny? Z jej punktu widzenia? On istotnie miał wszelkie powody, by nie
aprobować wybranka siostry, ale co przeciwko Lissy mogła mieć panna Daventry?

- Zupełnie nie pojmuję, panno Daventry, czym moja siostra mogła sobie zasłużyć na pani niechęć - powiedział wyniosłym tonem.

- Ponieważ nigdy nie miałam okazji spotkać panny Trentham, nie mogę odczuwać do niej niechęci - odparła. - Nie podoba mi się jedynie... - Urwała, a na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec. - Chyba rozumiem przyczynę tej wizyty, milordzie. Chce pan przekazać ostrzeżenie Harry'emu? „Niech pan trzyma się z dala od mojej siostry, a ja nie będę się wtrącał do pańskich spraw”. Czy tak to miało brzmieć?

Mocno go tym wzburzyła.

- Słucham? - Dobrze, że nie odgadła, o co podejrzewał ją na początku, pomyślał.

- Jeśli nie tak, to proszę wybaczyć, ale nie potrafię wymyślić innego powodu tych odwiedzin.

- Rozumiem, panno Daventry. Jestem jednak dżentelmenem, nawet jeśli zdarzyło się pani słyszeć co innego.

- Pańska reputacja, milordzie, zupełnie mnie nie interesuje - poinformowała go i zaczęła popijać herbatę.

- A co skłania panią do przypuszczenia, że mam taką czy inną reputację? - Prawdę mówiąc, nie był to temat, który należało poruszać z szanującymi się kobietami.

Odpowiedziała mu po dłuższym zastanowieniu.

- Wszyscy mają reputację, milordzie. Wątpliwości może sprawiać jedynie jej rodzaj. - Upiła kolejny łyk herbaty. - Naturalnie skoro jest pan dżentelmenem, pańska reputacja nie wydaje mi się interesująca.

- Mimo wszystko sama pani o niej wspomniała.

Uniosła brwi.

- Ja, milordzie? Nie sędzę. To pan wspomniał, że ktoś mógł niepochlebnie o nim mówić. W ten sposób dał mi pan do zrozumienia, że, zasłużenie czy też nie, cieszy się pan złą opinią.

Omam nie zakrztusił się herbatą. Doszedł do wniosku, że konwersacja z osobą o tak ostrym języku mogłaby sprawić przyjemność Serenie.

- W każdym razie mówiliśmy o siostrze milorda - zmieniła temat. - Nie odczuwam niechęci wobec panny Trentham. Nie widzę powodu, przecież nawet nie mam zaszczytu jej znać. Nie popieram jednak zainteresowania mojego brata tą panną.

- Finezyjne rozróżnienie, panno Daventry. Czy zechciałaby pani wyrazić swoje zastrzeżenia?

Bardziej wyprostować pleców już chyba nie mogła, ale dumnie uniosła głowę.

- Na kominku stoi lustro, milordzie. Proszę się w nim przejrzeć i pomyśleć o pańskim domu, fortunie, pozycji społecznej. A potem proszę rozejrzeć się dookoła i powiedzieć, co pan widzi.

Nie odpowiedział. To chłodne, bezceremonialne stwierdzenie mogłoby równie dobrze paść z jego ust. Oczywista i brutalna prawda była taka, że wszystko w tym pokoju przypominało o zubożeniu dobrej rodziny. Nie mógł jednak się zdobyć na wypowiedzenie tych słów, mimo że miał je na końcu języka. Godność panny Daventry zrobiła na nim wrażenie.

- To milczenie mówi samo za siebie - odezwała się ponownie. - Harry i panna Trentham pochodzą z różnych sfer. Niemożliwe, żeby popierał pan taki związek Zakładam, że właśnie to przyszedł mi pan powiedzieć, sądzę też, że zakazał pan Harry'emu podtrzymywania znajomości z pańską siostrą.

- Niezupełnie, panno Daventry - odparł.

Rzeczywiście początkowo miał taki zamiar. Mimowolnie uniósł kąciki ust, czując na sobie spojrzenie panny Daventry. To ją rozdrażniło.

- Pan nie może popierać takiego małżeństwa.

- Nie popieram - przyznał. - Siostra jest z natury uparta, a za cztery lata stanie się pełnoletnia. Wtedy już nie mógłbym zapobiec temu związkowi, chociaż nasze zastrzeżenia się pokrywają. Mimo pani pokrewieństwa z księciem Alcastonem...

- Mojego czego?

- Alcaston jest przecież ojcem chrzestnym pani brata - powiedział Julian, ze zdziwieniem wpatrując się w jej pobladłą twarz. - Czy pani dobrze się czuje?

- Tak... całkiem dobrze. - Rzeczywiście, jej twarz odzyskała lekki rumieniec. - A więc Harry panu o tym powiedział. To z pewnością nie czyni różnicy, prawda?

- Najmniejszej - potwierdził. - Pani brat wciąż pozostaje nieodpowiednim kandydatem na męża dla mojej siostry, nawet z pensją wyznaczoną mu przez księcia.

Skinęła głową.

- Zażądał więc pan, aby Harry nie składał wizyt w pańskim domu i...

- Nie zrobiłem tego. - Serena zwróciła mu uwagę, że wprowadzenie zakazu spotkań jest najlepszym sposobem na nakłonienie do potajemnych schadzek. Dostrzegając w tym logikę, ale...

- Nie? Cóż więc z pana za brat?

Tego pytania zupełnie się nie spodziewał.

- Mam nadzieję, że dobry! - odparł zirytowany. - Naturalnie mógłbym im zakazać spotkania się. Tylko jak bym wyglądał, gdyby Lissy wcieliła się w rolę Julii i ci młodzi głupcy zdecydowali się na wspólną ucieczkę? - To również była myśl Sereny.

- Lissy?

- Zdrobnienie od Alicja - wyjaśnił.

- Bardzo przepraszam. Nie zamierzałam dyktować panu, jak układać życie siostry...

- Mam nadzieję, że nie układam życia siostry, jak pani to ujęła - odparł oschle.

Zarumieniła się, speszona.

- Przepraszam, to było...

- Jeśli nie przestanie pani przepraszać, pomyślę, że mi się pani podlizuje.

- Trudno byłoby bardziej fałszywie przedstawić moje zamiary.

- Prawdę mówiąc, tak właśnie myślałem - przyznał.

Tym zamknął jej usta, ale wrogie spojrzenie musiał znieść.

Napięcie między nimi zauważalnie wzrosło.

Mimo woli Julian się uśmiechnął. Żałował, że tej rozmowy nie może posłuchać Serena. Spodobałaby jej się ta zasadnicza i śmiała kobieta. Tymczasem jednak panna Daventry miała zostać wyrzucona z domu, a Lissy potrzebowała dużo lepszego kontaktu z rzeczywistością, aby można jej było wytłumaczyć, że życie z Harrym Daventrym nie spełni młodzieńczych marzeń i stanie się koszmarem. Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł, dający szansę upieczenia dwóch pieczeni przy jednym ogniu.

- Panno Daventry - zaczął ostrożnie - przypuszczam, że w związku z rychłą sprzedażą domu będzie pani szukała mieszkania.

- Owszem, do czasu aż znajdę sobie posadę damy do towarzystwa lub guwernantki. Z jego punktu widzenia wyglądało to obiecująco.

- W takim razie zastanawiam się, czy nie chciałaby pani przyjąć posady...

- Nie! Z pewnością nie! - odparła wzburzona, a jej twarz przybrała niemal purpurowy odcień. - To, że mieszkam przy Christmas Steps, nie oznacza... - Urwała.

Uświadomił sobie, że nawet jeśli nie zaszkodziła mu jego reputacja, to szanująca się kobieta mieszkająca przy Christmas Steps miała wszelkie podstawy, by odnieść się nieufnie do propozycji dżentelmena, zwłaszcza jeśli nie była sformułowana wyraźnie.

- Moja macocha potrzebuje damy do towarzystwa - oznajmił sztywno.

Przeżył rozczarowanie. Panna Daventry wyraźnie odzyskała opanowanie.

- Ach, rozumiem - powiedziała. - Nie wydaje mi się jednak, aby milord naprawdę widział we mnie damę do towarzystwa pańskiej macochy.

Ani słowa wyjaśnienia czy przeprosin. Wybrnęła z trudnej sytuacji tak po prostu. Zasługiwała na uznanie.

- Dlaczego? - zapytał.

- Proszę tylko rozważyć konsekwencje. Gdybym zamieszkała w pańskim domu, Harry wykorzystałby to...

- Właśnie - wpadł jej w słowo. - Pani bratu dałoby to doskonały powód do składania wizyt w naszym domu, a Lissy bardzo pouczający przykład.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chce pan powiedzieć...

- Otóż to. Jeśli ona panią pozna, przekona się, że musi pani zarabiać na życie...

- I to da jej do myślenia - dokończyła.

- Tak. - Ucieszyło go, że tak łatwo pojęła jego zamiar. - Poza tym w oczach mojej siostry zdejmie to ze mnie piętno interesownego, bezdusznego brutala, ponieważ propozycją objęcia posady dowodzę, że panią akceptuję, a w domyśle rozciąga się to na pani brata - dodał. - W ten sposób Lissy siłą rzeczy ujrzy Daventry'ego w nowym świetle: jako człowieka, który nie potrafi zapewnić utrzymania siostrze.

Znowu zapadło milczenie. Panna Daventry rozważała nową możliwość. Julian poznał ją już dostatecznie, by wiedzieć, że inaczej z miejsca odrzuciłaby jego propozycję. Umiała myśleć niezależnie i chciała z tej umiejętności korzystać.

- Wątpię, czy byłabym odpowiednią towarzyszką dla lady Braybrook - powiedziała po chwili.

Gdyby nie chodziło o Serenę, miałby podobne zdanie.

- Urozmaici jej pani czas - wyjaśnił. - U innych nuży ją potulność, a sędzę, że tę cechę możemy stanowczo skreślić z listy pani zalet. - Wyraził się doprawdy oględnie, mimo to panna Daventry spłonęła rumieńcem. Rozbawiony jej reakcją, ciągnął: - Przed kilkoma laty lady Braybrook przeżyła wypadek i od tej pory nie może chodzić. Chcę, żeby towarzystwa dotrzymywał jej ktoś myślący. Wydaje mi się, że macocha powinna panią polubić. Aha, wspomniała pani o nauczaniu. Czy ma pani doświadczenie w tym zakresie?

- Tak.

- Mam również drugą siostrę, jeszcze w wieku szkolnym, i sześciolatniego brata. Przydałaby im się guwernantka, więc i w tym mogłaby pani pomóc.

Panna Daventry nie wydawała się przekonana.

- Takie rozwiązanie przestanie się sprawdzać, kiedy minie lato i dzieci będą potrzebować więcej lekcji. Nie mogę być w dwóch miejscach naraz.

Wzruszył ramionami, obiekcja nie wywarła bowiem na nim wrażenia.

- Nawet jeśli zatrudnimy guwernantkę, będzie ją pani mogła zastępować w jej wolne dni lub kiedy będzie niedysponowana. Naturalnie, gdyby była pani gotowa podjąć się tych podwójnych obowiązków, pensja zostanie wyznaczona w odpowiedniej wysokości. Co pani powie na, powiedzmy, sto funtów rocznie?

Wprawdzie nie oczekiwał, że panna Daventry wykaże nieopanowany entuzjazm dla szczodrej oferty, był jednak przekonany, że taka suma wywrze na niej wrażenie. Większość guwernantek i dam do towarzystwa mogła tylko marzyć o czwartej części takiej pensji.

- Nie może pan zapłacić tak nedorzeczej sumy damie do towarzystwa, która niekiedy pomaga guwernantce - oświadczyła.

Mógł z pewnością. Nie powiedział tego jednak, uznał bowiem, że najwłaściwszy będzie ton chłodnej uprzejmości.

- Słucham?

- To niedorzeczne - powtórzyła i znów przybrała zasadniczą minę.

Miała rację, a jednak zastanawiał się, ile jeszcze będzie musiał tej sekutnicy dołożyć.

- Ponadto - ciągnęła - byłoby to bardzo nieuczciwe wobec guwernantki, zapewne starszej i bardziej doświadczonej, gdybym otrzymywała taką astronomiczną kwotę.

- Uważa pani, że oferuję zbyt wiele?

Zmarszczyła czoło.

- A cóż innego pan mógł pomyśleć?

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Panno Daventry, proszę mi wierzyć, że większość ludzi nie przejmowałaby się w najmniejszym stopniu nadmierną wysokością proponowanej pensji. Moja oferta pozostaje aktualna.

Zmrużyła oczy.

- Pięćdziesiąt - powiedziała.

Z trudem opanował mimowolny uśmiech. Uświadomił sobie, że targuje się z kandydatką na guwernantkę jak z kupcem pod giełdą zbożową, próbując skłonić ją do przyjęcia wyższej zapłaty.

- Panno Daventry, podziwiam te skrupuły, ale nie chodzi jedynie o towarzystwo, jakiego dotrzymywałaby pani mojej macosze, i wiedzę, którą dzieliłaby się pani z moim rodzeństwem. Pani wartość dla mnie jest o wiele większa.

- Mogę pana zawieść - zwróciła mu uwagę.

- Sto funtów rocznie - powtórzył, walcząc z rozbawieniem, które budziła w nim ta pocziwa, niemodnie ubrana kobieta, wytrącająca go z równowagi swoimi różowymi, surowo ściągniętymi ustami i szczerymi, różnokolorowymi oczami. - Jeśli to panią uspokoi, nikt poza nami nie będzie znał wysokości pensji, a już z pewnością nie druga guwernantka.

- To wcale mnie nie uspokaja - odparła natychmiast. - Wszystko jedno, czy druga guwernantka będzie wiedziała. Wystarczy, że ja wiem.

Do diabła z tą kobietą! Czy naprawdę nie potrafi zapomnieć o skrupułach i przyjąć jego szczodrego gestu?

- Panno Daventry, zdarza mi się grywać w karty. Może wobec tego umówimy się, że wygram te pieniądze. Dwadzieścia pięć funtów rocznie dla damy do towarzystwa. Następne dwadzieścia pięć funtów dla guwernantki. I do tego założymy się jeszcze o pięćdziesiąt funtów, że nie zdoła pani zniechęcić mojej siostry do poślubienia pani brata.

Dostrzegł, że zmrużyła powieki za swoimi okularkami.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Jeśli będę pozostawać w służbie lady Braybrook w dniu ślubu pańskiej siostry, dodatkowe pięćdziesiąt funtów przestanie być wypłacane. A gdyby pańska siostra miała poślubić Harry'ego, zwrócę panu...

- Nie, do diabła! - rzucił, nie wierząc własnym uszom.

Nigdy nie przeklinał w obecności dam, tym razem jednak dał się wyprowadzić z równowagi.

- Słucham pana? - spytała lodowatym tonem.

Julian nagle zrozumiał, że właśnie jej spojrzenie ma na niego taki wpływ. W tej chwili wyrażało wściekłość bliską furii. Zewnętrzny chłód musiał maskować wybuchowy temperament.

- Chciałem powiedzieć, że o tym nie ma mowy - poprawił się. - Inaczej, panno Daventry, trudno byłoby mówić o zdawaniu się na los, prawda?

- Nie pochwalam hazardu - stwierdziła. - Nie oczekuje pan chyba.

- Do licha z tym wszystkim! - wybuchnął, tracąc opanowanie. - Oczekuję, że przyjmie pani moją hojną ofertę, że będzie pani gotowa towarzyszyć mi do Herefordshire za trzy dni. Oczekuję...

- Trzy dni? - Złość wyraźnie przebiła się przez fasadę. - Nie dam rady spakować rzeczy z tego domu w ciągu trzech dni. Poza tym...

- Zajmie się tym mój pełnomocnik - stwierdził Julian, uznając, że jego oferta została przyjęta.

- Poza tym nie mogę towarzyszyć panu do Herefordshire!

- Dlaczego, do... Dlaczego nie? - W ostatniej chwili ugryzł się w język. - Jak zamierza pani objąć posadę, jeśli tam pani nie pojedzie?

- Och, proszę nie łapać mnie za słówka - odparła. - Miałam na myśli tylko tyle, że nie mogę jechać z panem sam na sam. Po drodze będzie nocleg w zajeździe.

Tego było za wiele dla Juliana.

- Proszę mi wierzyć, że nie dybię na pani cnotę!

- To nie ma najmniejszego znaczenia. W obu przypadkach moja reputacja została by tak samo zszargana. Mam dwadzieścia cztery lata, milordzie, nie możemy podróżować tylko we dwoje.

- Oczekuje pani, że najmę dla niej przyzwolitę?

Niewiarygodne. Pięć minut temu zaproponował tej dziwnej kobiecie uczciwą posadę i od tej pory trwała między nimi kłótnia. W pewnym momencie niewątpliwie stracił panowanie nad sytuacją.

- Skądże znowu - odparła zniecierpliwiona. - Pojadę dyliżansem i...

- Na pewno nie!

- Lordzie Braybrook, w przeszłości często podróżowałam dyliżansem...

- Bez wątplenia nie należało tego robić - orzekł i dodał: - Zresztą tym razem nie ma o tym mowy.

Te słowa były całkowicie sprzeczne z logiką i istniejącym stanem rzeczy. Damy do towarzystwa i guwernantki zawsze podróżowały dyliżansami.

- Tak właśnie postąpię - oznajmiła stanowczo.

- Panno Daventry - powiedział groźnie. - Zaczynam rozumieć, dlaczego uważa pani, że posada damy do towarzystwa jest nie dla niej.

To, że miała stuprocentową rację w ocenie sytuacji, jeszcze pogłębiało jego irytację, podobnie jak jej wyzywająca poza z wysuniętym do przodu podbródkiem.

- Szanowna pani, nie mogę się zgodzić, by dama, korzystająca z mojej opie... - Jedno spojrzenie na twarz panny Daventry wystarczyło, by natychmiast wycofać się z

tego sformułowania. - By dama, za którą ponoszę odpowiedzialność, podróżowała zwykłym dyliżansem. Pocztowy dyliżans też nie wchodzi w grę - dodał, zanim zdążyła to zaproponować. - Pani pojedzie ze mną.

- Bez przyzwoitki nie pojedę - odparła.

- Dobrze więc. Czy wystarczy, jeśli w zajeździe będzie spała w pani pokoju służąca, czy mam zapewnić sobie pomoc księżnej wdowy? Nie nastaję na pani cnotę, ale nawet gdyby było inaczej, uwodzenie guwernantek w powozie nie należy do moich ulubionych sposobów spędzania czasu.

Panna Daventry spłonęła rumieńcem.

- Nie ma powodu mówić takich okropieństw. Nie boję się pana, tylko tego, jak zostanie to przedstawione w plotkach. Nie życzę sobie być przedmiotem niezdrowej ciekawości i potępienia. Służąca w pokoju absolutnie mi wystarczy. Naturalnie zapłacę za swoje wydatki i...

- Nie zgadzam się - odparł. - Od tej chwili, panno Daventry, uważam się za pani chlebodawcę. Wszelkie pani wydatki podróżne obciążą więc mnie. Czy to jasne?

Zdawało się, że wyraz uporu na twarzy panny Daventry zagości dłużej, nagle jednak nieznacznie skinęła głową.

- Tak, milordzie.

Niewątpliwie był najwyższy czas, by opuścić ten dom. Dyktowały to wymogi dyskrecji, przede wszystkim jednak Julian obawiał się, że jeśli zaraz nie wyjdzie, udusi tę kobietę albo, co gorsza, znowu zacznie niewybrednie kłąć. Skoro udało mu się załatwić dwie sprawy za jednym zamachem, nie mógł pozwolić, by panna Przyzwoita w ostatniej chwili wycofała się z podjętej decyzji, oburzona grubiaństwem potencjalnego chlebodawcy.

- Żegnam więc panią na razie. - Odstawił filiżankę i wstał. - Jutro i w środę mam sprawy do załatwienia. Wyjedziemy w czwartek. Mój powóz podjedzie po panią o siódmej rano. - Skłonił głowę. - Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani tak wczesna godzina.

Panna Daventry również wstała.

- Będę czekać na schodach przed kaplicą Trzech Króli. Czy kufer i sakwojaż nie okażą się zbyt dużym bagażem?

Uniósł brwi.

- Może pani spakować wszystko, co uważa za niezbędne. Jeśli nie zmieści się w naszym powozie, na pewno będzie mogło pojechać bagażowym.

Wyciągnął do niej rękę. Ten uprzejmy gest miał przypieczętować zawartą umowę i nie znaczył nic więcej. Panna Daventry zawahała się, ale odwzajemniła go. Wbrew oczekiwaniom uścisk wywarł na Julianie niezwykle wrażenie. Dłoń panny Daventry zdawała się układać w jego dłoni tak naturalnie, jakby jedna była dopełnieniem drugiej. Zaskoczony spojrzał kobiecie w oczy. Ich spojrzenia zdawały się stykać tak samo jak ręce. Tę wyjątkową chwilę przerwała jednak panna Daventry, spuszczać powieki.

Cofnął rękę i odszedł o krok.

- Do widzenia pani - powiedział. - Mój pełnomocnik wkrótce złoży pani wizytę.

- Do widzenia, milordzie - odparła.

Odprowadziwszy lorda Braybrooka do wyjścia, Christiana Daventry zamknęła za nim drzwi i bezsilnie się o nie oparła. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie oszalała. Co ją skłoniło do przyjęcia propozycji pracy? A jeśli to wcale nie był lord Braybrook? I dlaczego w obecności tego mężczyzny tak trudno było jej zachować panowanie nad sobą? Coś podobnego zdarzyło jej się ostatni raz, kiedy miała szesnaście lat. Nie wątpiła jednak, że potrafi dać sobie radę bez zaciągania jakichkolwiek zobowiązań.

Wyjęła z kieszeni bilet wizytowy. Był bardzo elegancki, ale z pewnością nie dowodziło to tożsamości jego użytkownika. Skąd ten człowiek wiedziałby o zainteresowaniu Harry'ego panną Trentham, gdyby nie był Braybrookiem?

Panna Trentham według opisu z listu jej brata miała niebieskie oczy i ciemne włosy. Christy mruknęła słówko, które w ustach damy zabrzmiało bardzo niestosownie. Identyczne oczy i włosy miał mężczyzna, który ją odwiedził. Taki błękit widywała do tej pory jedynie u postaci z okładek romansów wydawanych przez Minerva Press. A przenikliwość spojrzenia tych oczu... To musiał być lord Braybrook. A ona właśnie przyjęła posadę damy do towarzystwa i guwernantki. Przyszło jej do głowy, że znajdzie się w bardzo osobliwym miejscu. Zazwyczaj doborem dam do towarzystwa i guwernantek zajmowały się panie domu.

Arogancja tego człowieka nie ulegała wątpliwości. Zdawało jej się, że kiedy wszedł, zajął cały salon. Naturalnie to nie jego prezencja, lecz ten głupi bilet wizytowy tak bardzo odmienił Goodalla, że oddalił się jak niepyszny w głębokich ukłonach.

Przynajmniej jednak było jej teraz ciepło. Lord Braybrook rozpałił ogień, na który zwykle nie było jej stać. Uznała to za przejaw życzliwości z jego strony, choć musiała bardzo uważać, by niepotrzebnie nie nadać temu gestowi akcentów osobistych. Do diabła z tym człowiekiem! Jak można tak zakłócać czyjś spokój?

Najgorsze było jednak to spojrzenie. Poczwała się nagle tak, jakby Braybrook zobaczył ją taką, jaka jest naprawdę, a więc Christy, a nie pannę Daventry. Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Tylko głupcy nie wyciągają wniosków z minionych doświadczeń. Jedna lekcja powinna wystarczyć. Mężczyźni zdawali się mieć duży kłopot z rozróżnieniem, kiedy „nie” kobiety stanowi skrót od: „Nie, nie chcę zacieśnić z panem znajomości”, a kiedy od: „Nie, oferuje pan za mało”.

Z kwaśną miną odsunęła się od drzwi. Nie żałowała wyprowadzki z domu. Kiedyś była tu całkiem szczęśliwa, ale wtedy żyła mama. Teraz na każdym kroku straszyły wspomnienia dni, podczas których pielęgnowała umierającą. Nie ma rady, życie toczy się naprzód. Dla niej następny etap miał się rozpocząć w czwartek.

Nie rozumiała jednak, co opętało Harry'ego. Jak mógł sobie wyobrazić, że jest odpowiednim kandydatem na męża dla panny Trentham, siostry wicehrabiego? Naturalnie znała odpowiedź. To książę Alcaston przez swą protekcję obudził u Harry'ego ambicje daleko ponad stan.

Braybrook nie chciał zakazać Harry'emu wstępu do swojego domu, obawiając się buntu siostry, a jeśli panna była uparta i samowolna, to naturalnie miał rację.

Co do niej... Wiedziała, że może popchnąć Braybrooka do bardziej zdecydowanych kroków tak, by jego siostra nie ważyła się nawet pisnąć. Wystarczyłby jeden list do jego lordowskiej mości. To jednak oznaczałoby również zdradę. Musiałaby przybrać pozę oburzonej moralistki.

Tymczasem najważniejsze było, aby Harry wreszcie rozpoznał swoją sytuację. Musiała mu wytłumaczyć, że zmierza donikąd. Skoro tak, to konieczna była rozmowa, jej listy bowiem nie miały dostatecznej siły przekonywania. On musiał pojąć, że jeśli nie

zamierza ujawnić prawdy przed rodziną panny Trentham czy też innej kobiety, którą się zainteresuje, to postępuje wysoce niewłaściwie.

Gdyby wszystko wyszło na jaw, mogłoby to oznaczać dla Harry'ego całkowitą ruinę. Ujawnienie prawdy traktowała jako ostateczność. Poróżniłoby ją to z bratem, a innej rodziny nie miała, w każdym razie takiej, do której byłaby gotowa się przyznać.

Musiała też wziąć pod uwagę finansowy wymiar propozycji Braybrooka. Zaoszczędziła wystarczająco dużo pieniędzy, aby wiązać koniec z końcem, jeśli zachowa daleko idącą powściągliwość, a ceny nie wzrosną. Nie miała jednak zabezpieczenia w razie choroby ani zaopatrzenia na starość. Przyjmując posadę, mogłaby nieco powiększyć skromny kapitał. Już po pierwszym roku czułaby się znacznie bezpieczniej.

Książki mogła spakować i zabrać ze sobą. Braybrook obiecał jej pomoc swojego pełnomocnika. Należało go poprosić o sprzedaż mebli, które zostawiła jej w spadku mama. Nie przyniosą wielkiego zysku, ale każdy pens się liczy. Poza tym nie zamierzała zostawić ich Goodallowi, żeby mógł je sprzedać na rzecz Harry'ego.

Rozsądek niewątpliwie nakazywał przyjąć propozycję lorda Braybrooka, byle nie zapomniała o swoim miejscu. Poza tym pobyt w Herefordshire posłużył do uświadomienia Harry'emu faktu, że przepaść między rodzinami Daventrych i Trenthamów jest olbrzymia, a same pieniądze nie wystarczą, by ją zasypać. Gdyby zaś jej się nie udało, pozostawało wyjawienie prawdy Braybrookowi. To była ostatnia deska ratunku.

Mimo ciepła bijącego od ognia na kominku zadrżała, kiedy wyobraziła sobie wyraz pogardy na twarzy tego człowieka. Zaraz jednak dumnie się wyprostowała. Nie dopuści lorda Braybrooka do nadmiernej poufałości. Zdradziecki głos, który słyszała w głowie, podszeptował jej tymczasem, że już to się stało. Braybrook zdołał przecież przebić jej pancierz obojętności i obudzić gniew.

Rozdział trzeci

Trzy dni później elegancki ekwipaż wjechał na St Michael's Hill i przystanął przed kaplicą Trzech Króli. Julian siedział w środku, wciąż nie do końca mogąc uwierzyć w to, że sprowokował taki bieg wydarzeń. Naprzeciwko niego zajmował miejsce jego osobisty służący Parkes, bez wątpienia zamierzający przez całą podróż sztywną pozą dawać wyraz swojej dezaprobachie. Bardzo nie spodobało mu się, że ma towarzyszyć panu, zamiast siedzieć na koźle obok swojego przyjaciela stangreta.

Parkes nie był, trzeba to przyznać, przyzwoitką w pełnym tego słowa znaczeniu. Dla debiutującej panny z dobrego domu stanowiłby zupełnie niestosowne towarzystwo w podróży. W przypadku guwernantki jego obecność mogła jednak zapobiec plotkom. Zresztą, Julian wolał się zabezpieczyć, nie czuł się bowiem swobodnie w obecności panny Daventry. Wciąż mimowolnie uśmiechał się pod nosem, gdy przypominał sobie jej manifestacje niezależności.

Gdy powóz przystanął w umówionym miejscu, natychmiast okazało się, że panna Daventry zniweczyła jego plan, by pomóc jej przy ładowaniu bagażu. Siedziała na kufrze, a miejsce na drugim zajmowała kobieta w trudnym do określenia wieku. Dla Juliana pozostawało zagadką, w jaki sposób te olbrzymie bagaże znalazły się na ulicy.

- Do widzenia, Sukey - powiedziała panna Daventry, wstając. - Dziękuję ci za pomoc. Wolałabym, żebyś pozwoliła mi...

- Och, niech już panienka nic nie mówi! - Kobieta skierowała podejrzliwe spojrzenie w stronę powozu i zniżyła głos do szeptu, który byłby słyszalny podczas kanonady. - Czy panienka jest pewna, że nic jej nie grozi? Takim panom nie można ufać. Niedawno...

Gdy Julian wysiadł z powozu, urwała, a on zauważył z niejakim zadowoleniem, że panna Daventry oblała się pąsem.

- Wszystko będzie dobrze, Sukey - zapewniła towarzyszkę, zerkając na Juliana. - Dzień dobry, milordzie.

- Dzień dobry pani - przywitał się Julian. - Mój osobisty służący siedzi w powozie. Mam nadzieję, że to uciszy niepokój pani towarzyszki.

- Nie wiem, może - odrzekła Sukey, postępując naprzód. - Tylko żeby się nie okazało, że on, mówiąc krótko, siedzi w kieszeni u jego lordowskiej mości. I że jego lordowska mość wcale nie jest lordem, tylko jakimś zbójem! - Wsparła się pod boki. - Nie po to opiekuję się tak długo panną Christy, żeby jakiś łajdak nabrał ją na piękne słówka! Nie tak dawno mężczyzna namówił młodą damę, żeby wsiadła z nim do powozu, i tam ją zhańbił. W powozie, mówię! A ona myślała, że nic jej nie grozi, bo naprzeciwnie nie siedziała dama. Ładna mi dama! Mamuśka jedna!

- Szanowna pani, zapewniam, że nie mam żadnych podstępnych zamiarów wobec panny Daventry - oświadczył Julian, z trudem zachowując powagę. - Znam jej brata i zaprosiłem ją do powozu jedynie po to, by dowieźć ją na miejsce, gdzie obejmie nową posadę jako dama do towarzystwa mojej macochy.

- Każdy tak może powiedzieć!

- Sukey, wszystko jest w najlepszym porządku. Naprawdę - zapewniła panna Daventry.

Wyraźnie nieprzekonana Sukey podeszła do powozu i zajrzała do środka, by podać wstrząśniętego Parkesa dokładnym oględzinom. W końcu wyprostowała się i odchrząknęła.

- Po mojemu może być - oznajmiła i przesłała surowe spojrzenie pannie Daventry. - Ma jednak panienka napisać zaraz po przyjeździe, proszę pamiętać. Pastor obiecał przeczytać mi list. I proszę pisać często, żeby było wiadomo, co się z panienką dzieje.

- Sukey... - Panna Daventry całkiem się rozkleiła.

- Ostrożności nigdy za wiele, panno Christy - stwierdziła starsza kobieta. - Proszę robić, jak mówię, i pisać!

- Dobrze.

Julian bardzo się zdziwił. A więc był na świecie ktoś, wobec kogo panna Daventry zachowywała się potulnie.

- To wszystko, panno Daventry? - spytał, dając znak służącemu, by zajął się ładowaniem.

- Tak - odpowiedziała niezbyt pewnie. - W jednym kufrze są tylko książki, więc jeśli nie ma miejsca...

- Proszę się nie obawiać. Wystarczy.

Służący umieścił jeden kufer i sakwojaż z boku pojazdu, drugi został przytroczony pasami z tyłu. Sukey uściskała pannę Daventry na pożegnanie. Ku zaskoczeniu Juliana, młoda kobieta serdecznie odwzajemniła uścisk.

- Na pewno wszystko będzie tak, jak panienka mówi - powiedziała uspokajająco Sukey. - Proszę się dobrze sprawować i uważać na siebie. Mama byłaby z panienki dumna, panno Christy.

- Będę ostrożna. Wiesz, gdzie są klucze?

- Tak. Dam je temu pełnomocnikowi. Proszę już jechać. Ignorując ramię Juliana, panna Daventry wsiadła do powozu i zajęła miejsce obok służącego.

Julian wyciągnął rękę do drugiej kobiety, mając wrażenie, że stoi przed sędzią i ławą przysięgłych.

- Do zobaczenia, Sukey. Możesz być pewna, że pannie Daventry nic nie grozi.

Sukey ucisnęła jego dłoń, najpierw jednak wytarła swoją o spódnicę.

- Panna Christy, to znaczy panna Daventry, jest damą. Bez obrazy, milordzie, ale proszę o tym pamiętać.

- Dobrze - odparł Julian.

Zajął miejsce naprzeciwko towarzyszki podróży i powóz ruszył. Panna Daventry długo machała do Sukey, wychylona przez okno, w końcu jednak spokojnie usiadła.

- To jest mój służący Parkes - przedstawił Julian, zadowolony, że obeszło się bez łzawych scen. - Parkes, to jest panna Daventry, nowa dama do towarzystwa milady. Będzie również pomagać guwernantce.

Panna Daventry uśmiechnęła się.

- Jak się masz, Parkes?

- Dziękuję pani, bardzo dobrze - odrzekł i pogрузzył się w milczenie, które uważał za jedyne słuszne zachowanie w obecności lepszych od niego.

Christy przyglądała się, jak lord Braybrook wyciąga książkę i zaczyna czytać. Sama zrezygnowała z lektury w powozie. Nie byłby to dobry pomysł, zważywszy na wcześniejsze doświadczenia. Zapowiadała się więc długa i nużąca podróż, jako że na rozmowę ze służącym też nie mogła liczyć. Wiedziała, że najprawdopodobniej czeka ją

życie w całkowitym odosobnieniu, guwernantka bowiem nie należała tak naprawdę ani do rodziny, ani do służby. Trudno, musi się z tym pogodzić.

Przy wyjeździe z Gloucester w połowie drugiego dnia wyprawy Julian zorientował się, że panna Daventry nie lubi podróżować. Wprawdzie nie skarżyła się i nie domagała zatrzymywania powozu, ale bladość jej twarzy była wymowna, podobnie jak ograniczanie się do mocnej czarnej herbaty podczas postojów. Także kolację i śniadanie ledwie skubnęła. Julian znał tę dolegliwość z dzieciństwa, ale na szczęście z niej wyrósł. Wiedział też, że trudno w tej sytuacji pomóc.

- Panno Daventry?

- Słucham, milordzie?

Nagle uniosła powieki, a on z zaskoczeniem stwierdził, że jej spojrzenie wywiera na nim silne wrażenie. Szlachectwo zobowiązuje, przypomniał sobie. Należało ignorować takie doznania.

- Może chce pani zmienić miejsce?

Nieco się wyprostowała, choć musiało jej to przyjść z trudem.

- Dziękuję, ale jest mi tu wygodnie.

- Sądzę, że „wygodnie” jest w tej chwili ostatnim słowem, które mogła pani wybrać - powiedział z mimowolnym uznaniem. - Nalegam. Nie mogę siedzieć tutaj bez poczucia winy.

Zarumieniła się nieznacznie, ale posłusznie przeniosła się na miejsce obok niego.

- Dziękuję, milordzie.

- Nie ma za co, panno Daventry. Naturalnie poprosi pani o zatrzymanie powozu, gdyby okazało się to konieczne, prawda?

- Nie będzie takiej potrzeby, milordzie - odparła, jeszcze bardziej prostując plecy. - Zresztą nie chcę opóźniać podróży.

- Zapewniam, że krótki postój będzie znacznie lepszym wyjściem, niż to, co może się stać bez niego. Prawda, Parkes?

Zagadnięty służący pozwolił sobie na nikły uśmiech.

- Rzeczywiście, sir. Jeszcze nie zapomniałem, jak często prosił pan, żeby przystanąć.

Julian wybuchnął śmiechem, widząc wyraz niedowierzania na twarzy współpasażerki, po czym przyznał:

- Tak było, na szczęście w końcu się przyzwyczailem.

- Wygląda na to, że nie dość dużo wojażowałam w dzieciństwie. Nic dziwnego, skoro bez przerwy siedziałam w Bath.

- W Bath? Ze słów pani brata wynikało raczej, że miała pani dom w Bristolu.

Złapał się na kontemplowaniu dołeczka w jej policzku. Tymczasem panna Daventry znów się nieco zarumieniła i obiekt obserwacji znikł.

- Och, Harry był mały, kiedy mama przeprowadziła się do Bristolu. A ja poszłam do szkoły w Bath, mając dziesięć lat. Potem zostałam młodszą wychowawczynią.

Zamilkła, a Julian powrócił do lektury książki. Od czasu do czasu zerkał jednak na pannę Daventry, aby sprawdzić, jak znosi jazdę, i tłumaczył sobie, że wcale go nie interesuje dołeczek. Musiał jednak przyznać, że w tamtej chwili panna Daventry nawet w okularkach wyglądała ładnie. Jej usta, gdy się uśmiechała, miały bardzo powabny kształt...

Christy zdawała sobie sprawę z tych powtarzających się oględzin, starała się jednak nie zwracać na nie uwagi. Mimo to serce biło jej mocniej niż zwykle. Wyglądało to bowiem tak, jakby Braybrook czuł się w obowiązku dopilnować jej wygody, skoro znalazła się pod jego opieką. Naturalnie wiedziała, że okazuje jej uprzejmość dokładnie w ten sam sposób, w jaki okazywałyby ją komukolwiek ze służby. Mimo to trudno było zignorować przenikliwe spojrzenie jego niebieskich oczu. Odkąd usiadła przodem do kierunku jazdy, poczuła się wyraźnie lepiej. Tymczasem powóz kołysał, kołysał, kołysał. Ziewnęła.

Nieco później mgliście zapamiętała jeszcze zdejmowanie czepka i okularów i otulanie kocem. Zdawało jej się też, że ktoś musnął dłonią jej policzek. Może jednak to był tylko sen. Odplynęła do krainy sennych marzeń.

Zbudziło ją dotknięcie i wtedy usłyszała:

- Jesteśmy prawie na miejscu, panno Daventry.

Oszołomiona usiadła i po omacku złapała za rzemienny uchwyt, gdy powóz nagle szarpnął. Gdzie ona jest? To przecież nie jest Bristol. Dlaczego leżała na siedzeniu przy-

kryta kocem? Najgorsze, że wszystko dookoła było rozmazaną plamą. Gdzie się podziały jej okulary? Zaczęła gorączkowo ich szukać wokół siebie.

- Czy coś się stało? - Ten głos należał do lorda Braybrooka.

- Zdaje się, że zgubiłam okulary. Niewiele bez nich widzę.

- Ach, naturalnie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z nich jakiś przedmiot, który włożył jej w dłoń. Przekonała się, że to owinięte śnieżnobiałą chustką okulary.

- Uznałem, że w mojej kieszeni będą bezpieczniejsze.

Gdy brała je z jego rąk, przypomniał jej się moment zasypiania. Wyglądało na to, że lord Braybrook rzeczywiście starannie ułożył ją na siedzeniu. Tylko to muśnięcie policzka musiało być senną wizją.

- Dziękuję, milordzie. - Świat widziany przez soczewki okularów nabrał ostrzejszych kształtów. - Bardzo jest pan uprzejmy. - Zwróciła mu chustkę.

- Nie ma o czym mówić, panno Daventry. Za kilka minut będziemy w domu. Pani czepek leży na siedzeniu.

Ten chłodny ton ostatecznie rozproszył jej senne rozmarzenie. Starannie upięła włosy szpilkami, aby żaden kosmyk nie śmiał potem się wymknąć spod nakrycia głowy. Obawiała się wprawdzie, że po długiej podróży ma bardzo pogniecioną suknię, ale na to nie było rady.

Julian widział przez okno światła domu. Ciemna bryła rysowała się niewyraźnie w mroku. Starał się skupić myśli właśnie na tym, choć widok panny Daventry upinającej włosy bardzo go rozpraszał. Jako jej chlebodawca musiał jednak wybić sobie z głowy wszelkie niestosowne myśli. Ponoślił przecież za nią odpowiedzialność.

Mimo woli wciąż wyobrażał sobie szkołę w Bath, w której pannę Daventry pozostawiono jako małą dziewczynkę. Niby nie była to jego sprawa, ale przecież pamiętał dobrze, jak się czuł, gdy trafił do szkoły, mając osiem lat. Potem wrócił do domu na pierwsze wakacje i wtedy okazało się, że matki nie ma. Służący nie chcieli mu niczego powiedzieć, ojciec też uciekał od tego tematu. Z wolna docierało jednak do jego świadomości, że zaszło coś skandalicznego i kosztownego, co nazywano „rozwozem”. Zrozumiał też, że prawdopodobnie nigdy matki nie zobaczy. Tak też się stało. Po rozwodzie

poślubiła swojego kochanka i zamieszkała na kontynencie, a później umarła. Miał wtedy piętnaście lat. Jego ojciec nie ukrywał zresztą, że Serenę bierze za żonę z rozsądku, potrzebuje bowiem w domu kobiety, która urodziłaby mu dwóch zapasowych kandydatów na dziedzica majątku.

W każdym razie Julian dobrze pamiętał poczucie osamotnienia i przypuszczał, że dziewczynka musiała cierpieć z tego powodu w dwójnasób. Chłopcy lepiej znosili rozstanie z domem. Widział zresztą, że na przykład Davy bardzo chce znaleźć się w szkole. Musiał jednak jeszcze poczekać, Serena bowiem uzgodniła z ojcem, że wyślą go tam dopiero wtedy, gdy skończy dziesięć lat. Ojcu podobało się, że chłopiec jest w domu, lubił rodzinę wokół siebie.

Christy wyprostowała się na siedzeniu. Jechali aleją dojazdową, a konie, poczuwszy stajnię, nagle przyspieszyły. Pokonali kamienny most i znaleźli się w miejscu, które kiedyś było prawdopodobnie zamkowym dziedzińcem. Niewątpliwie ich oczekiwano, gdy bowiem powóz przystanął przed frontowymi drzwiami, powitało ich kilka osób i czarny podpalany seter.

Ku zaskoczeniu Christy, lord Braybrook natychmiast po wyjściu z powozu został otoczony przez troje dzieci.

- Przywiozłeś nam coś?

- Czemu nie przyjechałeś wcześniej? Miałeś wrócić wczoraj!

Julian odsunął na bok dziarsko szczekające zwierzę i wziął na ręce małego chłopca.

- Na miłość boską, uspokójcie się trochę, wszyscy troje! Leżeć, Juno! Myślałby kto, że wyjechałem na miesiąc. Jak się masz, Davy? Byłeś grzeczny?

- Tak. - Chłopiec energicznie skinął głową.

- Kłamczuch! - oświadczył starszy, mniej więcej piętnastoletni chłopiec. - Utrapieniec jeden, przykleił sobie wczoraj buty do schodów przed domem, żeby tam zostać i nie iść do łóżka, póki nie wrócisz. Jeszcze są w tym miejscu kawałki podeszew!

- Tak, tak - włączyła się dziewczynka. - A mama kazała nam wyjąć go z butów, bo nie chciały się odkleić. Powiedziała, że to nasza wina, bo mieliśmy go pilnować!

Christy odniosła wrażenie, że lord Braybrook z najwyższym trudem zachowuje powagę.

- I jak, Davy? - spytał.

- Obiecałeś, że wrócisz - bąknął chłopiec.

- Hm. Musiałem zostać dzień dłużej. Następnym razem idź do łóżka wtedy, kiedy ci każą, mały łobuziaku. - W głosie Juliana dała się słyszeć czułość.

- Dobrze. To samo powiedział pan Havergal. Przywiozłeś nam coś?

- Kim jest pan Havergal? - zainteresował się lord Braybrook.

Davy wzruszył ramionami.

- Znajomym mamy. Nie znasz go? Często tu przyjeżdża. - Pociągnął starszego brata za klapę. - Przywiozłeś nam coś?

- Nie, ale przywiozłem coś dla mamy.

- Dla mamy? - rozległ się chór trzech wyraźnie zawiedzionych głosów.

Lord Braybrook odstawił chłopca na ziemię, poklepał merdającą ogonem Juno i odwrócił się do powozu.

- Proszę pozwolić, że pomogę, panno Daventry.

Gdy Christy wstała, przekonała się, że po długiej podróży bolą ją wszystkie kości. Ledwie mogła ustać na nogach. Ostrożnie przysunęła się do drzwi powozu. Mocna ręka ujęła ją pod łokieć. Zaskoczona spojrzała na Braybrooka i zobaczyła na jego twarzy dyskretny uśmiech, całkiem życzliwy.

- Mam wrażenie, że trochę pani zeszywniała - stwierdził. - Ja zresztą też.

W to ostatnie trudno było uwierzyć. Chwilę wcześniej Christy doskonale widziała jego sprężysty sus.

- Dziękuję, milordzie.

Nagle zrobiło jej się znacznie cieplej. Najwidoczniej zareagowała tak na dotyk jego rozgrzanej dłoni. Wsiadając, potknęła się, ale Braybrook nie pozwolił jej upaść.

- To jest panna Daventry - przedstawił. - Panno Daventry, to jest moja siostra Emma i moi bracia Matthew oraz Davy.

Mimo zmęczenia Christy zdobyła się na uśmiech.

- Dobry wieczór, moi mili. - Suka podeszła ją obwąchać i odebrać należną porcję drapania za uchem.

- A to jest Juno - dodał jego lordowska mość i zwierzę wróciło do jego nogi.

- Dobry wieczór, panno Daventry - powitała ją przykładowie Emma.

- Dobry wieczór pani - zawtórował jej Matthew i lekko się skłonił.

Davy przybrał marsową minę.

- Czy przez panią Julian się spóźnił?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to możliwe.

- Obawiam się, że tak, Davy - powiedziała. - Lord Braybrook był taki uprzejmy, że dał mi jeden dodatkowy dzień na załatwienie spraw przed wyjazdem z Bristolu.

Davy'ego mało to interesowało.

- Mama gniewała się na mnie o buty - poinformował. - Mam na kolację tylko chleb z masłem i nie dostałem ciasta.

Lord Braybrook klepnął braciszka po pupie.

- Nie obwiniaj panny Daventry za swoje przewinienia, szelmo. Zmykaj do pokoju. Dawno powinieneś leżeć w łóżku.

Lord Braybrook trzymał Christy za łokieć, gdy szła po schodach do sieni wypełnionej ciepłym, żółtawym światłem świec. Tuż za nimi postępowała Juno, która najwidoczniej nie chciała odstępować ani na krok dopiero co odzyskanego pana.

Przed panem domu skłonił się kamerdyner.

- Witamy w domu, milordzie.

- Dobry wieczór, Hallam.

Kamerdyner zerknął na Christy, ale na jego twarzy nie pojawił się nawet ślad zdziwienia.

Tymczasem Christy rozejrzała się dookoła. Olbrzymia sień sprawiała wrażenie bardzo starej, jeśli sędzić po sklepieniu oraz po wysokości i stanie ścian z różowo-brązowego kamienia. Dwuskrzydłowe kamienne schody prowadziły na galerię.

- Witamy w Amberley, panno Daventry - powiedział lord Braybrook.

Nie zdążyła jednak zareagować, rozległ się bowiem stłumiony okrzyk w głębi sieni:

- Wielkie nieba! Kto to jest, Julianie?!

Pojawiły się dwie nowe osoby. Smukła młoda dama, najprawdopodobniej panna Trentham, miała okiełznane różową opaską czarne kręcone włosy, które otaczały oży-

wioną twarz z podobnymi oczami jak u rodzeństwa. Towarzyszyła ona starszej, siedzącej kobiecie, z nogami przykrytymi szalem, trzymającej na kolanach kota. Chwilę potem Christy zauważyła, że fotel jest zaopatrzony w koła.

Kobieta przyglądała jej się wyraźnie zaskoczona. Zdawało się też, że na jej twarzy maluje się dezaprobata. A więc to lady Braybrook.

- Julianie, coś ty zrobił? - zapytała.

Lord Braybrook podszedł do kobiety, pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Zapewne pomyślisz, że postąpiłem stanowczo zbyt pochopnie i że powinienem był zapytać cię o zdanie, ale...

- Bez wątpienia! - przerwała mu lady Braybrook.

- To jest panna Daventry, Sereno... twoja nowa dama do towarzystwa - wyjaśnił z uśmiechem.

Jeszcze przed chwilą lady Braybrook wyglądała na mocno zaintrygowaną. Teraz po prostu osłupiała.

- Przecież ci mówiłam! - odezwała się po dłuższej pauzie, podnosząc głos. - Nie chcę nikogo do towarzystwa! A nawet gdybym chciała, stanowczo wolałabym dokonać wyboru osobiście.

Christy od początku była przekonana, że trafi na despotyczną i arogancką panią domu, i to się teraz potwierdziło. Co gorsza, okazało się, że lord Braybrook całkowicie zlekceważył życzenia macochy. Poczula głębokie zakłopotanie, rozsądek nakazał jej jednak panować nad językiem. Dumnie się więc wyprostowała i najśłodziej, jak umiała, zwróciła się do lorda Braybrooka:

- Dziękuję, milordzie, za bardzo kształcącą, choć bezcelową podróż. Może następnym razem zechce pan łaskawie wziąć pod uwagę poglądy wszystkich zainteresowanych osób, zanim włączy do swoich planów kogoś z zewnątrz. Ufam jednak, że będę mogła przenocować i nie muszę udawać się w drogę powrotną natychmiast.

Rozdział czwarty

Brwi lady Braybrook niemal znikły pod eleganckim czepkiem, ale Christy zupełnie się tym nie przejęła. Mało ją obchodziło, co kto o niej pomyśli. Była zmęczona po dwóch dniach jazdy powozem, a teraz czekał ją jeszcze powrót. Prawdopodobnie nawet nie zdąży zobaczyć się z Harrym, zanim zostanie wyrzucona z tego domu. To oznaczało niechybne nadszarpnięcie oszczędności, bo podczas szukania kwatery trzeba było czymś opłacić pokój w gospodzie.

- No, no. Bardzo dobrze, moja droga - odezwała się tymczasem pani domu. - Julianie, na miły Bóg, przestań wytrzeszczać oczy i rusz się. Dopilnuj, żeby panna Daventry... Tak powiedziałaś, prawda? - Szybko zerknęła na pannę Trentham. - Dopilnuj, aby bagaż panny Daventry zanesiono na górę. Na przykład do pokoju gościnnego, niedaleko mojego. Tak będzie wygodnie.

Wyciągnęła ramię ku Christy.

- Musiała pani bardzo zgłodnieć, panno Daventry, proszę przebierać się do stołu.

Zakłopotana Christy podeszła, by uścisnąć damie rękę.

- Lissy, moja droga, pokaż pannie Daventry, gdzie może obmyć twarz i ręce, a potem przyprowadź ją do małej jadalni.

Christy posłusznie udała się za panną Trentham. Usłyszała jeszcze lady Braybrook mówiącą bardzo surowym tonem:

- Tymczasem, Julianie, porozmawiamy o tym w cztery oczy. Matt, odprowadź Davy'ego na górę i dopilnuj, żeby położył się do łóżka.

Po wyjściu z sieni panna Trentham uśmiechnęła się do Christy bardzo przyjaźnie i spytała:

- Czy naprawdę nazywa się pani Daventry? Co za zbieg okoliczności! Znam... Znamy tutaj pana Daventry'ego. To bardzo dobry przyjaciel - dodała, rumieniąc się.

- Nie ma w tym żadnego zbiegu okoliczności - odparła Christy. - Harry jest moim bratem. Lord Braybrook odszukał mnie celowo. Wydawało mu się, zresztą niesłusznie, że pani mama potrzebuje towarzyszkę, więc pomyślał o mnie.

Niebieskie oczy panny Trentham zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Chyba nie musi pani pracować?

W jej głosie nie było pogardy, jedynie niedowierzenie.

Pierwszy punkt dla lorda Braybrooka, pomyślała Christy, podążając korytarzem za panną Trentham. Prawdopodobnie jednak zarazem ostatni, zważywszy na to, jak zareagowała na jego władcze zachowanie lady Braybrook. Mimo to uznała, że powinna przynajmniej częściowo zapracować na swoją kwartalną wypłatę, którą lord Braybrook z pewnością będzie chciał jej wręczyć.

- Ależ muszę, panno Trentham. Harry zdobywa pozycję w świecie, a ja w tej sytuacji nie mogę być dla niego ciężarem. - Panna Trentham jakby się nieco zmieszała, a Christy ciągnęła: - Na tym etapie swojej kariery ma i tak wystarczająco dużo zachodu z utrzymaniem samego siebie. Nasz... - Ugryzła się w język i zaczęła jeszcze raz: - Jego ojciec chrzestny jest szczodry, ale ta szczodrość nie obejmuje utrzymywania siostry.

- Rozumiem... - Zaskoczenie słyszalne w głosie panny Trentham wskazywało, że zyskała nowy punkt widzenia na sprawy. Liczył się już nie tylko urok i przystojny wygląd Harry'ego. - Jesteśmy na miejscu - oznajmiła, otwierając drzwi. - To oranżeria, mama zawsze każe chłopcom wracać tędy do domu, bo tu jest woda i mydło.

Zdjawszy czepek, by umyć twarz i ręce, Christy pomyślała, że lady Braybrook sprawia wrażenie osoby bardzo praktycznej, a do tego życzliwej i zapewne znacznie przyjemniejszej niż jej ostatnia chlebodawczyni. Westchnęła, wycierając twarz. Imponujących referencji tu jednak nie dostanie.

Do wszystkich zainteresowanych!

Panna Daventry przybyła jako dama do towarzystwa w piątek wieczorem. Zwymyślała mojego pasierba i wróciła do Bristolu w sobotę rano.

Z wyrazami szacunku itd.

Takie referencje niewątpliwie miałyby swoje ograniczenia, pomyślała, upinając włosy. A co do posady, to chyba właśnie udało jej się ustanowić rekord: została zwolniona, zanim zaczęła pracę. Odświeżywszy nieco wygląd, odwróciła się do swojej towarzyski.

- Czy jest pani gotowa? - spytała panna Trentham. - To świetnie, że pani u nas zamieszka. Czepek proszę zostawić tutaj. Służąca zanieś go do sypialni.

Opuściły oranżerię.

- O ile dobrze słyszałam, panno Trentham, lady Braybrook powiedziała, że nie życzy sobie damy do towarzystwa. Jutro prawdopodobnie, a raczej z całą pewnością zostanie wyprawiona z powrotem do Bristolu.

Idąca przodem panna Trentham potrząsnęła burzą czarnych pukli.

- Na pewno nie. To właśnie jest denerwujące u Juliana, że każdego potrafi przekonać. Ludzie postępują dokładnie tak, jak im dyktuje. Nawet mama! A on uważa, że doskonale wie, co jest dla kogoś najlepsze. Mamie się zdaje, że Julian ma dobre intencje, ale to tyran!

- Bądź łaskaw co nieco wyjaśnić. - W głosie Sereny słychać było rozdrażnienie.

Julian przewiózł ją do saloniku przy sieni.

- To zwykły pretekst - powiedział, gdy zamknął drzwi. - Tak naprawdę dama do towarzystwa ma tu przebywać po to, żeby utrzymać Lissy w ryzach. - Usiadł na krześle i wytłumaczył, na czym polega jego plan.

- Rozumiem - odrzekła w końcu Serena z niezbitym przeświadczeniem, że rozumie więcej, niż powiedział Julian. Nie potrafił bowiem ukryć zainteresowania panną Daventry. Nie miało to jednak znaczenia, bo nie zamierzała mu pozwolić na żadne kroki w tym kierunku.

- Wnoszę więc, że jest dostatecznie nieciekawa, aby zostać guwernantką i damą do towarzystwa - wywnioskowała Serena.

Nieciekawa?

- Och, ani trochę - odparł sztywno. - Ona jest jeszcze w żałobie po matce.

- Myślę, że można dla niej dopasować niektóre z moich żałobnych sukni. To z pewnością da Lissy do myślenia.

- Czy to znaczy, że ona zostaje? - ucieszył się Julian.

- Tak sądzę, mój drogi - odrzekła Serena. - Na pewno będzie umiała się tutaj znaleźć. To nie jest szara myszka, która nie potrafi sklecić dwóch zdań, prawda?

- Nie jest. - Byłoby to ostatnie określenie, jakiego użyłby w odniesieniu do panny Christiany Daventry.

Christy starała się nie okazać zdumienia. W małej jadalni płonęło więcej świec, niż ona zużywała w ciągu roku, a pomieszczenie było większe niż cały parter domu przy Christmas Steps. Ponieważ zaś świece były woskowe, nie wydzielały przykrewj woni łożu.

- O, przyszły. - Lady Braybrook siedziała już przy okrągłym stole razem z Julianem i Matthew. Na powitanie obaj wstali.

- Proszę usiąść obok mnie, panno Daventry - odezwała się pani domu. - Bardzo przepraszam za brak taktu, jaki wykazałam wcześniej. Musiała pani odnieść wrażenie, że trafiła do domu dla obłąkanych. Tak jednak niefortunnie się złożyło, że Julian nie uznał za stosowne powiadomić mnie o swoich zamiarach.

Zerknęła na pasierba, który obszedł stół i odsunął krzesło dla Christy.

- Bardzo cię przepraszam, Sereno - powiedział lord Braybrook i wrócił na swoje miejsce.

Christy mocno powątpiewała w szczerą skruchę Juliana.

- Mamo - odezwała się panna Trentham. - To jest siostra pana Daventry'ego. - Oczy jej zabłyśły. - Czy nie powinnam wysłać do niego liściku, żeby go zawiadomić, że tutaj przyjechała?

Christy pochwyciła spojrzenie Braybrooka i powiedziała:

- Bardzo jest pani uprzejma, panno Trentham, ale po przyjęciu propozycji powiadomiłam o wszystkim Harry'ego. - W tym momencie obudziła się w niej złośliwość. - Będę jednak wdzięczna, jeśli poinformuje go pani, że wracam do Bristolu i wkrótce ponownie do niego napiszę.

Lady Braybrook nagle się zakrztusiła. Christy zwróciła się w jej stronę i zobaczyła, że dama manipuluje serwetką przy ustach. Po chwili powiedziała:

- To nie będzie konieczne. Braybrook zapoznał mnie tymczasem z wszystkimi okolicznościami i teraz mogę stwierdzić, że bardzo się cieszę z pani obecności w naszym domu. - Zerknęła na córkę. - Tak, Lissy, Julian wspomniał o tym pokrewieństwie. To miło z jego strony, że zechciał pomóc pannie Daventry w ten sposób, a i mnie będzie przyjemnie.

Panna Trentham uśmiechnęła się promiennie.

- To pysznie! Widzi pani, panno Daventry, mówiłam, że Julian mamę przekona. Jestem pewna, że pan Daventry wkrótce przyjedzie panią odwiedzić.

Co do tego Christy nie miała najmniejszych wątpliwości. Tymczasem lord Braybrook z powagą spojrział jej w oczy.

- Rzecz jasna, kiedy to się stanie, panno Daventry, będzie pani musiała wziąć pół dnia wolnego i spędzić ten czas z bratem. Rozumiem, że dosyć długo nie mieliście okazji się widzieć.

- To prawda - przyznała Christy. Od dnia pogrzebu mamy, dodała w myśli.

Stali wtedy w deszczu, przemoknięci do suchej nitki, i zastanawiali się, czy przyjdzie wielki nieobecny, czy będzie miał dość przyzwoitości. Przynajmniej ona się nad tym zastanawiała, bo Harry uważał to za mało prawdopodobne. „Nie bądź naiwna, Christy” - powiedział. „On na pewno ma ważniejsze sprawy”.

Wiedziała, że nigdy tego Alcastonowi nie wybaczy. Nigdy.

Nie dość, że nie przyszedł na pogrzeb, to nawet nie przysłał wieńca. Ta cała dyskrecja... Dlatego przecież nie pojawił się przed laty na pogrzebie małej Sarah. Głupio było wyobrażać sobie, że przyjedzie na pogrzeb mamy.

- Panno Daventry?

Uświadomiła sobie, że Braybrook mówi coś do niej, a ona wpatruje się w przestrzeń.

- Bardzo przepraszam, milordzie, ale się zamyśliłam - powiedziała, czując, że się rumieni.

- Panna Daventry musi być bardzo zmęczona, Julianie - wtrąciła lady Braybrook. - Współczuję ci, moja droga. Twój pokój będzie gotowy, zanim skończysz kolację, więc zaraz potem będziesz mogła się położyć. Dzisiaj niczego nie musimy uzgadniać. Proszę nalać sobie rosółu z kury. Lissy, podaj pannie Daventry pieczywo.

Christy zastanawiała się nad swoją sytuacją. Trudno było sobie wyobrazić większą zmianę. Lady Braybrook traktowała ją nie jak istotę niższego rzędu, lecz jak wyczekiwanego gościa. Należało więc mieć się na baczności, żeby nie zapomnieć o swojej pozycji w tym domu. Lady Braybrook mimo całej życzliwości była jej panią. A lord Braybrook jej panem?

Zacisnęła usta. Była służącą, a nie kimś równym państwu tego domu. Musiała mocno wbić to sobie do głowy, bo jeśli nie, to jak zdoła przekonać Harry'ego?

Następny ranek spędziła na rozpakowywaniu bagaży. W zasadzie rozłożenie wszystkiego zajęło jej dwadzieścia minut, resztę czasu poświęciła na rozmyślania, jak dopasować się do nowej sytuacji. Okazało się, że lady Braybrook wstaje dopiero późnym przedpołudniem, o czym Christy dowiedziała się od Grigson, ponurej, modnie ubranej kobiety, bez wątplenia domowej szwaczki, która właśnie o tej porze przyszła wezwać ją do salonu.

Lady Braybrook siedziała przy rozświetlonym oknie, trzymając kota na kolanach.

- Dziękuję, Grigson. Jesteś wolna. Dzień dobry, panno Daventry. Czy dobrze pani spała? Dziś rano wygląda pani lepiej. Braybrook wspomniał mi, że źle pani znosi jazdę powozem.

Christy dygnęła.

- Dziękuję, spałam bardzo dobrze. Milord niepotrzebnie się troszczył.

- Hm. W każdym razie cieszę się z pani lepszego samopoczucia. Proszę usiąść, porozmawiamy o pani obowiązkach. Właściwie chodzi tylko o Davy'ego i Emmę. Matthew przyjechał na wakacje ze szkoły, więc nim proszę nie zaprzętać sobie głowy. Lissy powinna się ćwiczyć w konwersacji francuskiej i włoskiej i nabierać wprawy w rysunku. Czy w tym jest pani w stanie jej pomóc?

- Naturalnie, proszę pani.

- Znakomicie. - Lady Braybrook promiennie się uśmiechnęła. - Póki Matt ma wakacje, Emma i Davy nie potrzebują wielu lekcji. Emma musi grać na instrumencie, Davy powinien ćwiczyć czytanie, francuski i trochę się uczyć arytmetyki, ale to wszystko, dopóki Matthew nie wyjedzie. Davy na pewno nieraz porządnie zalezie pani za skórę.

- Zapewniam, że nie ujdzie mu to na sucho - odrzekła Christy. Odnotowała jednak w myśli, że mamusi zakochane w swoich dzieciach na ogół nie zwracają uwagi na potrzebę ich dyscyplinowania.

- Znakomicie. Sądząc po tym, jak poradziła sobie pani wczoraj z Braybrookiem, z Davym nie powinna pani mieć najmniejszych problemów.

Kot na jej kolanach przeciągnął się i zeskoczył na ziemię, po czym podszedł do Christy. Ta zerknęła na niego kątem oka, usiłując zdecydować, czy zlekceważenie tego stworzenia nie obrazi lady Braybrook.

- Zastanawiałam się nad swoją rolą w tym domu - zaczęła. - Jeśli to nie przeszkadza, chciałabym coś na ten temat powiedzieć... - Urwała, bo kot wskoczył jej na kolana. Do licha, co z nim zrobić?!

Lady Braybrook uśmiechnęła się nad tamborkiem, nie przestając migać igłą.

- Droga panno Daventry, dlaczego miałoby to przeszkadzać? - Oczy figlarnie jej zabłyśły. - W końcu miała pani więcej czasu niż ja, aby oswoić się z tym pomysłem.

Christy zaczerwieniła się i podrapała za uchem kota, który ułożył jej się na kolanach.

- Och, proszę nie popadać w zakłopotanie. - Serena się roześmiała. - Doskonale wiem, jak despotyczny potrafi być Braybrook, kiedy robi coś dla czyjegoś dobra. Jest w tym irytujący, prawda? Proszę mi powiedzieć, co pani wymyśliła.

- Dziś rano dowiedziałam się, że zwykle wstaje pani raczej późno i...

- Wszystko przez te głupie nogi - wyjaśniła. - Rano biorę kąpiel, co zawsze dość długo trwa. To duże utrudnienie życia...

- Nie chciałam...

- Rozumiem doskonale. Zatem co pani wymyśliła?

- Mogłabym odbyć lekcje z młodszymi dziećmi rano, zanim pani wstanie.

- Znakomity pomysł. Będę mogła bez przeszkód zagarnąć panią na resztę dnia. Naturalnie po lunchu może pani iść na spacer z Lissy i Emmą.

- Z przyjemnością, ale jeśli mam być pani damą do towarzystwa...

- Ma pani również inne obowiązki, panno Daventry - zwróciła jej uwagę lady Braybrook.

Christy znów się zmieszala.

- To znaczy, że lord Braybrook pani powiedział...

- Braybrook jest najbardziej pokretnie myślącym i irytującym człowiekiem na świecie - stwierdziła bez ogródek pani domu. - Sama jeszcze nie rozstrzygnęłam, czy ukrywa prawdziwy powód pani pobytu przed Lissy, używając posady damy do towarzy-

stwa jako zasłony, czy raczej ukrywa go przed panią, udając, że przyjechała pani tutaj otworzyć oczy Lissy.

- Przy mnie posługuje się obydwoma argumentami - przyznała z uśmiechem Christy. - Może po prostu chce upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu?

- On nie jest ślepy. Choć o ogniu może myśleć. Tymczasem kot przewrócił się na grzbiet i zażądał drapania po brzuchu.

- Jeszcze jedno, moja droga - odezwała się Serena. - To pręgowane stworzenie nazywa się Tybalt, w skrócie Tyb. Jest geniuszem w przymilaniu się do takich ludzi jak Braybrook, który nie znosi kotów. Jeśli panią drażni albo wywołuje kichanie, to proszę nie mieć skrupułów i zrzucić go z kolan.

Znów Christy odniosła wrażenie, że jest traktowana jak domownik.

- Dziękuję pani, ale bardzo lubię koty.

- To znakomicie. Braybrook, jak większość mężczyzn, woli psy. Prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiałam, dlaczego wiele kobiet lubi koty, natomiast mężczyźni na ogół twierdzą, że ich nie znoszą, za to zachwycają się psami.

- Może dlatego, że koty są niezależne, nie mają natury niewolników jak psy - powiedziała bez namysłu Christy. - Niewykluczone, że my, kobiety, podziwiamy niezależność i moc, jakie rzadko stają się naszym udziałem. Tybalt siedzi mi na kolanach, ale to on wyświadcza mi uprzejmość. Koty przypominają arystokratów, mają służbę... - Ugryzła się w język.

Lady Braybrook ze śmiechem odłożyła robótkę.

- Wielkie nieba, nigdy o tym nie pomyślałam, ale ma pani rację. Inna sprawa, że wiele kobiet psy też lubi.

- To dlatego - odpowiedziała Christy zaniepokojona osobistym akcentem w rozmowie - że przystosowujemy się lepiej niż mężczyźni i potrafimy okazywać miłość z różnych, czasem nawet sprzecznych powodów. Koty mają swoją godność, psom należy się uznanie za ich wierność.

- Dzień dobry, Sereno. Czy mogę przerwać?

Christy zmartwiała. Oto lekcja ostrożności w wyrażaniu własnych opinii.

Julian miał dość rozsądku, by udać, że nie słyszał uwagi o kotach i arystokratkach, ale ucieszył się ze swojej przenikliwości. Tak jak przewidywał, Serena i panna Daventry zdawały się doskonale do siebie pasować.

- Naturalnie, mój drogi - odparła Serena. - Panna Daventry właśnie snuła porównanie między tobą a Tybem. Macie wiele wspólnego.

Julian zerknął na bezwstydnie rozłożonego kocura, nie był jednak pewien, czy jakkolwiek odpowiedź może być bezpieczna. Gdy zobaczył smukłe palce panny Daventry na brzuchu zwierzęcia, przyszło mu do głowy, że dotąd nigdy nie dostrzegął zalet bycia kotem. Nowa guwernantka naturalnie w ogóle nie zwracała na niego uwagi.

- Dzień dobry, panno Daventry - rzekł nieco urażony. - Ufam, że spała pani dobrze.

- Dziękuję, milordzie, bardzo dobrze.

Chłodno, skromnie, stosownie. Dokładnie tak, jak wymagała etykieta. I jakby to nie była panna Daventry.

- Potrzebujesz czegoś, Julianie? - spytała Serena.

Odwrócił się raptownie, świadom, że przyłapano go na gapieniu się.

- Nie, chciałem tylko sprawdzić, jak się miewasz. Gdybyś mnie potrzebowała, jestem w bibliotece. Wystarczy, że pošlesz po mnie pannę Daventry.

Julian usunął się z pokoju najszybciej, jak mógł. Że też zrobił z siebie takiego głupca! Wszystko przez tego przekłętą kota! Wiedział jednak, że wiadomości od pełnomocnika pomogą mu otrzeźwieć. Było to jak najbardziej wskazane.

Podczas lunchu Julian ponownie pogratulował sobie trafego wyboru towarzyski dla Sereny. Macocha dawno już nie wydawała się taka ożywiona.

- Myślę, że po południu wyślemy pannę Daventry na spacer z Emmą i Lissy - oznajmiła Serena. - Powinna stopniowo wciągać się w obowiązki.

- Chciałyśmy dziś po południu pojeździć konno, mamó - powiedziała Lissy. - Panna Daventry może nam towarzyszyć. Prawda, Julianie?

Zerknął na siostrę.

- Naturalnie, jeśli tylko ma ochotę. - Nie było to najelegantsze zaproszenie, ale wiedział, że nie może okazać nawet cienia zainteresowania.

Panna Daventry odchrząknęła, Julian zrozumiał więc, że należy oczekiwać najgorszego.

- Zdaje się, że ma pani jakieś zastrzeżenie. Zatem proszę je wyrazić.

- To w zasadzie nie jest zastrzeżenie, raczej stwierdzenie. Czy naprawdę musiała być tak piekielnie pedantyczna?

- Słucham więc? - Nie podobał mu się własny ton, ale panna Daventry nie zwróciła na to uwagi.

- Nie umiem jeździć konno.

- Nie umie pani? - zdumiała się Lissy. - Przecież wszyscy to potrafią!

- Nie wszyscy, panno Trentham - odparła spokojnie panna Daventry. - Zawsze mieszkałam w mieście, a na konia nie było nas stać.

- Harry, to znaczy pan Daventry, jeździ konno. Powiedział mi, że nauczył się jako mały chłopiec...

- Dość, Lissy.

Julian nie rozumiał, skąd u niego zażenowanie. Przecież właśnie w tym celu zatrudnił pannę Daventry. Jego siostra miała zauważyć, że dzieli ich od Daventrych przepaść. Okazało się jednak, że medal ma dwie strony. Tu drugą stroną było upokorzenie panny Daventry. Wcześniej nie przyszło mu to do głowy, a teraz zupełnie mu się nie podobało. Zerknął na Serenę, która komicznie uniosła brwi.

- Mamy Merlina w stajni - dodał, zastanawiając się, co tak rozbawiło macochę.

- Poczciwy Merlin - zgodziła się Serena. - Pewnie dobrze mu zrobi trochę ruchu. Jestem przekonana, mój drogi, że to znakomity pomysł.

Coś w uśmiechu Sereny wyostrzyło jego nieufność. Mimo to zwrócił się do panny Daventry.

- Gdyby miała pani ochotę, może skorzystać z wierzchowca, na którym dawniej jeździła Serena. Jest bardzo spokojny, zawsze nosił damę.

Panna Daventry oczywiście wbiła wzrok w podłogę.

- Dziękuję panu, ale wolałabym zostać z lady Braybrook...

- Nie, moja droga. Niech pani się z nimi wybierze - poradziła Serena. - Będzie dużo zabawniej, jeśli i pani nauczy się jeździć. Lissy zazwyczaj gubi towarzyszącego loka-

ja, ale wobec pani nie będzie chyba popisywać się takimi złymi manierami. - Zerknęła na córkę, która spłonęła rumieńcem.

- Nie mam kostiumu jeździeckiego - zaprotestowała panna Daventry, usiłując uniknąć przeznaczonego jej losu.

Serena jednak uznała, że nie jest to problem.

- Może pani wziąć mój. Jest trochę zbyt obszerny, ale za to w ciemnym granacie będzie pani do twarzy. I nie musi się pani przejmować żałobą. A skoro o tym mowa, to mam sporo sukni żałobnych, w które już się nie zmieszczę. - Uśmiechnęła się do swojej towarzyszki. - Odkąd jestem przykuta do tego przeklętego krzesła, bardzo przybrałam na wadze. Naturalnie, powinnam unikać jedzenia ciastek i znacznie więcej ćwiczyć.

Julian zerknął na Lissy. Siostra przyglądała się pannie Daventry, która tym razem grzecznie przyjęła zaproszenie.

Rozdział piąty

Christy zmarszczyła czoło, widząc swoje odbicie w lustrze. Kostium rzeczywiście był nieco zbyt obszerny, ale i tak wyglądała w nim niemal ładnie. Podkreślał zgrabną figurę, którą większość jej sukni ukrywała, zdaniem jej poprzedniej chlebodawczyni bowiem dopasowane suknie oznaczały, że „kobieta sama się prosi”.

Nikt nie zwracał uwagi na szarą damę do towarzystwa w zbyt obszernej sukni, czepku i okularach. Tak było bezpieczniej. Teraz jednak nabrała niepokojącego przekonania, że nie tylko lord Braybrook, lecz również jego macocha widzi Christy, a nie pannę Daventry. Schodząc na dół, powtarzała sobie jednak, że nawet wystrojona w cudze piórka, pozostaje zwykłą służącą.

- O, jest pani!

Lissy i Mathew czekali na nią w holu, kiedyś zwanym „wielką salą”. Amberley było bardzo starą rezydencją, a Trenthamowie niewątpliwie mieszkali tu od niepamiętnych czasów.

- Ładnie pani wygląda - pochwaliła ją Lissy i Christy przygryzła wargę, aby nie roześmiać się z jej protekcjonalnego tonu. - Konie czekają. Dla pani przeznaczaliśmy starą szkapę mamy. Bardzo potulną.

- Co wcale nie znaczy, że ledwo powłóczy nogami - dodał Matthew. - Mogła pani dostać innego wierzchowca, ale Julian uznał, że ostrożności nigdy za wiele i że nie chce pogrzebu w domu. - W jego tonie protekcjonalizmu nie było.

- Bez wątpienia byłby to zbędny wydatek - stwierdziła Christy.

Matthew uśmiechnął się szeroko.

- Julian ujął to nieco inaczej. Bardziej obawiał się kłopotu.

Christy zerknęła na niego znad okularów; Był to jej wyćwiczony sposób na dyscyplinowanie młodych ludzi. Matthew nadal szelmowsko się uśmiechał.

- Julian czeka na dworze z Emmą, Davym i końmi - poinformowała Lissy z ledwie ukrywanym entuzjazmem.

Nie ulegało wątpliwości, że Braybrook postanowił ich odprowadzić. Christy pożalowała, że zgodziła się na tę eskapadę. Nic już jej nie uratuje przed wystawieniem się na

pośmiewisko. Zapewne nawet mały Davy lepiej radził sobie z kucykiem niż ona z wierzchowcem.

Rzeczywiście, kiedy Lissy i Matthew wyszli razem z nią przed dom, Davy siedział na kasztanowym kucu, a Emma dosiadała gniadej klaczy. W pobliżu stał Braybrook, trzymając wodze wielkiego karosza, a przy okazji również sennie wyglądającego konia o maści jarzębatej, wielkością przypominającego dużego kuca.

Dwa pozostałe konie trzymali stajenni. Dokonawszy w myślach podliczenia, Christy stanęła jak wryta. Dotąd zakładała, że pojedzie z nimi służący, który będzie ją uczył. Tymczasem Braybrook miał na sobie strój jeździecki. To zaś oznaczało, że zamierza odegrać rolę nauczyciela. Co gorsza, wiedział, jak ją to krępuje, i cieszył się jej zmieszaniem.

- Panno Daventry, bez wątpienia rozumie pani, że wolę upewnić się co do jej bezpieczeństwa osobiście - powiedział.

Uśmiechnęła się słodko.

- Jestem wdzięczna, że milord gotów jest tak się zniżyć. Zmarszczył czoło, ale po chwili przeniósł spojrzenie na

Lissy i dopiero wtedy odpowiedział:

- Nie ma za co. Przedstawiam Merlina.

Zdawało się, że to nie koń, lecz człowiek. Zapewne nie pierwszej młodości. Christy przyglądała się, jak Braybrook głaszcze zwierzę za uszami i po karku. Potem wy dobył z kieszeni coś, co wywołało radosne parsknięcie, i po chwili rozległ się chrzęst.

- Proszę podejść - polecił - i wyciągnąć przed siebie otwartą dłoń, całkiem płasko. - Położył jej na ręce kawałek cukru.

Christy patrzyła na to z dużym niepokojem. Może i Merlin był stary, ale jeśli sądzić po dźwiękach dochodzących z jego pyska, zęby jeszcze miał. Zanim jednak zdążyła zaprotestować, miękkie, wilgotne wargi ujęły bryłkę z zadziwiającą delikatnością i znów rozległ się chrzęst.

Zachwycona Christy odruchowo pogłaskała konia po pysku, który okazał się mechaty jak aksamit. Wielkie, ciemne oczy przyjrzały jej się bacznie... i nagle ten sam mechaty pysk trącił ją raz i drugi z wielkim entuzjazmem.

Nieprzygotowana na to Christy zatoczyła się do tyłu. Na szczęście mocne ramiona bez wysiłku ją przytrzymały. Zanim jednak zdążyła się poczuć zakłopotana tą sytuacją, już była wolna.

- Bardzo przepraszam, panno Daventry - powiedział bez wątpienia rozbawiony Braybrook. - Merlin naprawdę jest dżentelmenem, tylko że bardzo lubi cukier. Nic się pani nie stało?

- Nic a nic.

Davy z wysokości grzbietu kuca oświadczył:

- Popatrz, Julianie! Merlin ją obślinił.

Christy zerknęła w dół. Rzeczywiście, Piękny, obszywany przód kostiumu wyglądał jak ruina. Uniosła głowę i pochwyciła spojrzenie niebieskich oczu, odwracające się od jej piersi.

- Proszę się nie martwić, panno Daventry. To na pewno zejdzie.

- Ale lady Braybrook będzie...

- Skądże. Często narzekała na Merlina, bo dobrze zna tę jego sztuczkę. Obślinił jej kostium wiele razy. Poza tym teraz jest to już pani własność.

- Możemy już jechać? Proszę... - błagał Davy. Mathew siedział w siodle, a stajenny właśnie pomagał Lissy dosiąść konia. Widząc, jak robi z dłoni stołeczek dla obutej nogi i wrzuca pannę na siodło, Christy aż się wzdrygnęła. Wielki Boże, ona w takiej sytuacji przeleciałaby na drugą stronę grzbietu i pacnęła na ziemię.

- Panno Daventry?

Głos Braybrooka zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

- Czy... czy jest tu jakiś pieniek, żeby łatwiej było dosiąść konia?

- Sam posadzę panią na Merlinie, panno Daventry.

Nie zaprotestowała. Wsunęła stopę w strzemień, a Braybrook ujął ją w tali i bez wysiłku umieścił w siodle. Nawet jeśli cofnął ręce z małym opóźnieniem, to nie było w tym geście niczego niestosownego. Mimo to ciało Christy zareagowało bardzo żywo. Sztywno się wyprostowała z nadzieją, że najtrudniejsze chwile ma za sobą.

Była jednak w błędzie, ponieważ Braybrook zaczął układać jej prawą nogę na kuli. Długimi palcami poprawiał ułożenie kolana, a Christy starała się nie zwracać uwagi na

intymność tego dotyku. Przecież Braybrook jedynie pokazywał jej, jak należy trzymać się w siodle. Potem zajął się nogą w strzemieniu, a ona musiała sobie przypominać, że wzięła buty do konnej jazdy i męska dłoń nie dotyka jej skóry.

- Proszę wypychać piętę w dół, panno Daventry - poinstruował, pokazując jednocześnie, o co chodzi. - Wtedy, hm, siedzenie lepiej przylega do siodła.

Informacja okazała się przydatna, bo Merlin był znacznie wyższy, niż jej się początkowo zdawało. Na jego grzbiecie nie czuła się bezpiecznie.

- Teraz kolej na wodze.

Trzeba je było ująć, to oczywiste. Na tym jednak jej wiedza się kończyła.

- Proszę trzymać je lekko - pouczył ją Braybrook, po czym pokazał, jak należy je skracać. - One nie służą do utrzymywania równowagi. Pani musi prowadzić nimi konia, tylko najpierw trzeba poczuć jego pysk. Lekki kontakt, kciuki na wierzchniej stronie wodzy.

Braybrook się odsunął.

- Bardzo dobrze - orzekł. - Przynajmniej nie będę musiał pani przypominać o prostowaniu pleców - dodał i gibkim ruchem dosiadł karego ogiera.

Merlin parsknął i postąpił kilka kroków naprzód, a Christy straciła równowagę i kurczowo chwyciła się siodła. Wtedy Merlin poczuł skrócone wodze i przystanął. Natychmiast się wyprostowała i zerknęła kątem oka na Braybrooka, który udawał, że niczego nie zauważył. Zdawał się też nie dostrzegać jej starannie ukrywanego przerażenia.

Wszystkie kobiety mają talię, powtarzał sobie Julian. Chciał sobie wbić do głowy, że panna Daventry jest równie bezkształtna, jak jej suknie. Nie bardzo to jednak wychodziło, bo przecież przed chwilą wyraźnie wyczuł smukłą figurę i kobiece krągłości.

- Dokąd jedziemy? - spytała Lissy, która znalazła się obok nich.

- Ja lubię jeździć nad rzekę - odezwał się z nadzieją Davy.

Lissy teatralnie westchnęła.

- Tylko nie znowu nad rzekę.

- Nie, Davy! - odparła Emma. - Nie wszyscy lubią czekać, aż wypatrzysz pstrąga, którego nigdy tu nie było.

Chłopiec się naburmuszył.

Julian chciał poprzeć Davy'ego, ale uprzedziła go panna Daventry.

- Jest rzeka? A w niej prawdziwe pstrągi?

Twarc chłopca wyraźnie się ożywiła.

- Nie tylko pstrągi, ale i trocie. Naprawdę duże. - Na chwilę puścił wodze, by zilustrować ostatnie twierdzenie. - Można je czasem zobaczyć. Należą do Juliana - dodał z dumą.

Panna Daventry uśmiechnęła się nieznacznie.

- Bardzo chcę je zobaczyć - oświadczyła z przekonaniem. - Nie miałam pojęcia, że lord Braybrook jest tak ważny, że nie tylko posiada ryby, ale może również sprawić, by się pokazały.

Emma zachichotała, a Matthew wybuchnął śmiechem.

Wszystkie spory natychmiast zostały zapomniane. Julian musiał przyznać, że panna Daventry bardzo sprawnie zażegnała grożące niebezpieczeństwo. Najbardziej ucieszyło go jednak to, że Lissy reaguje na pannę Daventry właśnie tak, jak przewidywał. Życzliwością przemieszana z współczuciem. Z jego doświadczeń wynikało bowiem, że współczucie jest zabójcze dla namiętności.

Tymczasem panna Daventry bezwstydnie wykorzystała wdzięczność jego najmłodszego braciszka.

- Davy, jak jest po francusku... - Puściła mimo uszu wyraźny jęk. - ... Jak jest „ryba”?

Malec zmarszczył czoło.

- *Pou... Poussin?*

- Prawie - ucieszyła się panna Daventry. - To jest „kurczę”, ale brzmi bardzo podobnie. „Ryba” to *poisson*.

Jechali dalej ku rzece, a Julian z coraz większym uznaniem słuchał, jak panna Daventry swobodnie prowadzi rozmowę z dziećmi, przy okazji powiększając francuskie słownictwo całej czwórki.

Gdy dojechali do lasu, Christy czuła się na końskim grzbiecie znacznie pewniej. Do tej pory lord Braybrook pilnował, aby nikt nie wyłamał się ze stępa, ale teraz pozwolił młodszym uczestnikom wycieczki pojechać przodem.

- Proszę teraz usiąść prosto w siodle i poćwiczmy kłus - zwrócił się do Christy.

Zanim zdążyła zaprotestować, Braybrook już się oddalał. Jednak jazda kłusem okazała się znacznie trudniejsza niż stępa. Grzbiet Merlina podskakiwał, a ona wraz z nim. Braybrook, dosiadający konia po męsku, unosił się i opadał w tym samym rytmie. Ona w damskim siodle nie miała takiej możliwości.

Mocniej oparła prawe kolano o kulę siodła, myśląc, że na swoje sto funtów rocznie zapracuje co do pensa. Tymczasem rodzeństwo Braybrooka już znikło im z oczu za zakrętem, a do nich dolatywał jedynie tętent i od czasu do czasu radosny okrzyk.

- Czy nie powinniśmy ich dogonić? - zdołała spytać, mimo że trudno jej było złapać oddech.

- Skręciłaby pani kark. Lepiej najpierw nabrać wprawy. Na takie podskakiwanie, na przykład, jest sposób. Proszę się wyprostować i wypchnąć piętę w dół, wtedy pani... siedzenie będzie lepiej przylegać do siodła.

Tak zwane siedzenie bolało Christy niemiłosiernie, więc myśl o bliższym kontakcie z siodłem była dla niej bardzo przykra, posłusznie jednak wykonała polecenie i rzeczywiście trochę przestała podskakiwać.

- Obawiam się jednak, że przejażdżki ze mną okażą się dla panny Trentham dosyć nużące, milordzie - powiedziała po chwili.

- To możliwe - przyznał.

Nagle uświadomiła sobie, że Braybrook znajduje się w takiej samej sytuacji.

- Pan na pewno chce dołączyć do rodzeństwa. Proszę się mną nie przejmować, nic mi nie grozi. Merlin wydaje się bardzo łagodnym koniem.

- Nie ma mowy, panno Daventry. Mam różne wady, ale nie jestem bezduszny.

Christy skapitulowała. Poklepała konia po karku i uznała, że gdyby ziemia nie była tak daleko, jazda mogłaby się okazać całkiem przyjemna. Przez chwilę panowało milczenie.

- Czy odważy się pani spróbować galopu, panno Daventry? Oczywiście roboczego.

- Galopu? - Spytał, czy się odważy! - Naturalnie, milordzie!

- Zatem proszę trochę skrócić wodze, ale nie zwiększać oporu w pysku. To jest tylko zabezpieczenie na wypadek, gdyby musiała pani zwiększyć kontrolę nad koniem.

Ostrożnie wypełniła tę instrukcję.

- Dobrze, teraz proszę się wyprostować i dać mu łydkę. Posłusznie ucisnęła koński bok. Merlin dalej kłusował.

- Och, on ma solidne żebra. Nie grozi mu, że je pani złamie - zapewnił ją Braybrook.

Spróbowała ponownie i nagle koń raptownie przyspieszył. Uczucie było wspaniałe. Poczwała na twarzy ruch powietrza. Podobne wrażenie można by pewnie mieć podczas lotu.

- Udało się! - zawołała. - I już nie podskakuję!

- Merlin w ogóle mało podrzuca - zgasił jej radość.

- Psuje pan zabawę.

- Słucham?

Poniewczasie Christy zorientowała się, że wypowiedziała swoją myśl na głos. Trudno. Nie pozwoli się zastraszyć.

- Psuje pan zabawę - powtórzyła.

Julian przygryzł wargę, aby się nie roześmiać. Powinien był to przewidzieć. Uczył przecież jeździć Emmę i Davy'ego. Jak mógł zapomnieć to uniesienie, gdy pierwszy raz posmakowali galopu? Jak mógł nie pamiętać o swojej pierwszej próbie? Zaraz jednak spochmurniał. Panna Daventry jest guwernantką. Nie do niego należało cieszyć się jej błyskiem w oczach i rumieńcem na policzkach. Głęboko odetchnął.

Dobre pół mili przejechali w milczeniu, jeśli nie liczyć okazjonalnych rad. Uczennica zdawała się pilnie z nich korzystać. W pewnym momencie Julian powiedział:

- Teraz proszę się wyprostować w siodle, lekko zacisnąć dłonie na wodzach, a potem delikatnie powściągnąć konia.

Z uwagą obserwował, co się stanie. Ku jego zaskoczeniu, Merlin zareagował na ruch dłoni amazonki i przystanął.

- Dobra robota - pochwalił Christy, zatrzymując konia obok. - Myślę, że możemy pozwolić pani na więcej samodzielności. - Z tymi słowami pochylił się i odczepił wodzę, którą na wszelki wypadek kontrolował do tej pory ruch poczciwego Merlina.

- Ale...

Panna Daventry wydawała się zaskoczona.

- Gdyby chciał ponieść, prawdopodobnie i tak bym go nie utrzymał - wyjaśnił. - To było wyłącznie po to, żeby poczuła się pani pewniej.

- Racja, milordzie - przyznała.

Najgorsze, że w jej policzku znów pojawił się ten uroczy dołeczek. Trudno. Skinął głową i ruszyli. Jechali wzdłuż rzeki, po obu stronach której wznosiły się zalesione wzgórza. Nieco dalej dolina wyraźnie się zwężała, wkrótce więc powinni byli natknąć się na wracającą resztę towarzystwa. Julian miał nadzieję, że jego rodzeństwo nie pojechało bez niego w głąb lasu. Prawdę mówiąc, z wytęsknieniem czekał na chwilę ponownego spotkania, bo to sam na sam z panną Daventry budziło w jego głowie bardzo niepokojące myśli.

Na szczęście zaraz potem usłyszeli śmiechy i tętent kopyt. Jednak grupa, która wyłoniła się spomiędzy drzew, wyraźnie się powiększyła. Dołączyło do niej dwóch młodych mężczyzn.

Julian szybko poznał nowo przybyłych. Po bokach Lissy jechali Harry Daventry i Ned Postleton, syn miejscowego właściciela ziemskiego. Obaj byli tak zajęci współzawodniczeniem o względy młodziutkiej damy, że nie zauważyli jeźdźców na swojej drodze.

Dopiero Lissy wskazała ich szpicrutą. Nawet z pięćdziesięciu jardów Julian dostrzegł zdziwienie na twarzy Daventry'ego. Po następnych słowach Lissy spochmurniał i skinąwszy jej głową, z gniewną miną zbliżał się do Christy i Juliana. Chwilę potem doszło do spotkania.

- Dzień dobry, milordzie - przywitał się Harry. Młody koń, którego dosiadał, gryzł wędzidło i rzucał łbem.

- Dzień dobry, Daventry - odrzekł Julian. - Chyba nie muszę przedstawiać pana mojej towarzyszce, prawda?

- Nie, milordzie, nie ma takiej potrzeby. Co tutaj robisz? - zwrócił się do siostry niezbyt uprzejmie. - Dlaczego nie jesteś w Bristolu?

Julian poczuł wzbierającą złość. Ten młokos mógłby przynajmniej uprzejmie powitać siostrę! Można jednak było się spodziewać, że panna Daventry przywoła Harry'ego do porządku. Jednak czekało go zaskoczenie.

- Nie dostałeś mojego listu? - spytała niepewnie. - Wysłałam go w zeszłym tygodniu, kiedy tylko dowiedziałam się, że tu przyjeżdżam. Powinien trafić do twoich rąk.

- Ja... - Daventry poczerwieniał. - List przyszedł wczoraj. Byłem bardzo zajęty. Sir John miał dla mnie dużo zleceń.

Nastąpiła krótka pauza.

- Rozumiem.

W głosie Christy nie było nawet cienia pretensji czy urazy, więc Julian zerknął na nią kątem oka. Odniósł wrażenie, że panna Daventry stara się doskonale panować nad sobą w jeszcze większym stopniu niż zwykle.

- Zatem jest pan mile zaskoczony, Daventry - powiedział obojętnie. Ostatecznie nie była to jego sprawa, że ten człowiek nie otwiera listów od siostry.

- Istotnie, milordzie - przyznał. - I jeśli wolno, chciałbym porozmawiać z Christy na osobności... - Urwał, bo zbliżające się towarzystwo spłoszyło mu konia.

- Czy to nie wspaniała niespodzianka, panie Daventry? - spytała Lissy. - Kiedy panna zobaczyłam, specjalnie powiedziałam rodzeństwu, żeby nie zdradzili się ani słowem. Panna Daventry będzie damą do towarzystwa mojej mamy i moją guwernantką. Och, panno Daventry, to jest pan Postleton.

Davy zmarszczył czoło.

- Ona jest również moją guwernantką. Uczy mnie francuskiego.

Lissy zignorowała braciszka.

- Mama mówi, że panna Daventry zastąpi ją w roli mojej przyzwoitki, więc będzie pan mógł często widywać się z siostrą - dodała, uśmiechając się do Harry'ego.

Pan Daventry i pan Postleton wydawali się mało zachwyceni takim rozwojem wypadków.

- Nie wiedziałem, że masz siostrę, Daventry. - Postleton bezceremonialnie zmierzył Christy wzrokiem, uchylając kapelusza. Julian przyglądał się temu z oburzeniem. - Dzień dobry pani.

- Dzień dobry panu - odrzekła chłodno.

Julian podjechał nieco bliżej, jakby chciał zasłonić pannę Daventry przed Postletonem. Ten uśmiechnął się znacząco.

- Braybrook wsadził panią na pięknego konia - znów się odezwał.

Julian zeszywniał, ale zachował rozsądek, bo przecież mogła to być zupełnie niewinna uwaga.

- Sam pan widzi - odparła beznamiętnie panna Daventry. - To stara szkapa lady Braybrook. Pierwszy raz siedzę w siodle.

- Rozumiem. Wnoszę więc, że galop nie jest pani specjalnością.

Julian lekko zmarszczył czoło, ale nic w minie panny Daventry nie wskazywało, by zauważała w słowach Postletona coś aluzyjnego.

Tymczasem ten zwrócił się do Lissy.

- Panno Trentham, czy miałaby pani ochotę pogalopować? Skoro Braybrook troszczy się o pani guwernantkę, grozi nam ślimacze tempo.

- Nie wiem... - Spojrzała na pannę Daventry, a następnie na Juliana, szukając oznak przyzwolenia.

Brat skinął głową.

- Tak. Emma i Matt też mogą z wami jechać, jeśli zechcą - powiedział, uznając, że Postleton pozwalał sobie na zuchwałe uwagi w stosunku do guwernantki, ale z pewnością nie był takim głupcem, aby przekroczyć granicę dobrego wychowania wobec panny Trentham z Amberley.

Postletona nie zachwyciło powiększenie grupy, ale powiedział tylko:

- Proszę przodem, panno Trentham, panno Emmo.

- Czy mogę jechać z nimi? - spytał błagalnie Davy.

- Nie - odparł Julian, ale zanim braciszek zdążył się zbuntować, dodał: - Będziesz miał ze mną lekcję skoków przy tym przewróconym pniu, a tymczasem panna Daventry porozmawia z bratem. Do roboty, Davy. Jadę za tobą, ale żadnych skoków, dopóki wyraźnie ci tego nie polecę.

Chłopiec się rozpogodził i kłusem ruszył w stronę pnia. Julian zerknął jeszcze na pannę Daventry.

- Chyba pomyślał pan o wszystkim, milordzie - powiedziała, znów rozpraszając jego uwagę dołączkiem.

- Przy tym typku inaczej się nie da - odrzekł. - Proszę pamiętać, że panią ostrzegałem.

Rozdział szósty

Christy zwróciła się ku bratu, który przypatrywał się jej z posepną miną.

- On wydaje się bardzo z tobą spoufalcony. Do diabła, Christy! Jak mam utrzymać swoją opinię dżentelmena, jeśli moja siostra jest uważana...

- Za kogo jest uważana, Harry? - spytała ze złością. - Co w tym złego, że chcę mieć źródło utrzymania i zaoszczędzić trochę na starość? Co miałam zrobić, kiedy sprzedałeś dom? Łaskawie umrzeć z głodu? - Zaczerpnęła tchu, licząc, że pomoże jej się to opanować. - Nie, dość tego. Nie kłóćmy się. Lepiej spróbujmy jeszcze raz od początku. - Uśmiechnęła się. - Cieszę się, że cię widzę. Dobrze się miewasz? Czy to twój koń?

Wzruszył ramionami, jakby wciąż rządziła nim uraza.

- Nie najgorzej. A to jest okaz ze stajni sir Johna. Książę wspomniał w liście polecającym, że znam się na układaniu młodych koni. Co ty, u diabła, tutaj robisz, Christy? Dlaczego szukałaś posady właśnie tu?

- Nie szukałam - odparła. - Lord Braybrook złożył mi wizytę. Wyjaśniłam ci to w liście.

- Co takiego? - zaperzył się. - Dlaczego miałby to robić, Christy? Do diabła! Jego reputacja... - Urwał. - Jak on cię znalazł? Pewnie zaczął węszyć. Szpiegował!

- Nie mam pojęcia. Przyszedł akurat wtedy, gdy był u mnie twój przyjaciel Goodall. Porozmawialiśmy i zaproponował mi posadę. A najpierw wyrzucił Goodalla.

- Co zrobił?!

- Część sprzętów w domu należała do mnie, Harry - przypomniała. - Goodall zdawał się tego nie rozumieć.

- Po co ci one, skoro dom został przeznaczony do sprzedaży? - spytał gniewnie.

- Potrzebuję pieniędzy. Przygotowałam je do osobnej sprzedaży. - Nie widziała potrzeby informowania go, że zachowała niektóre pamiątki po matce i większość książek. Lepiej, aby sądził, że wszystko zostało sprzedane.

- Dałbym ci twoją część pieniędzy. Zresztą, to wcale nie wyjaśnia, dlaczego przyjąłś posadę.

- A dlaczego miałam nie przyjąć?

- Ponieważ on posługuje się tobą, żeby mi zaszkodzić. Chyba to rozumiesz? Na pewno chce, żebyś szpiegowała. Mnie i A... i pannę Trentham! - zakończył ze złością.

Christy naturalnie wiedziała, że Harry nie będzie zachwycony nową sytuacją, ale nie spodziewała się u niego takiej zajadłości.

- Każda guwernantka czy dama do towarzystwa musi wiedzieć, co dzieje się dookoła - odparła urażona. - Poza tym, co takiego można podpatrzeć? Zadawałeś sobie mnóstwo trudu, żeby przekonać mnie o swoich manierach dżentelmena. Mam więc prawo się spodziewać, że będziesz zachowywał się zgodnie z etykietą, prawda?

- Nie o to mi chodzi! - Harry zmienił temat. - Skąd wiesz, że Braybrook żywi wobec ciebie uczciwe zamiary?

- Nie dał mi żadnych powodów, bym mu nie ufała - odparła. - Sypialnię mam blisko apartamentów lady Braybrook. W dzień jej towarzyszę, a jeśli nie, to jestem z dziećmi albo z panną Trentham. Braybrooka interesuje tylko to, co robię, a nie ja osobiście. Nie wydaje mi się, żeby mógł mi zagrażać dlatego, że nie ma o tobie dobrego zdania.

- Ciekaw jestem, ile guwernantek Braybrook uhonorował lekcją jazdy konnej - rzekł z przekąsem Harry. - Nie wspomnę już o nowym kostiumie jeździeckim. Wiem przecież, że sama nie kupiłabyś czegoś takiego.

- Lady Braybrook podarowała mi swój stary strój, żebyś mogła odbywać przejażdżki z jej córką. Braybrook udzielił mi lekcji z tego samego powodu. Słyszałam, że panna Trentham lubi uciekać służącym i jeździć samopas.

Harry nie odpowiedział, tylko się skrzywił. Zdawał sobie sprawę z tego, że teraz Alicji trudniej będzie korzystać z jego wolnych dni.

- Nie szarp wędzidła! O, teraz dobrze! Doskonale!

Odwróciwszy głowę, Christy zobaczyła, że Davy właśnie zrobił nawrót i znowu najężdża na przeszkodę. Braybrook z dumną miną przyglądał się postępom chłopca.

- Christy, ty mnie słuchasz?

Znów spojrzała na brata.

- Przepraszam, co powiedziałeś?

- Powinnaś zrezygnować, wrócić do Bristolu.

- A jak to wytłumaczyć?

- Wszystko jedno - odrzekł naburmuszony. - Dostałaś lepszą propozycję. Albo nie podoba ci się na wsi. Bóg mi świadkiem, że nigdy ci się nie podobało.

- Nawet nie miałam okazji sprawdzić - odparła. - Poza tym bardzo mi się tutaj podoba. - Wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak dalece miasto ją ogranicza.

- W takim razie niech będzie lepsza propozycja.

- Jako guwernantka i dama do towarzystwa jestem tutaj opłacana lepiej, niż mogłabym marzyć. Lord Braybrook nie jest głupcem. Zresztą dokąd miałabym pójść?

Dziesięć minut później, gdy Harry wciąż próbował zrozumieć przyczynę nagłej decyzji Christy, wróciła Alicja z resztą rodzeństwa. Uśmiechnęła się do nich życzliwie.

- Musi pan do nas przyjechać w środę, panie Daventry - powiedziała. - Mama z pewnością zrezygnuje na godzinę lub dwie z towarzystwa panny Daventry.

- W środę? - zainteresowała się Christy.

- To mój wolny dzień - wyjaśnił Harry, starając się nie okazać zadowolenia z tej propozycji. Zdobył się nawet na wymuszony uśmiech i dodał: - Może i ty, Christy, mogłabyś poprosić o wolną środę. Wtedy czasami część dnia spędzilibyśmy razem.

- Wspomnę o tym lady Braybrook - odparła dyplomatycznie.

Naturalnie zamierzała dodać, że to wolny dzień Harry'ego.

Bez trudu wyobraziła sobie, co oznaczałoby jego „czasami”. Tymczasem podjechał do nich lord Braybrook z Davym.

- Powinniśmy wracać do domu. Młoda czwórko, możesz jechać przodem.

Rodzeństwo Juliana pomachało na pożegnanie i ruszyło. Braybrook zwrócił się do Harry'ego i Postletona.

- Miłego dnia, panowie. Daventry, jestem pewien, że lady Braybrook da się namówić, by mógł pan odwiedzać siostrę.

Christy uśmiechnęła się dość sztucznie.

- Dziękuję, milordzie. Zatem do zobaczenia wkrótce, Harry.

- Tak, naturalnie - bąknął.

- Żegnam pana - zwróciła się Christy do Postletona.

- Proszę raczej powiedzieć *au revoir* - odrzekł Postleton z fatalnym akcentem i wykonał ekstrawagancki ukłon. - To po francusku, jak pewnie pani wie. Jestem przekonany, że jeszcze się spotkamy.

Christy poczuła, że traci cierpliwość.

- Jestem guwernantką, panie Postleton - poinformowała z jadowitą słodyczą. - Dlatego potrafię poznać, kiedy ktoś mówi po francusku.

- Do widzenia, Postleton - pożegnał się Julian, starając się nie wybuchnąć głośnym śmiechem. - Jedziemy, panno Daventry. Mamy czworo jeźdźców przed sobą.

Gdy oddalili się na tyle, że nikt ich nie mógł podsłuchać, dodał:

- Radzę pani mieć baczenie na Postletona. On nie zawsze potrafi zachować umiar, gdy widzi kobietę.

Panna Daventry pogardliwie parsknęła. Bez wątpienia zrozumiała to, co zostało przemilczane: że Postleton traktuje tak kobiety, które uważa za gorsze od siebie.

- Czy również dlatego nie widzi się pani w roli damy do towarzystwa? - spytał Braybrook, mimo woli się uśmiechając.

Ku jego zaskoczeniu, panna Daventry powściągnęła konia i zwróciła się ku niemu czerwona ze złości.

- Tak pan sądzi, milordzie? Z pewnością nie zdziwi więc pana, jeśli powiem, że pan Postleton mimo dostojęstwa swojego rodu i rozmiarów majątku nie jest dżentelmenem. Kto to widział, żeby pozwalać sobie na takie aluzje w obecności kobiet?! Czyżby za nic pan miał skromność swoich sióstr?

Dopiekła mu tym do żywego. Okazało się jednak, że doskonale wiedziała, co Postleton miał na myśli.

- One nie rozumiały tego co pani, panno Daventry. Jak więc to świadczy o pani?

Przymrużyła oczy.

- Tak samo jak o panu. Nie jestem całkowicie nieświadoma. Nie stać mnie na luksus życia pod kloszem, jakie jest udziałem pańskich sióstr.

Dała Merlinowi łydkę i ruszyła kłusem właśnie tak, jak uczył ją Braybrook.

- Co pani robi? - spytał, gdy ją dogonił.

- Wracam do domu! To znaczy do Amberley!

Długo milczała, a on nie mógł zrozumieć, co ją ugryzło. W duchu przeklinał Postletona. W końcu uznał, że czas pomyśleć bardziej praktycznie.

- Proszę powściągnąć konia do stępa, panno Daventry.

Posłusznie wykonała manewr.

- Merlin się zmęczył? - spytała, klepiąc zwierzę po karku. - Jest stary, prawda? Czy nie ciężę mu zanadto?

Mimo woli się uśmiechnął. Takiego ciężaru Merlin z pewnością w ogóle nie zauważył. Za to jego uwagę zaprzętnął dyskretny zapach lawendy spowijający pannę Daventry.

- Na pewno nie - odpowiedział. - Chodzi mi o panią. Cała będzie pani obolała.

Skinęła głową. Julianowi ulżyło, gdy za lasem zobaczył czekającego na nich Davy'ego.

- Star nie nadaża - poinformował ich. - Oni jechali za szybko.

- Bardzo rozsądnie zrobiłeś, że przystanąłeś - pochwaliła go Christy. - Czy nazwałeś ją Star z powodu tej gwiazdki na czole?

Davy wydał się głęboko dotknięty.

- Star jest wałachem, panno Daventry. Nie wie pani, jaka jest różnica?

Julian wyteżył słuch. Bardzo był ciekaw, jak wybrnie z tej sytuacji przyzwoita panna Daventry.

- Obawiam się, że nie, Davy - powiedziała spokojnie. - Szczerze mówiąc, bardzo mało wiem o koniach. Może więc mi wytłumaczysz.

Wyjaśnienie Davy'ego na temat różnic między kłaczą, wałachem i ogierem, a także ich znaczeniem, okazało się zaskakująco wyczerpujące. Julian doszedł do wniosku, że stajnie są dla jego brata kopalnią wiedzy.

Gdy wjeżdżali na podwórze przed stajnią, Christy nie miała wątpliwości, że jej pierwsza przejażdżka trwała zbyt długo. Zerknęła na bruk, który wydawał się niepokojąco daleki. Jak tu zsiąść?

Braybrook zdążył zeskoczyć ze swojego ogiera i zbliżał się do Merlina. No, nie! Wciąż pamiętała dotyk jego dłoni, gdy usadzał ją w siodle, i wiedziała, że to nie może się powtórzyć. Uwolniła lewą nogę ze strzemienia, prawą przełożyła nad kulą siodła i zsunęła się na ziemię.

Droga była dłuższa, niż się Christy zdawało. Nogi bez wątpienia nie utrzymałyby jej ciężaru, ale Braybrook zdążył ją podtrzymać. Nieoczekiwanie dla siebie znalazła się w jego ramionach.

- Po diabła ten skok? - spytał ze złością. - Przecież ostrzegałem, że wszystko będzie panią bolało.

- Nie ostrzegł mnie pan, że po jeździe tak się uginają kolana - odparła zirytowana.

- Myślałem, że to oczywiste. Na pewno czuje się pani tak, jakby zamiast nóg miała przeżute rzemienie.

- Julianie, czy nic się nie stało pannie Daventry? - Stał przy nich Matthew, z kurtką jeździecką przerzuconą przez ramię. - Może pomóc jej dojść do domu?

- Tak, o ile twój koń jest już w stajni.

- Jest. Ostatni kawałek drogi przejechaliśmy stępą, żeby konie ochłonęły - wyjaśnił Matthew. - Panno Daventry, proszę wesprzeć się na moim ramieniu.

Christy z wdzięcznością przyjęła pomoc. Ostrożnie zrobiła pierwszy krok. Przeżuty rzemień, a to ci dopiero! Była wściekła na Braybrooka, ale myśl, że ją obserwuje, pomogła jej wykonać następny krok.

- Znakomicie - pochwalił ją Matthew. - Nie należało zeskakiwać z konia. To szczęście, że Julian był w pobliżu, bo inaczej mogłaby się pani bardzo potłuc na kamieniach.

- Pioruńskie szczęście! - dobiegł ją pomruk zza pleców. Christy odwróciła się i spojrzała prosto w intensywnie niebieskie oczy.

- Dziękuję panu. I za lekcję, i za cierpliwość.

- Nie ma za co. Życzę miłego dnia.

Christy wiedziała, że dostała odprawę.

Odprowadziwszy Merlina do stajni, Julian stanął na progu, by popatrzeć na oddalającą się pannę Daventry. Wciąż pamiętał jej smukłe ciało i dotyk krągłych piersi, a także samotny kosmyk na czole, brązowy ze złocistym połyskiem, a do tego jeszcze parę różnych oczu za soczewkami okularów i miękkie, lekko rozchylone wargi.

Panna Daventry była niebezpieczna, zwłaszcza że zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Nawet nie wiedziała, że sama też znajduje się w niebezpieczeństwie. A przecież nie wolno mu było uwieść damy do towarzystwa macochy i guwernantki rodzeństwa.

- Panno Daventry!

Christy obróciła się w kierunku, z którego dobiegło ją to despotyczne wezwanie. Resztę popołudnia spędziła z lady Braybrook. Potem przebrała się do kolacji i właśnie zastanawiała się, czy nie będzie jej wygodniej jeść na stojąco, ponieważ bardzo bolały ją mięśnie.

- Słucham, milordzie.

- To suknia lady Braybrook? - spytał, marszcząc czoło.

Poczuła się nieswojo. Miękki, jasnoszary jedwab był z pewnością zbyt elegancki dla guwernantki. Mocniej otuliła się szalem, również otrzymanym od pani domu.

- Milady chciała, żebym ją włożyła. - Nawet więcej. Po prostu jej to nakazała.

- A pani posłusznie wykonała polecenie.

Usłyszała w jego głosie dziwną nutę.

- Jak pan widzi, milordzie.

Musiała przyznać, że jest niesamowicie przystojny. Nie mogła jednak uznać tego za usprawiedliwienie dla zdrożnych myśli, które zdradliwie ją nawiedzały.

- A czepek, panno Daventry...

- Jest mój własny - dokończyła oschle.

W to nie wątpił. Serena nigdy nie włożyłaby czegoś równie okropnego. Nawet kosmyczek nie wysunął się spod tego garnka.

Odchrząknął i gestem zaprosił ją do salonu. Ulżyło mu, gdy przekonał się, że Serena, Lissy i Matthew już tam są. Gdyby został tu sam z panną Daventry...

- O, jesteście oboje - rozległ się głos Sereny. Jej uśmiech szybko zamienił się w grymas. - Nie, moja droga. Nie czepek. Nie do tej sukni.

Julian przygryzł wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem, i kątem oka sprawdził, jak panna Daventry zniosła tę reprymendę. Całkiem potulnie. Dlaczego więc na jego uwagę o sukni zareagowała oschle?

- Julianie, na miły Bóg, zdejmij to!

Aż zaswędziały go palce. Wolał się jednak upewnić, czy czegoś opacznie nie zrozumiał.

- Co mam zdjąć, Sereno?

- Czepek panny Daventry! - odrzekła zbolalym tonem. - Szybko, Julianie!

Christy instynktownie poderwała rękę, ale nie zdążyła. Białe nakrycie głowy już znalazło się w dłoniach Braybrooka.

- Teraz dużo lepiej! - zawyrokowała Serena. - Daj mi ten czepek, Julianie. - Z pewnym wysiłkiem uniosła się nieco na fotelu i usiadła na swojej zdobyczy. - Niech to będzie ostatni taki czepek, jaki u ciebie widzę, moja droga - oznajmiła. - Możesz do nich wrócić, kiedy będziesz w moim wieku.

Lissy zachichotała.

- Och, mam. Pan Havergal powiedział, że obrzydliwie wyglądają również u kobiety w twoim wieku!

Znowu ten Havergal. Któż to, u diabła, jest? Julian postanowił ująć tę kwestię w nieco bardziej oględne słowa.

- Kim jest Havergal i co ma do powiedzenia w sprawie nakrycia głowy mamy, Lissy?

- Nic a nic - odpowiedziała za nią Serena.

- Och, to przyjaciel mamy - wyjaśniła Lissy. - Planuje osiedlić się niedaleko stąd, a tymczasem przyjeżdża co kilka dni z wizytą. Jeszcze go nie poznałeś?

- Nie. - Niewątpliwie musi nadrobić to zaniedbanie jak najszybciej. Zerknął na Serenę. - Z przyjemnością zawrę tę znajomość.

- Bez wątplenia wkrótce do tego dojdzie - odrzekła Serena. - O czym to ja mówiłam? Aha, panno Daventry, dla osoby w wieku dwudziestu czterech lat czepek jest nie do

przyjęcia. Zwłaszcza że ma pani bardzo piękne włosy. To zbrodnia ukrywać je przed światem. Mam rację, córko? - zwróciła się do Lissy, przesyłając jej surowe spojrzenie.

- Słucham, mam? - powiedziała półprzymkniętymi oczami Lissy. - Ach, naturalnie. Panno Daventry, wygląda pani dużo ładniej bez tego obrzydlistwa.

I była to prawda. Niemniej jednak Julian zauważył, że Serena celowo zmieniła temat. Kimkolwiek był ten Havergal, nie chciała o nim rozmawiać.

- Jeśli skończyliśmy debatować nad upodobaniami panny Daventry w kwestii nakryć głowy, to może zasiądziemy do kolacji - zaproponował.

Przez następne dni Christy dopasowywała się do domowego rytmu. Rankami, zanim wstała lady Braybrook, odbywała lekcje z Davym i Emmą. Po lunchu ćwiczyła podczas spacerów Lissy i Emmę we włoskiej lub francuskiej konwersacji albo dawała im lekcje rysunku. Lorda Braybrooka widywała rzadko. Wydawało jej się, że z jakiegoś powodu zaczął ją darzyć niechęcią.

Mimo to czuła się bezpieczna. Lady Braybrook była z niej zadowolona. Często zdarzały się też okazje do tego, by Alicja mogła się przekonać, co oznaczałoby dla niej małżeństwo z Harrym. Na przykład lekcja rysunków któregoś popołudnia.

- Już kiedyś szkicowałyśmy Amberley - powiedziała niezadowolona Emma, gdy szły we trzy przez park.

Christy nie zamierzała ustąpić.

- Znakomicie. Będziemy więc mogły porównać wynik z poprzednimi szkicami. To bardzo ciekawe, jak różnie ludzie potrafią przedstawić tę samą znajomą scenę. Poza tym, jeśli sięgniecie do swoich starych prac, będziemy miały świadectwo waszych postępów i zmian w stylu.

- Wolalabym raczej iść do stajni, żeby narysować któregoś z koni - odparła Emma.

Mimo to posłusznie usiadła we wskazanym miejscu i przez dłuższy czas panowało milczenie, wszystkie trzy zajęły się bowiem rysowaniem. Wreszcie Christy zarządziła przerwę i zaczęła oglądać wyniki.

Omali się nie roześmiała. Rysunki przedstawiały w tym samym stopniu Amberley, co i same autorki. Emma zaznaczała każdy szczegół, liczba widocznych okien i drzew

zgadzała się co do joty. Alicja natomiast oddała Amberley jako masywną kamienną bryłę na tle dodanych przez wyobraźnię burzowych chmur.

- Lissy, dzisiaj jest słonecznie! - zaprotestowała Emma, widząc rysunek siostry.

Alicja spojrzała na nią groźnie.

- I co z tego? Amberley wygląda tak romantycznie, kiedy nadchodzi burza. Zupełnie jak wyjęte z „Tajemnic zamku Udolpho”.

Emma przewróciła oczami.

- Co za głupia książka.

- Wcale nie głupia. Zresztą, nawet jej nie przeczytałaś.

- Tylko dlatego, że mama mi nie pozwoliła. Poza tym Matt też uważa, że jest głupia. - Zwróciła się do Christy. - Czy możemy zobaczyć pani rysunek, panno Daventry?

- Naturalnie.

Christy podała im szkicownik.

- Ale to nie jest Amberley - orzekła Emma, marszcząc czoło. - Pani powiedziała, żeby każda narysowała swój dom.

- Amberley jest waszym domem - wyjaśniła Christy. - To jest mój dom, a w każdym razie był, bo teraz ma zostać sprzedany.

- Ojej - zachwyciła się Emma. - Popatrz, Lissy, jaki świetny rysunek. - Christy narysowała z dużym talentem dom wciśnięty między aptekę a sklep rybny, przy czym udało jej się uchwycić charakter ulicy. W jej ujęciu zwracał uwagę przede wszystkim całkowity brak romantyzmu. Alicja wydawała się dość skonfundowana.

- Pani tam mieszkała? - spytała, jakby trudno to sobie było wyobrazić. - Myślałam... Pan Daventry mówił coś o kamienicy...

- Dom jest z kamienia - odparła pogodnie Christy. - W samym środku Bristolu, niedaleko nabrzeża, w dość hałaśliwym otoczeniu. Zamożni ludzie najczęściej wybierają Clifton. Ja mieszkałam w tym domu razem z mamą po skończeniu szkoły. Potem zostałam damą do towarzystwa w Clifton i tam się przenieśliśmy, ale kiedy mama zachorowała, wróciłam do domu, żeby się nią opiekować.

Przykre szczegóły pobytu w Clifton wolała przemilczeć. Na przykład to, że syn chlebowodziny uważał, że wobec Christy może bezkarnie na wiele sobie pozwalać.

Emma wciąż bacznie przyglądała się rysunkowi.

- Czy z pani domem sąsiaduje apteka, panno Daventry? - spytała.

- Apteka? - powtórzyła coraz bardziej zdumiona Alicja. Christy skinęła głową.

- Tak. Była bardzo użyteczna podczas choroby mamy. Po drugiej stronie jest sklep rybny. Czasem brzydko stamtąd pachniało, ale ogólnie dom był wygodny. Nie za duży, więc jedna służąca wystarczała, by go utrzymać w czystości, a poza tym bliskość sklepów bardzo ułatwiała życie. Kończymy na dzisiaj?

Alicja z chmurną miną składała przybory do rysowania.

- Czy coś cię dręczy? - spytała łagodnie Christy.

- Och, nie - odrzekła, nieco się czerwieniąc. - To jedna ze starych sukni mamy, prawda, panno Daventry?

- Tak. Dzięki uprzejmości lady Braybrook przez lata nie muszę kupować sobie nowych strojów. To duża oszczędność.

Lissy zrobiła wielkie oczy.

- Przez lata... - Urwała, spoglądając gdzieś za plecy Christy. - Zdaje mi się... Czy to nie pan Daventry się zbliża?

Christy odwróciła się. Istotnie, Harry nadchodził od strony domu sprężystym krokiem. Alicja przesłała niepewne spojrzenie Christy.

Chwilę potem Harry wykonał przed nimi ukłon.

- Dzień dobry paniom. Lady Braybrook przekazała mi wiadomość, gdzie panie znajdę. Szkicowanie? - spytał, przesyłając uśmiech Alicji.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech, ale Christy odniosła wrażenie, że dostrzega w wyrazie jej twarzy pewną rezerwę.

- Rysowałyśmy Amberley - wyjaśniła Emma - bo panna Daventry powiedziała, że będziemy szkicować swój dom. A ona narysowała pański dawny dom w Bristolu. Bardzo udatnie, widać nawet, że obok jest apteka.

Nie wydawało się, aby Harry był z tego zadowolony.

- Naprawdę? - Popatrzył na Christy. - Lady Braybrook pozwoliła ci pospacerować ze mną po ogrodzie. Powiedziała, żeby panna Trentham i Emma wróciły do domu.

- Naturalnie. - Christy uśmiechnęła się do Emmy. - Czy mogłabyś zanieść za mnie do pokoju szkicownik i przybory do rysowania?

Kiedy dziewczęta się oddaliły, odwróciła się do brata.

- Po kiego diabła to zrobiłaś?! - spytał zirytowany.

- Nie sądzisz, że panna Trentham powinna chociaż do pewnego stopnia wiedzieć, co ją czeka, jeśli cię poślubi? Czyżbyś dał jej do zrozumienia, że jesteś właścicielem eleganckiej kamienicy?

- Nie twoja sprawa! Lepiej zadbaj o własną reputację. Ludzie gadają, że Braybrook ogląda się za tobą. Naturalnie, zapewniłem sir Johna, że plotki są bezpodstawne, ale...

- Co takiego?! - oburzyła się Christy. - Jak śmiesz rozmawiać o moich sprawach?!

- O Braybrooku krąży opinia, że jest rozpustnikiem. Dla nikogo to nie tajemnica. On nawet ma... - Urwał nagle i odchrząknął. - Nieważne. O tym lepiej zmilczeć. W każdym razie mimo iż zdaniem sir Johna nie jest to człowiek, który uwiódłby służącą, a tym bardziej guwernantkę, ludzie wiedzą swoje. - Zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem. - Prawdę mówiąc, ktoś taki jak ty nie ma szans zwrócić na siebie jego uwagi, więc nie warto się przejmować. Chyba że Braybrook zajął się tobą z nudów.

- Nie wydaje mi się, aby osiągnął stan tak głębokiego znudzenia - odparła bardzo stanowczo Christy. Powstrzymała się też przed drażnieniem sprawy. Zresztą i tak domyśliła się, że chodzi o kochankę. W tych kręgach nie było to niczym nadzwyczajnym.

- Mogłabyś przynajmniej pomyśleć o mojej pozycji. Nie pomaga mi, jeśli ludzie poszeptają, że moja siostra musi zarabiać na utrzymanie. Przecież nie ma takiej potrzeby - dodał. - Książę mógłby ci pomóc. Gdybyś tylko...

- Nie - ucięła. - Nie chcę od niego niczego! Bądź rozsądny, Harry.

- Rozsądny? - parsknął. - A jaki niby jestem? Najszybszym sposobem na ułożenie sobie życia jest korzystne małżeństwo, a...

- Nie możesz nikogo poślubić, nie powiedziawszy mu prawdy! Zwłaszcza panny Trentham, która jest przyzwyczajona do życia w luksusie.

Ona i Harry do tego świata nie należeli. Dla nieślubnych dzieci księcia nie było w nim miejsca. Nikt przed nią prawdy nie ukrywał, poznała ją, mając osiem lat. Kiedy miała dziesięć, poszła do szkoły w Bath z surowym napomnieniem, by pamiętać, że jej

ojciec umarł, a księżę Alcaston jest tylko szczodrym ojcem chrzestnym Harry'ego. I tak było nadal, gdy w wieku osiemnastu lat zakochała się pierwszy i ostatni raz.

Harry przynajmniej miał szansę do czegoś dojść. Sądzonego go według tego, co robi. Na jej życiu zawsze miał kłaść się cieniem status matki jako kochanki księcia. Ona, Christy, była potencjalną kobietą upadłą.

- A co wynikło z tego, że powiedziałaś prawdę? - odparł Harry, jakby czytał w jej myślach. - Gdybyś nie była taka zasadnicza...

- Wolę być w zgodzie ze sobą - odparła. - Wtedy wiem, że wszystko odbywa się na moich zasadach. Z czego zamierzasz utrzymywać pannę Trentham?

Wzruszył ramionami.

- Księżę podwyższyłby mi pensję, gdybym zdecydował się ożenić. Zwłaszcza korzystnie. A ona ma przecież posag.

- Owszem, pod warunkiem, że nie położy na nim ręki jej brat - powiedziała, nie ukrywając pogardy. - Nie masz żadnego wpływu na Alcastona. Nie możesz planować, polegając wyłącznie na nim.

- Ponieważ w odróżnieniu od ciebie nigdy nie byłem tak nieroztropny, by mu się narazić, nie obawiam się odrzucenia z jego strony. - Przybrał zaciętą minę. - Nie widzę powodu, dla którego moje pochodzenie miałoby cokolwiek zmienić. Jeśli zaś chodzi o Braybrooka... - Wzruszył ramionami. - On darzy Alicję wystarczająco ciepłymi uczuciami, by nie dać jej umrzeć z głodu. Na pewno zrozumie, że lepiej mi pomóc, niż ją wydziedziczyć.

Christy mimo woli zacisnęła pięści, ale zachowała spokój.

- O tym nie pomyślałam. To bardzo dla ciebie wygodne, że Braybrook jest oddany rodzinie.

- Nie o to mi chodziło! Nie wymyślaj, Christy, Bóg wie czego! Moje korzystne małżeństwo pomoże nam obojgu. Jeśli zdołam przekonać ojca, żeby wyznaczył ci pensję, będziesz mogła z nami zamieszkać i pomagać Alicji w prowadzeniu domu.

- Jesteś bardzo szczodry - odparła, nie ujawniając, co o tym naprawdę myśli. - To bez wątplenia stawia sprawy w innym świetle. Zastanowię się.

Harry wyraźnie poczuł się pewniej.

- Koniecznie. Powinnaś zrozumieć, że to najlepsze rozwiązanie. Nie zamierzam uwieść Alicji ani z nią uciec. Jej koligacje nie pomogłyby mi w karierze, gdybym ją zhańbił. - Wyciągnął z kieszonki elegancki zegarek. - Muszę iść. Mam sprawę do załatwienia w Hereford. Wpadłem tylko po drodze. - Schował zegarek. - Zmień sobie wolny dzień w przyszłym tygodniu. Możemy się wybrać do Hereford razem. Sir John ma gig, którym mogę dysponować.

- Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie, Harry. O ile wiem, w środy lady Braybrook bardzo mnie potrzebuje.

Rozdział siódmy

Christy pożegnała się z Harrym przy stajniach i wróciła do domu. Okazało się, że brat był zdecydowany zdobyć Alicję. Niedobrze. Pozostawało jej jedno. Przy pierwszym podejrzeniu wskazującym na to, że Alicja planuje coś nierozsądnego, należało powiedzieć prawdę lady Braybrook.

Otworzyła drzwi oranżerii i powoli skierowała się ku sieni. Postawiła sobie pytanie, czy byłaby w stanie zrujnować Harry'ego. Doszła do wniosku, że tak, gdyby miało to ocalić dziewczynę przed popełnieniem życiowego błędu.

Szła przez hall do schodów, gdy zatrzymał ją znajomy głos.

- Panno Daventry?

Zatrzymała się, zaskoczona.

- Och, nie zauważyłam. Milord mnie szukał?

- Czy ma pani jakiś kłopot?

Braybrook podszedł do niej z poważną miną, ale w jego głosie nie było podejrzliwości, jedynie troska.

- Nie, skądże! - Postarała się uśmiechnąć, choć wypadło to dość sztucznie. - Proszę wybaczyć, milordzie, ale muszę wrócić do swoich obowiązków.

- Może, na przykład, doszło do kłótni rodzinnej? Widziałem pani brata.

- Nie wydaje mi się, milordzie, aby miało to cokolwiek wspólnego z panem - odparła chłodno.

Wyciągnął rękę i ostrożnie przesunął palcem po czole Christy, jakby chciał wygładzić zmarszczki. Potem przeniósł palec niżej i obwiodł nim jej wargi.

Doznania, jakie to w niej obudziło, całkiem zmałyły jej myśli. Cofnęła się jednak i całą siłą woli skupiła uwagę na plamie światła rozjaśniającej w jednym miejscu perski dywan.

- To wszystko, milordzie? - spytała.

Opuścił ramię.

- Życzę pani miłego dnia. - Z tymi słowami obrócił się na pięcie i wyszedł.

Została sama. Po co Braybrook tak się zachował? I dlaczego całe jej ciało nagle ożyło? Z niepokojem uświadomiła sobie, że zauważył, co się z nią dzieje. Ona też nie ufała samej sobie, lepiej więc było pilnować obowiązków i nie roić sobie zbyt wiele.

Powinien trzymać się z dala od panny Daventry. Pod żadnym pozorem nie wolno mu było czekać na nią w opustoszałym holu ani schodzić zbyt wcześnie na kolację. Wykluczone też były rozmyślania o jej zatroskanym wyrazie twarzy. To nie była jego sprawa.

Żadne z tych postanowień nie tłumaczyło jednak, dlaczego następnego ranka wolne miejsce panny Daventry przy stole śniadaniowym silnie przyciągało jego wzrok, a nieobecność Christy tak bardzo go obeszła.

- Nie smakuje ci szynka, Julianie?

Głos Sereny wyrwał go z zadumy. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że nie zwykła pojawiać się o tak wczesnej porze. To też było zagadkowe.

- Smakuje. Zastanawiałem się, dlaczego nie ma panny Daventry.

Serena uniosła brwi, ale odpowiedziała całkiem obojętnym tonem:

- Ponieważ Lissy i Emma pojechały odwiedzić Lucy Pargeter, dałam pannie Daventry wolny dzień. Chyba właśnie przygotowuje się do wyjścia z domu.

- Dokąd? I jak? O ile wiem, panna Daventry nie potrafi powozić.

W tej chwili otworzyły się drzwi pokoju śniadaniowego. Panna Daventry była ubrana w jedną ze swoich starych, pozbawionych zdobień sukni z szarego batystu, na wierzch narzuciła niebieski spencerek, a słomkowy kapelusik trzymała za troczki. Na

szczęście o czepku nie było już mowy, więc kręcone ciemnoblonde włosy zdawały się odbijać słoneczne światło. Podobnie jak niesforny kosmyk opadający jej na policzek.

- Jest pani. - Serena uśmiechnęła się jak gdyby nigdy nic. - Jakie ma pani plany na wolny dzień?

- Pomyślałam, że po prostu pójdę na spacer - odparła Christy, zerknąwszy niespokojnie na Braybrooka.

Juliana zaniepokoił ten pomysł. Las w okolicy ciągnął się przez wiele mil. Nie znając go, łatwo było się zgubić.

- Tuż za wsią jest bardzo ładna ścieżka przez las - włączył się do rozmowy Matthew. - Wspina się na wzgórza i dalej idzie grzbietem, a potem opada do rzeki, skąd można wrócić tą drogą, którą niedawno jechaliśmy konno. Narysuję pani mapkę.

- To są w sumie jakieś cztery mile - powiedział z irytacją Julian. - Długo trzeba iść pod górę. Ona bardzo się zmęczy.

- No cóż... - Matthew posmutniał. - Rzeczywiście miejscami jest tam dość stromo, ale...

- „Ona” - wtrąciła Christy - bardzo lubi chodzić. Poza tym sama potrafi ocenić, jak daleko jest w stanie dojść. Dziękuję, Matthew, twoja propozycja bardzo mi się podoba. Wezmę szkicownik i ołówek.

- Lepiej niech pani zabierze ze sobą coś do jedzenia i picia - doradziła Serena. - Znam tę ścieżkę, więc wiem, że duża jej część naprawdę jest dosyć stroma. - Uśmiechnęła się. - Warto też wziąć koszyk na jeżyny.

- Jeżyny?

- Tak, tak - potwierdził Davy z ustami zapchanymi grzanką. Szybko przełknął jej resztki. - Rosną tam, gdzie schodzi się nad rzekę. Jeśli się zje więcej, niż mieści się w koszyku, to potem boli brzuch.

- Naprawdę?

Julian spostrzegł na twarzy Christy znajomy dołeczek.

- Dziękuję za przestrożę.

Teraz był już nie tylko dołeczek, ale piękny, promienny uśmiech. Julian wyobraził sobie te kształtne usta ubrudzone sokiem z jeżyn. Wargi słodkie niczym najbardziej zakazany owoc... Uprzytomnił sobie, gdzie się znajduje, i natychmiast się zreflektował.

- Tylko proszę nie zabłądzić - powiedział. - Szukanie pani po lesie byłoby uciążliwe.

- Wasza lordowska mość jak zwykle troszczy się o wszystko.

Na szczęście dla niego dołeczek znikł i znów miał przed sobą przykładną i zasadniczą pannę Daventry. Odsunął krzesło od stołu, a Juno natychmiast zerwała się z podłogi.

- Jedziesz ze mną, Davy? - spytał. - Muszę zobaczyć, co słychać na polach. Jeśli mama pozwoli, to cię wezmę. - Julian liczył na to, że Davy, któremu buzia rzadko się zamykała, będzie płoszył wszystkie jego niepożądane myśli.

- Mogę, mamó? - spytał błagalnie chłopiec. - Proszę.

Serena uśmiechnęła się ciepło.

- Jakoś dam sobie radę, synku. Możesz jechać.

- Nie będziesz czuła się samotna? - spytał Julian.

- Ani trochę - zapewniła go, dolewając sobie herbaty.

Nie dociekał więcej, był jednak przekonany, że macocha coś knuje.

Davy skończył śniadanie w rekordowym tempie, otarł usta serwetką i zeskoczył z krzesła. Julian wziął go za rękę.

- Po drodze do stajni zajrzemy do kuchni i weźmiemy coś do jedzenia - zapowiedział.

Mimo woli zerknął na pannę Daventry. Przyglądała się Davy'emu z uśmiechem. Julian pochwycił jej ciepłe spojrzenie, zaraz jednak odwróciła głowę.

Spocona Christy, nie zważając na to, że włosy kleją jej się do czoła, a nogi odmawiają posłuszeństwa, pokonała ostatni kawałek podejścia. Oparła się o solidne drzewo, aby wyrównać oddech. Poniżej ścieżka, którą przyszła, wila się przez dąbrowę. Górą biegła po grzbiecie szersza droga. Wszystko zgadzało się z objaśnieniami Matthew. Z jednym wyjątkiem. Określenie „dość stromo” opisywało trudność wspinaczki bardzo oględnie.

Wyjąwszy butelkę, wypła powoli kilka łyków wody. Kapelusik trzymała w ręce, musiała go bowiem zdjąć po pokonaniu trzeciej części stoku, nie chcąc zapocić wyściółki.

Drogę ocieniały drzewa, ale promienie słońca prześwietlały korony. Świeże powietrze pachniało wilgotną ziemią. I to wszystko było teraz jej. Przez chwilę stała, upajając się urokiem tego miejsca.

Wkrótce ruszyła jednak ku obiecanemu punktowi widokowemu. Rzeczywiście, znalazła go bez trudu. Ze skałki wystającej nad dolinę rozciągała się panorama rzeki, leniwie wijącej się na spotkanie ze swoją większą krewną Severn w Chepstow. Christy usiadła i zabrała się do posiłku, na który składały się chleb, ser i jabłko, obserwując ruch łodzi w dole. Pomyślała, że jeśli zaraz nie włoży kapelusika, z pewnością wyskoczą jej paskudne piegi. Prawdę mówiąc, mało o to dbała, tak jej się tutaj podobało. W Bristolu trudno było spacerować, przeszkadzał hałas, smród i tłok.

Westchnęła. Czuła się coraz bardziej zagrożona przez ciepłe uczucia, jakimi zaczynała darzyć domowników. Nie tylko lady Braybrook, lecz również dzieci: Matthew z jego spokojem badacza, Emmę i Lissy, pewne siebie, a jednocześnie kipiące radością, oraz Davy'ego, dla którego najstarszy brat był niekwestionowanym autorytetem. Wszyscy okazywali jej dużo życzliwości, może nawet przyjaźni, ale rodziną przecież nie byli. W końcu będzie musiała stąd wyjechać...

Nie!

Chwyciła torbę i wstała. Nie mogła pozwolić, żeby przygnębiające myśli zepsuły taki piękny dzień.

Dwie godziny później, stojąc pośrodku splątanych jeżynowych zarośli, Christy dziwiła się, jak bardzo złośliwe potrafią być kolczaste gałęzie. Czepiały się spódnicy, włosów, boleśnie drapały po ramionach. W ciągu godziny zapełniła koszyk w dwóch trzecich, choć pewnie szłoby jej to szybciej, gdyby nie metoda „jedna do koszyka, jedna do ust”. Cóż jednak mogła poradzić na swoją słabość do pysznych owoców?

Wiedziała, że wyglądając tak jak teraz, będzie musiała niepostrzeżenie wślizgnąć się do domu wejściem dla służby, ale nie miało to znaczenia. Tak wspaniale się bawiła.

Jeszcze nigdy nie spędziła całego dnia, spacerując po lesie i napawając się pięknem przyrody. A jeżyny знаła tylko z targu.

Obchodząc kępę krzaków, zauważyła wysoko nad głową wyjątkowo piękne owoce. Wspięła się więc na palce, jednocześnie usiłując odsunąć gałąź broniącą dostępu do upragnionego trofeum. Ta jednak złośliwie uczepiła się przodu jej sukni.

- A niech to! - mruknęła i skrzyła ciało, by uwolnić się od natrętnej przeszkody.

Tymczasem jednak inne gałęzie złapały ją za włosy. Sięgnęła więc do góry, by odgarnąć i te, ale właśnie wtedy jej uwagę zwrócił niezwykle kształt na ziemi. Zwinięty w pierścień, leżał w słońcu zielonkawy wąż. Christy syknęła spłoszona, straciła równowagę i upadła do tyłu w krzaki. Wąż nawet nie drgnął.

Ani przez chwilę nie przestając go obserwować, próbowała się wyswobodzić. Teraz jednak więżących ją gałęzi było za wiele. Gdy tylko udawało jej się odsunąć jedną, inna szarpała ją za suknię z tym większą zaciekłością. Wąż wydawał się całkowicie lekceważyć jej szamotaninę, póki nagle nie uniósł głowy, by zasyczeć, wystawiając rozwidlony język, a potem wśród szelestu trawy i liści odpełznąć w stronę rzeki.

Christy odetchnęła z ulgą i z nową energią zaczęła oswobadzać się z jeżynowego więzienia. W trakcie tych zmagani usłyszała tętent. Zerknęła w tamtą stronę i zmeła pod nosem przekleństwo. Na wielkim karym wałachu od strony rzeki nadjeżdżał lord Braybrook.

Przymusowe spędzenie reszty popołudnia w jeżynowych zaroślach niewątpliwie nie byłoby rozsądne, Christy nabrała więc powietrza do płuc i krzyknęła. Braybrook uniósł rękę, a potem zaczął się do niej zbliżać.

- Panno Daventry, czy coś...? - Urwał zaskoczony. - Ach, tak... Nic się pani nie stało? Dlaczego jest pani taka podrapana? - Wydobył z kieszeni rozkładany nóż i zaczął ciąć gałęzie.

- Sięgałam po te jeżyny - wskazała piękne owoce, wciąż wiszące w górze - i straciłam równowagę.

- Panno Daventry, pierwsza zasada zbieracza brzmi: „Żaden owoc nie jest wart tego, by przez niego wpaść w krzaki”.

- To wina węża - powiedziała, czując się głupio. - Był chyba całkiem nieszkodliwy, ale mnie przestraszył.

- Wąż?

Zaczął powoli odczepiać gałązkę, której kolce wbiły się w przód jej sukni. Christy zmartwiała pod wrażeniem dotknięcia palców przesuwających się po jej piersiach. Jakby wcale nie była ubrana...

Nagle jego dłonie znieruchomiały.

- Przepraszam. Czy sprawiłem pani ból?

- Co... słucham?

Ręka, która zawisała nad jej piersią, wciąż ją muskała.

- Zacisnęła pani pięści. Czy byłem niedelikatny?

- Ach... Nie...

Rozprostowała dłonie. Zdawał sobie sprawę z tego, że silna reakcja wzięła się stąd, że Christy nie była jednak przyzwyczajona do takiej bliskości mężczyzny.

- Jakiego był koloru?

Braybrook nie do końca jej uwierzył, ale wolał zmienić temat.

- Jakiego koloru? - Christy gorączkowo usiłowała skupić myśli, które samowolnie uciekały ku długim, męskim palcom. - Ach... wąż! Zielonkawy i dosyć długi, może nawet na jard.

Spodziewała się zaraz usłyszeć, że to przesada, bo węże nie osiągają takiej długości.

- To musiał być zaskroniec - zawyrokował. - Całkiem nieszkodliwy.

Rozległ się głośny trzask materiału. Jeden z wyjątkowo upartych kolców zostawił na jej sukni trójkątny ślad rozdarcia. Braybrook syknął.

- Do licha. Drapnąłem panią?

- Nnnie.

- To dobrze. Proszę się nie ruszać, już kończę.

Po chwili mogła wstać, choć trochę ugiwały się pod nią kolana.

- Powinna pani przemyć te wszystkie zadrapania - powiedział, na wszelki wypadek ją podtrzymując. - Pani Higgs trzyma w składziku maść na skaleczenia.

Christy skinęła głową.

- Dziękuję, milordzie.

Oddech wciąż miała nierówny. Braybrook nadal ją podtrzymywał, tyle że nie po to, by nie upadła. Wiedziała, że powinna się cofnąć, ponieważ każda chwila w tej pozycji nasuwa mu jak najbardziej niewłaściwe skojarzenia.

- To w Biblii ktoś znalazł jagnię w krzakach, prawda? - spytał.

- Abraham - odparła Christy, siłą woli wyzwalając się spod uroku Braybrooka. - Ale nie jagnię, tylko barana. Złożył go w ofierze zamiast swojego syna.

Rozdział ósmy

Serce biło mu jak szalone. Panna Daventry musiała rozumieć, do czego zmierzają, ujrzał to w jej oczach. Nie zrobiła niczego, by temu przeszkodzić. Delikatnie pogłaskał ją po policzku, odsuwając wierzchem dłoni kilka poskręcanych kosmyków. Bardzo się bał, że czar chwili zaraz się rozwieje. Ta kobieta była przecież dla niego owocem zakazanym; oznaczała niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo jednak jest warte ryzyka. Przyciągnął ją więc do siebie nie za mocno, tylko na tyle, by poczuć nieduże, lecz kształtne piersi i skosztować smaku warg słodkich od jeżyn.

Christy wiedziała, że powinna powstrzymać Juliana. Szybko przekonała się jednak, że łatwo być cnotliwą, gdy nie ma pokusy. Tymczasem Julian Trentham niemal uosabiał pokusę. W dodatku wręcz pożerał Christy wzrokiem, nie kryjąc pożądania.

Wystarczyłoby jedno słowo: „nie”, jednak gdy usta Braybrooka dotknęły jej warg, natychmiast zapomniała, co powinna powiedzieć.

Syn poprzedniej chlebodawczyni próbował ją przy każdej okazji obłapiać i nazywał to igrcami. Dla niego nic te igrcze nie znaczyły, dla niej tym bardziej. Braybrook tylko ją całował, ale ileż było w tym czaru! Ciepłe, wydatne wargi obiecywały tak wiele, choć przez dłuższą chwilę ledwie muskały jej usta. Koniuszek języka badał kącik, w którym stykały się wargi, trącał je, obwodził. Wreszcie Christy uległa łagodnej perswazji i pozwoliła mu wnikać głębiej.

Julian całkiem zatracił się w pieszczotach. Podobało mu się, że tak powoli odkrywa uroki pocałunku z panną Daventry. Jej widoczny brak doświadczenia okazał się dodatkową atrakcją. Każdy przejaw wahania, każda sekunda niepewności rozpałały go jeszcze bardziej. W ostatnim przeblysku rozsądku Julian przerwał pocałunek i spojrzał na zaróżowioną twarz Christy.

- To zdecydowanie nie jest dobry pomysł - oświadczył, z wyraźną niechęcią opuścił ramiona i cofnął się o krok.

- Nnnie - przyznała oszołomiona.

Człowiek honoru nie uwodzi niewinnych panien. W dodatku Julian wiedział, że nie jest to odpowiedni czas ani miejsce, by powiedzieć pannie Daventry to, co zamierzał. Nawet nie byłby w stanie przypomnieć sobie starannie ułożonej przemowy.

Zatrzymał wzrok na owocach, które stały się przyczyną wypadku panny Daventry. Ostrożnie zerwał je po jednym z krzaka i odłożył do koszyka.

- Pani jeżyny - powiedział. - Do widzenia.

Christy skinęła mu głową. Zaraz potem siedział w siodle i oddalał się na swoim karoszu tą samą drogą, którą nadjechał. Wiedział, że omal nie przekroczył dopuszczalnej granicy. Christy Daventry była dla niego niedostępna. Małżeństwo musiał wykluczyć, a uwieść jej nie było mu wolno. Mimo wszystko istniało rozwiązanie, które wydawało mu się uczciwe i zadowalające.

Christy patrzyła śladem Juliana, nie mogąc opanować drżenia. Jak jeden pocałunek mógł wprowadzić ją w taki stan? Tego nie umiała pojąć. Zdawało jej się, że wciąż się całują, a dłoń Braybrooka przesuwają się po jej piersi. To było zupełnie tak, jakby Julian rzucił na nią urok; kompletnie zapomniała o tym, kim jest i jak przedstawia się jej sytuacja życiowa.

Małżeństwo nie wchodziło w rachubę, możliwy był jedynie romans, o ile Christy by się odważyła go nawiązać. Wewnętrzny głos podpowiadał: Braybrook jest bogaty. Mógłby zapewnić ci utrzymanie, a wtedy nie musiałabyś ciężko pracować. Zyskałabyś bezpieczeństwo, którego tak pragniesz.

Gdyby wbrew rozsądkowi została kochanką Braybrooka, musiałaby się liczyć z możliwością zajścia w ciążę i urodzenia dziecka. Środkom ostrożności nie można było

ufać, czego najlepszym dowodem był Harry. Kamień nagrobny na cmentarzu w Bristolu też przypominał, że gdy miała szesnaście lat, umarła na odrę jej ośmioletnia siostra. Gdyby żyła, z pewnością musiałyby mozolnie wiązać koniec z końcem. Nie! Christy była przekonana, że nie wolno jej ryzykować urodzenia dziecka pozbawionego wszelkich praw. Dziecka, które musiałoby kłamać, ilekroć ktoś spytałby je o ojca... Czowała, jak wzbiera w niej dawny gniew. Nie mogła się od niego uwolnić, mimo że nie licząc się z konwenansami, wygarnęła księciu Alcastonowi wszystko, co leżało jej na sercu.

Nie mogła sprzedać tego, czego kiedyś nie zdecydowała się oddać z miłości. Zresztą pożądanie i miłość to nie to samo, z czasem musi minąć. Jej zaś nie pozostawało nic innego, jak ćwiczyć się w panowaniu nad sobą.

Dzień nagle stracił urok, choć nadal świeciło słońce i śpiewały ptaki. Schyliła się po koszyk. Dość czasu tu zmitrężyła. Gdyby wiedziała, które jeżyny zerwał lord Braybrook, niechybnie rzuciłaby je w trawę.

Po długim spacerze powinna być głodna. Tymczasem każdą łyżkę zupy przełykała z trudem. Braybrook zajmował miejsce po jej lewej ręce i wydawał się nie mieć najmniejszych problemów z apetytem. Nie sposób też było się domyślić, że z kobietą, siedzącą tuż obok, kilka godzin wcześniej namiętnie się całował.

Zasiadali przy stole we czworo, oprócz nich dwojga byli jeszcze obecni lady Braybrook i Matthew. Alicja i Emma zostały na noc u panny Pargeter. Niczego to jednak nie zmieniało, bo inaczej niż u poprzedniej chlebodawczyni w Amberley Christy jadła razem z rodziną.

Posiłki były zwykle nieformalne, nikt nie miał stałego miejsca, a rozmowy toczyły się dość hałaśliwie. Samo uczestniczenie w nich dawało Christy poczucie wewnętrznego spokoju, choć naturalnie zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest członkiem rodziny. Zawsze witana z wielką życzliwością, nie należała jednak do tego kręgu.

Właśnie lady Braybrook tłumaczyła, co należy przygotować przed wielkim letnim balem, który miał się odbyć za trzy tygodnie.

- Naturalnie, proszę pani - powiedziała w końcu Christy. - Dopilnuję też, żeby sypialnie były do użytku, jeśli zechce mi pani dać listę gości, którzy zostaną na noc.

- Dziękuję, moja droga - odparła z uśmiechem lady Braybrook. - Z twoją pomocą będzie mi znacznie łatwiej zorganizować tak dużą imprezę towarzyską. Bardzo już tęsknię za dniem, kiedy Braybrook weźmie ślub i jego żona zwolni mnie z tych wszystkich obowiązków.

Lord Braybrook natychmiast przerwał rozmowę o uprawach ozimych, którą prowadził z Matthew.

- Sereno, jeśli bal zbyt cię obciąża...

Zbyła go machnięciem ręki.

- Teraz, kiedy mam przy sobie pannę Daventry, na pewno nie. O, dziękuję, Walterze.

Służba sprzątnęła pozostałości po pierwszym daniu i przyniosła następne potrawy. Matthew spojrzał z nieukrywanym entuzjazmem na stół.

- Ooo! Placek jeżynowy! Pycha! - Uśmiechnął się do Christy. - Czy pani zbierała jeżyny?

- Tak - odrzekła. Jeżyny zaniósła do kuchni, ale nie spodziewała się, że trafią na stół jako lwia część placka.

- To rodzinna tradycja - stwierdziła lady Braybrook. - Pierwszy nazbierany przez kogoś koszyk jeżyn podajemy na stół podczas kolacji. Rano przykazałam w kuchni, żeby upiec placek, jeśli tylko przyniesie pani dostatecznie dużo owoców.

- Wygląda bardzo smakowicie - pochwalił Matthew. - Dziękujemy, panno Daventry.

- Przecież to tylko jeżyny - odparła. - Sądziłam, że kucharka przerobi je na dżem.

- Och, nie! - sprzeciwiła się lady Braybrook. - Pierwsze zebrane jeżyny trzeba dobrze zapamiętać. Zgodzisz się ze mną, Julianie?

- Stanowczo - potwierdził. - Zresztą wyglądają wspaniale.

Christy pochwyciła jego spojrzenie. Odniosła wrażenie, że Braybrook nie myśli jedynie o jeżynach.

- Chyba nie zmęczyła się pani z nadto spacerem? - odezwał się Matthew. - Prawie nie odzywa się pani przy stole i jest blada.

Zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Och, to nic. Rzeczywiście, trochę się zmęczyłam, ale było bardzo przyjemnie. Widziałam po drodze mnóstwo ptaków, tak jak zapowiadałeś - dodała, żeby zmienić temat. - Tyle że połowy nie umiałabym nazwać.

- To nie problem. Może pani pożyczyć od Braybrooka książki na ten temat. Prawda, Julianie?

- Naturalnie - odparł Braybrook i zwrócił się do Christy: - Zresztą, zamierzałem z panią porozmawiać, więc jeśli przyjdzie pani do biblioteki po kolacji, to przekażę pani książki.

Nie zabrzmiało to obiecująco, Christy była na siebie zła, że nie ugryzła się w porę w język.

- Może kiedy indziej, milordzie. O ile wiem, lady Braybrook chce ustalić szczegóły balu, więc...

- To może poczekać, moja droga - stwierdziła dama, odcinając jej drogę ucieczki. - Za to właśnie mi o czymś przypomniałaś. - Zwróciła się do pasierba. - Julianie... twoje małżeństwo.

Julian zatrzymał kieliszek wina w pół drogi do ust i wlepił wzrok w Serenę.

- Co mojego? - spytał z niedowierzaniem. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że wypłynął ten temat. Przecież rozmawiali o jeżynach.

- Małżeństwo, Julianie - powtórzyła Serena. - Jestem przekonana, że mogę o tym mówić całkiem otwarcie. Matt nikomu niczego nie powtórzy, panna Daventry tym bardziej.

Szybkie zerknięcie w bok przekonało go, że panna Daventry jest nie mniej zdumiona niż on.

- Mimo wszystko trudno... - zaczął.

- Naprawdę najwyższy czas, żebyś poważnie zastanowił się nad założeniem rodziny - mówiła dalej Serena. - Skończyłeś trzydzieści dwa lata i powinieneś się ustatkować.

Julian odstawił kieliszek na stół.

- Sugerujesz, że grozi mi staropanieństwo?

Matthew zakrztusił się jedzeniem.

- Cicho siedź, braciszku.

- Przepraszam. - Matt wcale nie wydawał się skruszony.

- Nie żartuj. Jeśli jednak się nie pośpieszysz, stracisz szansę. Pomyśl o tym! Wszystkie dobrze ułożone, majątne i urodziwe dziewczęta natychmiast znajdują amatorów.

Julian, milcząc, wpatrywał się w macochę.

- Przecież tego szukasz u kobiety, prawda? - spytała.

Istotnie zakładał, że jego wybranka będzie pochodziła z dobrego domu oraz że będzie ładna i zamożna. Tyle że jej nie szukał. Wręcz przeciwnie, obecne zamiary raczej pozostawały w sprzeczności z planem związania się z kobietą węzłem małżeńskim.

- Zjedz trochę ciasta, mój drogi - zachęciła go macocha, a gdy Julian się poczęstował, ciągnęła: - Mam wrażenie, że w Londynie nie poznałeś nikogo odpowiedniego, mógłbyś więc zastanowić się nad kandydatkami z okolicy. Letni bal będzie dla ciebie doskonałą okazją, by im się przyjrzeć i dokonać selekcji. Poświęć, proszę, tej kwestii nieco czasu. Naturalnym wyborem dla ciebie jest panna Postleton, ale...

- Anne? - spytał Matthew, głośno upuszczając łyżeczkę na talerzyk. - Nie wydaje mi się, żeby ona pasowała do Juliana. Na przykład nie jest życzliwa. Niedawno okrutnie wyśmiała we wsi starego Flinta, kiedy zapytał ją, czy zatańczy z nim na balu. Lissy musiała załagodzić sytuację i obiecała, że ona z nim zatańczy.

- Przecież nie mówię, że upieram się przy Anne - zastrzegła się Serena. - Wybór należy do Braybrooka...

- Czyżby? - spytał z ironią.

- Nie sil się na sarkazm, mój drogi. Przestrzegam tylko, że jeśli nie zaczniesz poważnie się zastanawiać nad wyborem żony, to nic z tego nie będzie.

- Dobrze, że to na niego padło - mruknął Matthew i nałożył na placek sporą porcję bitej śmietany.

Nadzieje Christy, że rozmowa o małżeństwie skieruje myśli Braybrooka we właściwym kierunku, zgasły, gdy tylko wstali od stołu.

- Sereno, przepraszam cię, ale dziś wieczorem mam trochę pracy. Jeśli pożyczysz mi na chwilę pannę Daventry, to znajdę dla niej książki.

- Naturalnie, Julianie - odparła lady Braybrook, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej damie do towarzystwa grozi znalezienie się w opałach. - Bal może poczekać. Wciąż ma pani przecież wolny dzień, a wygląda na zmęczoną. Powinna pani udać się wcześniej na spoczynek. Dobranoc, moja droga.

Matthew wstał, by przewieźć Serenę do salonu.

- Dobranoc, panno Daventry.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Christy zwróciła się do Braybrooka.

- Przepraszam, milordzie, ale nie mamy o czym rozmawiać. Jeśli chce mi pan pożyczyć książki, proszę je przysłać do mojego pokoju. Dobranoc.

Oczy podejrzenie mu zabłysły.

- Przyniosę je osobiście, gdy tylko znajdę. Sugeruję więc, aby na razie nie przygotowywała się pani do snu.

- Słucham? - odparła lodowato.

- Panno Daventry, chcę z panią porozmawiać. Miejsce może pani wybrać sama. Moja biblioteka albo pani sypialnia. - Nieznacznie się uśmiechnął. - Może też być moja sypialnia.

Christy zmartwiała.

- Jeśli o mnie chodzi - ciągnął - to polecam bibliotekę. Może pani usiąść przy sznurze dzwonka, a ja zajmę miejsce dostatecznie daleko, żeby mogła pani zrobić z niego użytek, jeśli uzna to za niezbędne.

- Niech będzie biblioteka - zgodziła się z westchnieniem Christy.

Jeśli skłamał, to przekona się, że nie ma przed sobą bezbronnej niewiasty.

Lord Braybrook rzeczywiście nie próbował podejść do Christy, która stanęła przy kominku, lecz zajął miejsce za biurkiem.

- Wie pani, po co tutaj się znaleźliśmy, panno Daventry - zaczął. - Przede wszystkim chcę jednak panią zapewnić, że nie zamierzam jej uwieść ani w bibliotece, ani w ogóle pod tym dachem.

- Nie? - Dlaczego więc namiętnie ją całował?

- Chciałbym zaproponować pani pozycję mojej kochanki.

Po chwili namysłu odrzekła ostrożnie:

- Bez wątpienia potrafi mi pan wytłumaczyć, milordzie, różnicę między tym a uwiedzeniem, ale...

- Różnica tkwi w uczciwości postępowania. Nie okłamuję pani opowieściami o księżycu i pocałunkach ani o oddaniu do grobowej deski. Nie usiłuję nakłonić pani do niczego udawaniem. Nawet nie próbuję zachęcić do niczego pani ciała. Pragnę pani i chcę, aby została moją kochanką. Po dzisiejszym pocałunku nie ma chyba sensu zaprzeczać wzajemnemu pożądaniu, prawda?

Pokręciła głową. Jedna chwila zapomnienia i co? Nawet tak chłodno wyrażona propozycja, bardziej przypominająca ofertę człowieka interesu, stanowiła dla niej pokusę.

- Naturalnie, nie jest pani kobietą, której mógłbym zaproponować małżeństwo. Na pewno jednak zapewnię poczucie bezpieczeństwa i dostatek.

Christy nie oburzyła się ani nie rozgniewała, lecz słuchała spokojnie. Takie było życie i musiała się z tym pogodzić.

- Mam kilka wygodnych domów w pobliskich miastach. Zapiszę na pani nazwisko wynajem jednego z nich i wyznaczę pensję. Będę tam panią odwiedzał, zachowując daleko posuniętą dyskrecję.

- Naturalnie.

To było najważniejsze pojęcie w słowniku księcia: dyskrecja. Dlatego nie pojawił się na pogrzebie jej matki ani Sarah. Mimo to wszyscy sąsiedzi wiedzieli, jaki jest status matki, i odcinali się od niej, więc żyła samotnie, jeśli nie liczyć krótkich wizyt Alcastona. A wizyty te stawały się coraz radsze, aż w końcu całkiem ustały. Matka i tak miała szczęście, że ksiązę był gotów dalej ją utrzymywać. Czy mnie miałby spotkać podobny los? - zadała sobie w duchu pytanie Christy. Czy to fatum?

- Nie będzie pani narzekać na szczodrość kochanka pod żadnym względem, panno Daventry. Spiszemy umowę obejmującą również zapisy dla dzieci, gdyby te przyszły na świat. Nie zapomnę też o pani po zawarciu małżeństwa.

- Rozumiem. To czarująca perspektywa dla pańskiej żony.

Zaczerwienił się.

- Źle mnie pani zrozumiała. Wymagania wobec kochanki i żony są bardzo różne. W moim świecie nikt nie oczekuje wierności, nie jestem też takim hipokrytą, by domagać się jej od żony, skoro nie oferuję wzajemności. Gdy tylko żona urodzi dziedzica, będzie mogła dyskretnie ułożyć sobie życie po swojemu.

Christy nie słyszała, by ktoś wyłożył to tak brutalnie i beznamiętnie. Nie spodziewała się też, że można zawrzeć umowę z kochanką, choć naturalnie rozumiała, co różni ją od żony. Żona rozwiązywała problemy majątku i dziedziczenia. Kochanka była dla przyjemności. A miłość?... Miłość była jedynie w przysiędze małżeńskiej, ale nie w życiu.

- Panno Daventry?

Wstała. Była mu bardzo wdzięczna, że sformułował swoją propozycję wprost i nie próbował ubierać jej w piękne słowa ani wspierać uwodzicielskimi sztuczkami. Wspomnienie ich pocałunku obiecywało czułość i rozkosz, a takiej pokusie trudno byłoby się oprzeć.

- Dziękuję, milordzie, ale nie skorzystam. Dobranoc. Rano złożę wymówienie lady Braybrook.

- Słucham? - Sprawiał takie wrażenie, jakby właśnie otrzymał mocny cios w żołądek.

- Odrzucam pańską szczodłą ofertę, milordzie.

- To rozumiem - odrzekł. - Dlaczego jednak chce pani odejść?

Trudno jej było w tej chwili złożyć sensowne zdanie.

- Zapropnował mi pan pozycję swojej kochanki. Skoro odmówiłam, to chyba ani nie oczekuje pan, że zostanę pod jego dachem, ani sobie tego nie życzy.

Zmarszczył czoło.

- O ile pamiętam, powiedziałem wyraźnie, że pani nie uwiodę. Odrzuciła pani moją propozycję i na tym sprawa się kończy. Nie zamierzam ukradkiem dostać się do pani sypialni, aby postawić na swoim wbrew jej woli. Odmowa jest odmową. Proszę nie sądzić, że nie potrafię panować nad pragnieniami. Jest pani w tym domu absolutnie bezpieczna.

Bezpieczna? Chyba tak samo jak mysz w domu śpiącego, najedzonego kota. Prawdę mówiąc, uwierzyła mu. A poza tym podobało jej się tutaj.

- Dobrze. Zostanę.

- Znakomicie. - Wstał i podszedł do półki, z której wyjął trzy duże tomy. - Czy na pewno nie zechce pani przemyśleć swojej odmowy?

Brzmiało to tak, jakby negocjował kupno przedmiotu. W pewnym sensie zresztą tak właśnie było.

- Na pewno, milordzie. Tego rodzaju życie nie wydaje mi się atrakcyjne.

Odwrócił się do niej z książkami w ręku.

- Sądziłem, że panią obraziłem, ale nie, prawda?

Sama musiała się nad tym zastanowić. Przecież postąpił wobec niej uczciwie. Zasługiwał więc na pewien szacunek, skoro to jej pozostawił wybór. Wyboru należało dokonać rozsądnie.

- Nie, milordzie. Doceniam pańską szczerłość i może pana pocieszy to, że nie mam ani doświadczenia, ani talentów, które czyniłyby mnie odpowiednią kandydatką na kochankę.

Znieruchomiał na chwilę, zaraz potem odłożył wszystkie trzy tomy na blat biurka.

- Zdaje się, że o te książki pani chodziło.

- Książki?

Długie palce strzepnęły pyłek z cielej skóry, przypominając Christy o ich magicznym oddziaływaniu na kobiece ciało.

- George Graves, „Ornitologia brytyjska w trzech tomach”. Lady Braybrook na pewno spyta, czy dużo się pani z tego dzieła dowiedziała.

Powiedział to chłodnym tonem, jakim arystokrata zwraca się do służącej. Pewnie nawet w łóżku musiałaby go tytułować milordem, pomyślała Christy.

- Gdyby pani miała jakieś pytania na ten temat, Matthew chętnie pani odpowie. Jest naszym ekspertem.

- Naturalnie, milordzie. Dziękuję.

Wcześniejszy temat został zamknięty, właśnie tak jak tego chciała. Tylko czy na pewno? Wzięła książki z biurka.

- Skoro nie czuje się pani urażona, panno Daventry, i przyznaje, że ją pociągam, to czy mógłbym poznać przyczynę odmowy?

Z tonu, jakim zadał to pytanie, można było wywnioskować, że nie jest szczególnie zainteresowany odpowiedzią. Mimo to wyraz jego twarzy sprawił, że serce zabiło jej mocniej, i to wcale nie ze strachu. W głowie miała kompletną pustkę. Dlaczego mu odmówiła?

- Sam pan mnie ostrzegł, milordzie - powiedziała bez zastanowienia.

- Tak? Kiedy?

- Dziś po południu, mówiąc, że żaden owoc nie jest wart tego, by przez niego wpaść w krzaki.

- Rozumiem. Gdyby pani zmieniła zdanie, wystarczy jedno słowo, a wszystko załatwię.

Skłoniła głowę.

- Bardzo jest pan uprzejmy.

Wzięła książki pod pachę i z godnością opuściła bibliotekę.

Rozdział dziewiąty

Gdy Christy zamknęła za sobą drzwi, Julian zacisnął pięści. Właściwie spodziewał się odmowy, i to stanowczej. Nie mógł zrozumieć, co takiego jest w pannie Daventry, że pragnie jej jak żadnej kobiety. Nie olśniewała urodą, a mimo to rozpaliała go do czerwoności.

Nie miało znaczenia, że z takimi kobietami zwykle się nie zadawał. Nie była ani dyskretną kochanką z arystokratycznym tytułem, ani uznaną kurtyzaną, której mógłby wynająć dom w Londynie, aby pokazywać się z nią w operze i Hyde Parku. W ogóle nie mógł sobie wyobrazić panny Daventry w takim otoczeniu. Chciał jej tylko dla siebie, tutaj.

Nie tutaj, bo to było niemożliwe, ale gdzieś niedaleko Amberley. Tak, żeby mógł jej bez kłopotu składać kilkudniowe wizyty... Nigdy w życiu niczego podobnego nie próbował. Kiedy odwiedzał kochankę, to dla cielesnej rozkoszy, a nie dlatego, że chciał z nią spędzać czas. Do diabła! Przy pannie Daventry miał ochotę usiąść i razem z nią szukać w książce ptaków, które widziała podczas spaceru. Chciał dzielić z nią radość i chronić ją przed smutkiem.

Odmówiła mu kategorycznie. Taka odmowa nie dawała żadnych szans. Decyzja została podjęta i ogłoszona spokojnie, bez łez, wyrzutów i pretensji. Panna Daventry nawet nie wydawała się wstrząśnięta.

To zaś obudziło w Julianie uczucie bliskie wstydu. Dobrze wiedział, że Christy miała rację. Niechęć ludzi obracała się przeciwko kochance. Panna Daventry uznała więc, że nie warto ryzykować. A ponieważ zapewnił ją, że jest bezpieczna, musiał dotrzymać słowa. Pozostawała dla niego owocem zakazanym.

Przez następne kilka dni Julian wypełnił czas pracą. Albo siedział w bibliotece nad księgami posiadłości, albo jeździł po majątku i starannie notował zadania do wykonania przed nastaniem zimy. Trzeba było dokonać napraw w domach, zebrać i pociąć drewno na opał, przenieść do innego domu wdowę po zmarłym dzierżawcy. Wyjeżdżając, brał ze sobą Davy'ego, a po powrocie starał się unikać spotkań z panną Daventry. Widywał ją

tylko przy posiłkach, zawsze w obecności Sereny. Wymieniali pozdrowienia, a poza tym właściwie nie rozmawiali.

Dziesięć dni po znamienym spotkaniu przy jeżynach nadal próbował sobie wmówić, że wszystko jest w porządku. Panna Daventry wykonywała obowiązki, do których została najęta, a Serena chwaliła jej pomoc przy organizacji balu. Tego ranka wysłała swoją damę do towarzystwa do sklepu we wsi po jedwab do haftowania. Juliana kusiło, żeby zamiast pojechać na spotkanie z sir Johnem Postletonem, polecić służbie podstawienie kariołki. Wiedział jednak, że to głupi pomysł.

Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. W przeszłości to porzekadło mu się sprawdzało. Tym razem jednak nie potrafił się uwolnić od myśli o panie Daventry. Wciąż jej pragnął. Na pomysł zawiezienia jej do wsi wpadł jednak z zupełnie innego powodu. Chciał po prostu z nią побыć i porozmawiać.

Gdy Christy pchnęła drzwi wiejskiego sklepu, rozległ się brzęk dzwonka. Na dworze świeciło słońce, zamrugła więc powiekami, żeby przyzwyczaić się do panującego w środku półmroku. Wnętrze było ciasne, a półki sięgające sufitu ugięły się pod najrozmaitszymi towarami. Te droższe, takie jak herbata i korzenie, leżały pod ladą i sprzedawano je na życzenie klientów. Z krokwi zwisały półce bekonu, a wokół unosił się smakowity zapach świeżo pieczonego chleba.

Rzucały się w oczy czystość i porządek. Stojący za sklepową ladą schludny niewysoki mężczyzna poddał Christy dokładnym oględzinom. Poznawszy, kogo ma przed sobą, pozwolił sobie na nieznaczny ukłon.

- Dzień dobry, panno Daventry. Czym mogę służyć?

- Dzień dobry, panie Wilkins - odpowiedziała. - Potrzebuję jedwabiu do haftowania dla milady i trochę batystu dla siebie.

Pan Wilkins wyszedł zza lady i wkrótce wyłożył przed nią żądane jedwabie. Christy wyjęła z kieszeni próbki lady Braybrook i zaczęła starannie porównywać, aby dobrać właściwe odcienie. Musiała kupić niebieski... jasnoblękitny? Tak, ale nie granatowy. Ten? Może. Miała właśnie spytać, czy może obejrzeć towar przy oknie, gdy dzwonek nad drzwiami odezwał się ponownie. Pan Wilkins, właśnie przygotowujący dla niej batyst, podniósł głowę i skrzywił się, jakby ugryzł wyjątkowo niesmaczny kęs.

- Co znowu, dziecko?

Christy obróciła się, żeby sprawdzić, kto wszedł, i oniemiała. Na ścianie salonu w Amberley wisiały miniatury malowane na kości słoniowej, przedstawiające dzieci lady Braybrook. Wszystkie sportretowano w tym samym wieku około pięciu lat i wszystkie wykazywały zadziwiające podobieństwo. Ciemne włosy i niebieskie oczy były znakiem rozpoznawczym Trenthamów.

Wydawało się, że portret pięcioletniej Alicji nagle ożył i wszedł do sklepu. Dziewczynka miała te same lśniące czarne pukle i żywe oczy, tyle że za sprawą opalenizny jej cera była ciemniejsza.

- Czego chcesz? - burknął pan Wilkins.

Istniało tylko jedno wyjaśnienie dla podobieństwa dziecka do Trenthamów i opryskliwego zachowania sklepikarza.

- Bardzo proszę o... paczuszkę szpilek dla mamy i... i różową wstążkę. - Piskliwy głosik był prawie niesłyszalny. - Pieniążki mam. - Speszona dziewczynka rozwarła mocno zaciśniętą piąstkę, by pokazać leżącego na dłoni szylinga.

- Musisz poczekać. Ta pani jest przed tobą - surowo pouczył dziecko sklepikarz.

- To nie jest konieczne, panie Wilkins - odezwała się Christy. - Jeszcze nie skończyłam wybierać jedwabi. Proszę obsłużyć dziewczynkę.

- Dobrze. - Zapakował szpilki i podał je dziecku. - Masz. Wstążki nie kupisz, bo nie mogę pozwolić, żebyś przeglądała moje towary. Pobrudzisz.

Mała nie powiedziała ani słowa, tylko podała szylinga. Christy poczuła, że dłużej nie wolno jej milczeć.

- Panie Wilkins - powiedziała z nadzieją, że w jej głosie nie słyhać złości. - Wydaje mi się, że mam czyste ręce. Może więc przejrzę wstążki, a dziewczynka pokaże, który kolor jej się podoba.

- Nie ma takiej potrzeby, panno Daventry - stwierdził stanowczo Wilkins. - Zapewniam panią...

Dzwonek przy drzwiach ponownie się odezwał, ale Christy nawet się nie obróciła.

- Pan Postleton! Panna Anne! - Sklepikarz ruszył ku następnym klientom, nisko się kłaniając.

Panna Anne... Christy zerknęła przez ramię. Przedstawiono ją już pannie Postleton przed kościołem. Ta zareagowała tylko wyniosłym „Aha” i poszła dalej swoją drogą.

- Panie Wilkins! Taka jestem niespokojna! Wszystko przez ten bal w Amberley. Mam wystąpić w nowej sukni, więc chciałabym obejrzeć, jakie pan ma jedwabie.

- Do usług, panno Anne! Proszę tylko powiedzieć, jakie kolory panią interesują, to niezwłocznie je przyniosę!

Christy definitywnie straciła cierpliwość.

- Za pozwoleniem, proszę pana, najpierw wstążki! Rodzeństwo Postleton odwróciło głowy, nie kryjąc oburzenia. Christy, wcale się tym nie przejmując, dodała:

- Nie chciałabym, panie Wilkins, żeby lady Braybrook musiała czekać na swoje zakupy.

Pan Postleton popatrzył z irytacją na Christy.

- Co to znaczy, u licha! Guwernantka Braybrooka, prawda?

- Guwernantka panny Trentham - poprawiła go Christy z naciskiem, udając, że nie widzi złośliwego uśmiechu.

- Guwernantka - powtórzyła panna Postleton i z pogardliwą miną zwróciła się do pana Wilkinsa. - Nie zajmę dużo czasu, panie Wil...

Pan Wilkins jednak znalazł tymczasem wstążki i głośno położył pudełko na ladzie. Christy podziękowała mu i odezwała się z uśmiechem do dziewczynki:

- Różowa, prawda? Jak masz na imię, bo, niestety, nie wiem? Mała z wahaniem skinęła głową.

- Nan - szepnęła po chwili.

Za ich plecami rozległ się tłumiony szczebiot:

- To ci dopiero, Ned! Wiesz, kto to jest? Pan Postleton zaśmiał się półgłosem.

- Na Jowisza!

Dziewczynka się wzdrygnęła. Christy przypomniała sobie szepty witające ją w Bath, kiedy była dzieckiem, a także sklepikarzy, którzy udawali, że jej nie widzą, i zawsze źle wydawali resztę. Wtedy nie rozumiała przyczyny. Teraz budziło to w niej oburzenie. Ta dziewczynka miała nie więcej niż pięć lat, a już została przez ludzi osądzona.

- Jak się masz, Nan? - odpowiedziała. - Jestem panna Daventry. Pracuję w Amberley.

Wybrała kilka różowych wstążek z pudełka i rozłożyła je przed dziewczynką. Za nimi, w drugim końcu lady, pan Wilkins prezentował bele jedwabiu pannie Postleton. Christy starała się nie zwracać na to uwagi, ale co chwilę wyczuwała wrogie spojrzenia Neda Postletona.

Nan przyjrzała się wstążkom, uważając, żeby żadnej nie dotknąć, i wskazała:

- Ta.

- Znakomicie. - Christy wyobraziła sobie malinowy odcień różu w jej kruczoczar-nych włosach. - Czy wstążka jest dla ciebie? Będzie bardzo ładnie wyglądała.

Nan skinęła głową.

- To nagroda, bo byłam grzeczna.

Jak łatwo niektórych uszczęśliwić, pomyślała Christy i odłożyła pozostałe wstążki do pudełka. Pan Wilkins nadal nadskakiwał pannie Postleton i chwalił jej gust, gdy krytycznie wypowiedziała się o żonkilowym odcieniu żółci i bladym różu.

Christy zaczerpnęła tchu i w duchu przygotowała się do stoczenia potyczki.

- Panie Wilkins...

- Mógłby pan obsłużyć tę damę - wycedził oparty o ladę Postleton, mierząc Christy wzrokiem. - Moja siostra może się zastanawiać godzinami.

Panna Postleton podniosła wzrok, popatrzyła protekcjonalnie na Christy i wzruszyła ramionami.

- Jak panu wygodnie. Mnie to nie sprawia różnicy.

Pan Wilkins z ociąganiem odmierzył długość różowej wstążki, a Nan przyglądała się temu z zapartym tchem. Wreszcie bezpiecznie schowała swój skarb do kieszeni i uśmiechnęła się nieśmiało do Christy.

- Dziękuję pani.

Przy akompaniamencie brzęku dzwonka wyszła na ulicę. Christy patrzyła jej śladem, rozdarta między poczuciem solidarności w cierpieniu a chęcią skręcenia karku mężczyźnie, który skazał swoje dziecko na takie podłe życie.

- Ładna dziewczynka - powiedziała do pana Wilkinsa. - Ma niesamowicie niebieskie oczy. Jeszcze nigdy takich nie widziałam.

Panna Postleton znów coś szepnęła do brata. Co tam! Christy dobrze wiedziała, skąd się wzięły te niebieskie oczy u małej, i była pewna, że ani pan Wilkins, ani panna Postleton nie odważyliby się czynić wstrętów jej ojcu.

- Bardzo ładne - przyznał pan Wilkins.

- I tak dobrze wychowana - ciągnęła Christy, podając panu Wilkinsowi materiały dla lady Braybrook i dla niej. - Widać to po zachowaniu tej dziewczynki wobec innych.

Panna Postleton podniosła wzrok znad próbki jedwabiu. Wydawała się oburzona.

- Pewnie ma to we krwi. Jej rodzice musieli pochodzić z bardzo dobrych rodzin - ciągnęła Christy.

Pan Wilkins otworzył usta i przez chwilę wpatrywał się w nią wzrokiem ryby, która połknęła haczyk. Tymczasem zdołał jednak przygotować zgrabny pakunek. Nie zważając na tłumiony śmiech pana Postletona, Christy podała sklepikarzowi pieniądze.

Pan Wilkins otarł czoło.

- Tak, to córka Jane Roberts... Wdowy. Tak to wygląda.

- Tak to wygląda, panie Wilkins?

Schowała paczkę do torby. Nigdy dotąd nie rozumiała, na czym polega przyjemność wprowadzenia kogoś w głębokie zakłopotanie.

- Eee... - Sklepikarz był bardzo zmieszany. - Tak. Tom Roberts, jej mąż, zmarł. Dziecko urodziło się parę miesięcy później.

- Smutna historia - przyznała Christy. - Prawdziwy kaprys losu. Dziękuję za pomoc, panie Wilkins. Do widzenia. - Idąc do drzwi, pożegnała uprzejmym skinieniem głowy Postletonów.

Za plecami usłyszała jadowity komentarz:

- Biedna lady Braybrook będzie na pewno bardzo zainteresowana towarzystwem, w jakim obraca się jej służba.

Christy odwróciła głowę.

- Tak pani sądzi? Mnie się zdawało, że lady Braybrook jest wyższa ponad plotki ze wsi, ale jeśli uważa pani, że może to być zabawne, wspomnę jej o naszym spotkaniu. Do widzenia.

Nie czekając na odpowiedź, opuściła sklep. Dzwonek pożegnał ją głośnym brzękiem. Od lat już nie zdarzyło się, by zareagowała tak gwałtownie. Nauczyła się ignorować tego rodzaju zniewagi.

Na ulicy kątem oka zauważyła lorda Braybrooka wjeżdżającego do wsi od strony Amberley. Gniew wprost ją rozsadzał, na końcu języka miała słowa prawdy. Po śmierci Sarah wygarnęła księciu prosto w oczy, co o nim sądzi, mimo że nawet nie skończyła szesnastu lat. Tym razem jednak rozsądek zwyciężył i skrzyła w przeciwną stronę. Wprawdzie powinna wracać do Amberley, bała się jednak, że w razie spotkania nie utrzyma nerwów na wodzy.

Inna sprawa, że właściwie nie miała czemu się dziwić. Skąd u niej to rozczarowanie? Czy miał wychowywać córkę z nieprawego łoża razem ze swym rodzeństwem? To nie byłby dobry pomysł!

Z tego zamętu wyrwały ją krzyki. Kawałek dalej grupka wiejskich chłopaków kotłowała się przy kamiennym murku. Odpychali się wzajemnie, wyraźnie zainteresowani czymś, co otaczali pierścieniem. Może szczeniakiem z cegłą uwiązaną do ogona? Kocięciem? Na wszelki wypadek Christy przyspieszyła kroku.

- Zadzierasz nosa? - rozległ się napastliwy głos. - Mój tata mówi, że jesteś bękart, a twoja mama to zabawka bogatego pana!

- Chyba zepsuta zabawka - rozległ się inny głos. - Wszyscy wiedzą, Bob, że on już do niej nie przychodzi. Ej, daj mi to!

- Nie! To jest mamy!

Christy podbiegła i bez wahania chwyciła za ramię najwyższego chłopca mającego ze trzynaście lat. Zaskoczony stracił równowagę i wpadł na kolegę.

- Przestańcie! - nakazała.

Nan kulila się pod murkiem, włosy miała potargane, sukienkę brudną, a po nodze spływała jej strużka krwi. Paczuszka ze szpilkami leżała na ziemi.

Chłopcy jak jeden odwrócili się i zmierzyli Christy nieufnym wzrokiem. Największy przestąpił z nogi na nogę i wyrwał ramię z uścisku.

- Nic złego nie robimy - oświadczył wyzywająco.

Christy odepchnęła go i podniósłszy paczuszkę, oddała ją dziewczynce. Potem położyła jej dłoń na ramieniu i ponownie odwróciła się do chłopców.

Najwyższy przesunął wzrokiem po swych kompanach, jakby szukał ich wsparcia.

- To taka zabawa - ciągnął. - Prawda, Nan?

- Tak - szepnęła dziewczynka, z całej siły wtulając się w spódnicę Christy.

Ta popatrzyła na chłopca surowo i nie oderwała od niego wzroku, póki nie spuścił oczu, a jego koledzy nie zaczęli się cofać.

- To tylko takie śmiechy - upierał się najstarszy.

- Ładne mi śmiechy - rozległ się mocny męski głos. - Dziewczynka płacze i leci jej krew. Co wy na to, chłopcy?

Wszyscy uczestnicy zajścia nagle się odwrócili.

- Dziękuję, panno Daventry, za tę interwencję - powiedział Braybrook. - Przykro mi, że była konieczna, a ci młodzi ludzie również tego pożałują, kiedy porozmawiam z ich rodzicami. - Nie podniósł głosu, lecz mimo to wywołał niemałą konsternację. - Poza tym - dodał - wszyscy przeprosicie teraz pannę Daventry i Nan.

Chłopcy, powłócząc nogami, podchodzili kolejno, bąkając coś pod nosem. Kiedy ostatni się oddalił, Braybrook nieco złagodniał.

- Czy mogę zobaczyć to skaleczenie? - spytał, przyklękając obok Nan.

Przestraszona dziewczynka nie puściła spódnicy Christy, ale skinęła głową.

- Upadłam, kiedy biegłam - szepnęła. - Uderzyłam się w kolano.

Braybrook wyjął chusteczkę i ostrożnie zaczął osuszać skaleczenie.

- Mam wodę. - Christy delikatnie uwolniła dłoń z uścisku Nan i znalazła w torbie butelkę.

- Dziękuję. - Braybrook wyciągnął korek i nalał trochę wody na chusteczkę, po czym zmył dziewczynce z kolana ziemię i krew. - Teraz lepiej.

Złość Christy, która podczas tej wzruszającej sceny na chwilę przygasła, teraz wybuchła z nową siłą.

- Sprawcy skarceni, rany opatrzone, więc mogę odprowadzić Nan do domu, milordzie - powiedziała.

Nie sądziła, by Braybrook był gotów publicznie przemaszerować z dziewczynką przez wieś.

- Proszę to zrobić - odrzekł z chmurną twarzą. - Ja mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

- Naturalnie, milordzie - odparła z przekąsem Christy. - Do zobaczenia.

Wyciągnęła rękę do Nan.

- Chodź, kochanie. Pójdę razem z tobą, żeby nikt więcej cię nie niepokoił. Myślisz, że twoja mama poczęstuje mnie herbatą?

Pół godziny później Julian wyszedł z kuźni pewien, że żaden z chłopaków nie wychyli nosa z domu. Cokolwiek ich rodzice sądzili o Jane Roberts i bez względu na to, co przypuszczali w kwestii ojcostwa jej córki, nie mieli najmniejszych wątpliwości, że nie jest rozsądnie narażać się panu na Amberley, do którego należała ponad połowa wsi.

To było dosyć proste. Trudniejszą część zadania miał przed sobą. Wcale nie był pewien, jak przyjmie go Jane. Gdy otworzyła mu drzwi, wyraźnie poczerwieniała na twarzy.

- Dzień dobry, milordzie.

Stęzał, widząc ledwie skrywaną wrogość, ale musiał udawać, że nic sobie z tego nie robi.

- Dzień dobry, Jane. Co słyhać?

- Nie najgorzej - odrzekła nieufnie. - Czy milord czegoś sobie życzy?

Pokręcił głową.

- Nie. Chcę tylko powiedzieć, że rozmawiałem ze wszystkimi chłopcami i ich rodzicami, nie przypuszczam więc, by powtórzyły się kłopoty z dzisiejszego ranka. Domyślałam się, że panna Daventry o tym wspomniała, kiedy odprowadziła Nan.

Jane poczuła się nieco pewniej.

- Tak. Dziękuję.

- Powiedz mi, Jane, czy coś podobnego zdarzało się już w przeszłości.

Wzruszyła ramionami.

- A jakżeby inaczej? To łatwo zgadnąć, prawda?

- Kiedy oznajmiłaś mi, że mam nie przychodzić, ostrzegłem cię przed ludźmi ze wsi. Nie sądzisz, że zająłbym się tym, gdybym wiedział?

- To bardzo uprzejmie ze strony milorda.

- Dajmy spokój z uprzejmościami! - zirytował się Julian. - Na miłość boską, Jane! Czy nie byłoby lepiej, gdybyś się przeprowadziła? Rozpoczęła życie w innym miejscu, gdzie ludzie po jednym spojrzeniu na Nan nie...

- Nie nazywaliby jej bękartem - dokończyła Jane. - Dlaczego miałabym pozwolić, aby wypędzono mnie z mojego własnego domu?

- Wcale nie próbuję cię wypędzić - odparł znużonym tonem Julian. Ilekroć rozmawiali, powtarzało się to samo. - Chcę jak najlepiej dla was obu.

- To niewiele by zmieniło - odparła posępnie. - Proszę pomyśleć. „Wdowa” z dzieckiem i tajemniczymi dochodami, przenosząca się w miejsce, gdzie nikt jej nie zna. Nie minąłby tydzień i ludzie znów by gadali. Równie dobrze mogłabym postawić przed domem szyld „ladacznica”.

- Przykro mi, Jane. Szczerze mówię, żal mi cię, ale...

- Dziesięć lat! - wybuchnęła. - Przez dziesięć lat małżeństwa nie doczekałam się dziecka! Dziwi się milord, że uważałam się za bezpłodną? Zresztą, nawet to nie miałoby wielkiego znaczenia, gdyby...

- Gdyby Nan nie była tak podobna do ojca? - dokończył Julian. - Czy mogę ją zobaczyć?

Jane zawahała się, w końcu wzruszyła ramionami.

- Jeśli milord chce... Nan!

Za jej plecami rozległ się tupot drobnych stóp i z za spódnicy Jane wyrzała dziewczynka. Julian, przejęty trudnym do zrozumienia poczuciem winy, uśmiechnął się.

- Dzień dobry jeszcze raz, Nan - powiedział łagodnie. - Lepiej się czujesz?

Dziecko poważnie skinęło głową, ale milczało. Julian słyszał plotki, że mała jest opóźniona umysłowo, niczego nie kojarzy, ale bystre oczy zadawały kłam tym pogłoskom.

- Rozmawiałem z Bobem Pratchettem i jego kolegami - ciągnął. - Gdyby to się powtórzyło, twoja mama przyśle mi list. Rozumiesz?

Znowu skinęła głową.

- To bardzo ładna wstążka - pochwalił, widząc malinową kokardę w jej włosach. - Nowa?

- Tak - szepnęła. Julian musiał się pochylić, żeby rozumieć jej słowa. - Panna Daventry pomogła mi ją wybrać, bo pan Wilkins powiedział, że mu pobrudzę jego rzeczy.

- Naprawdę?

Julian z trudem powściągnął oburzenie. Najwyraźniej czekała go jeszcze jedna rozmowa. Do diabła! Przecież Nan nie była niczemu winna. Wyprostował się.

- Porozmawiam z Wilkinsem - oznajmił stanowczo.

- Może milord wspomnieć, że nie lubię, kiedy muszę płacić w jego sklepie więcej niż inni - wtrąciła Jane.

- Zrobię to na pewno - zapewnił. - W przyszłości informuj mnie o wszystkim. Nie uchylam się od odpowiedzialności, ale niewiele mogę zrobić, jeśli o niczym nie wiem.

- Milord nas wspiera, chociaż nie ma obowiązku - odparła zarumieniona. - Czego więcej mogę oczekiwać?

- Jeśli następnym razem dasz mi znać w razie kłopotów, to się przekonasz.

- Proszę zapomnieć, że to powiedziałam - odparła. - Milord wystarczająco dużo dla nas robi. - Zmarszczyła lekko czoło. - Jeszcze jedno. Panna Daventry... Lepiej niech milord ją ostrzeże, żeby tutaj nie przychodziła. Ona nie rozumie, co to znaczy. Przyproceedziła Nan, w porządku, ale nalegała na następną wizytę. Nie żałuję jej herbaty, jest naprawdę miła. Proszę ją jednak przekonać, żeby nie przychodziła. Nie chcę, żeby miała kłopoty po tym, co zrobiła.

- Mam poinformować pannę Daventry, co może robić, a czego jej nie wolno?! Nic z tego, jeszcze mi życie miłe - oświadczył lord Braybrook.

Rozdział dziesiąty

Julian jechał przez wieś, zdając sobie sprawę z tego, że spóźni się na umówione spotkanie z sir Johnem Postletonem i że najnowsze plotki zdążyły już obiec okolicę.

- Dzień dobry, milordzie. - Skłonił się przed nim lokaj, który otworzył mu drzwi. - Sir John pana oczekuje, ale jeśli można, milady prosi najpierw na kilka słów w cztery oczy.

- Dobrze, tylko proszę poinformować gospodarza, że już przyjechałem.

- Naturalnie, milordzie.

Lady Postleton przyjęła go w salonie. Do ust miała przyklejony uprzejmy uśmiech pani domu.

- Dzień dobry, lordzie Braybrook.

- Dzień dobry, lady Postleton - odparł uprzejmie Julian.

Niezależnie od ostatnich napomknien Sereny, zdawał sobie sprawę z tego, że jego osoba odgrywa istotną rolę w matrymonialnych planach lady Postleton, która chciała wydać za mąż Anne. Rozmowę tę należało więc traktować jak potyczkę w kampanii prowadzącej do określonego celu. Zazwyczaj przy tego typu zabiegach była obecna również młoda dama, upozowana przy harfie.

Widząc, że jego wzrok natychmiast powędrował ku instrumentowi, lady Postleton stwierdziła z uśmiechem zadowolenia:

- Jest pan rozczarowany nieobecnością Anne. Niestety, położyła się do łóżka z silnym bólem głowy po niefortunnych zdarzeniach dzisiejszego poranka.

- Doprawdy? - Julian czekał. Niemożliwe, żeby już dotarły tu plotki o Nan, a poza tym, co to miało wspólnego z Anne?

- Tak - potwierdziła lady Postleton. - Chociaż nie chciałabym wzburzyć biednej Sereny, to byłoby dobrze, gdyby szepnął jej pan przy okazji, że ta panna Daventry, którą wzięła do siebie, zupełnie się nie nadaje.

Julian zdrętwiał.

- Dano mi do zrozumienia, że zachowała się dziś rano wyjątkowo impertynencko wobec Anne, zuchwale wpychając się przed nią w sklepie pana Wilkinsa. Co więcej,

miała czelność upierać się, że należy ją obsłużyć pierwszą! - Lady Postleton nie kryła oburzenia. - To ci wielka dama! Proszę powiedzieć Serenie, że pomyliła się co do charakteru tej młodej osoby i zrobiłaby najlepiej, gdyby ją niezwłocznie oddaliła.

Julian potrzebował piętnastu minut zręcznych uników, by wreszcie wydostać się ze szponów lady Postleton. Udało mu się to zrobić bez składania przysięgi, że panna Daventry zostanie niezwłocznie zwolniona, co zresztą zakrawało na cud. Naturalnie bardzo pomogło mu podkreślanie, jak wielką przyjemność sprawi mu osobista wizyta lady Postleton w Amberley.

Wyszedł, paląc się z ciekawości, co takiego powiedziała panna Daventry, że spowodowała tak ciężką obrazę. Wkrótce uświadomił sobie jednak, że nie może czuć się bezpieczny, bo prawdopodobnie panna Daventry zamierza palnąć mu mowę umoralniającą. Zapukał do drzwi sir Johna.

- Proszę! Proszę!

Baronet podniósł wzrok znad ksiąg.

- Ha! Spóźniony!

- Bardzo przepraszam, sir - powiedział Julian. - Musiałem załatwić sprawę niecierpiącą zwłoki.

- Nie ma co owijać w bawełnę. Wszystko słyszałem. Niech pan wywiezie stąd tę Roberts. Nie rozumiem, dlaczego wcześniej pan tego nie zrobił. Przecież ona nic już dla pana nie znaczy, tylko przysparza kłopotów. Szkoda, że każdy widzi, jak sprawy stoją, ale jeśli ona stąd wyjedzie, problemy się skończą.

Julian zapanował nad sobą z najwyższym wysiłkiem.

- Nie do mnie należy decyzja - odparł.

- Powinna należeć do ciebie, chłopcze! - oświadczył Postleton. - I w tym rzecz. Przecież dom jest twój, prawda?

- Tak - przyznał Julian.

- No właśnie. Naturalnie mojej żonie szczególnie podobało się zachowanie panny Daventry w sklepie Wilkinsa. O ile wiem, chciała nawet z panem o tym porozmawiać. Inna sprawa, że panna Daventry nic tu nie zawiniła: skąd miała wiedzieć, czyje to dziecko?

Czyżby sir John uważał, że panna Daventry jest ślepa i głupia? Na pewno się zorientowała.

Sir John przysunął do siebie stertę papierów.

- Fakt pozostaje faktem, chłopcze. Gdybyś wywiózł je stąd, nie dochodziłoby do żenujących scen. Przecież to dla ciebie nie problem urządzić jej życie gdzie indziej. Zresztą powiedzmy to szczerze... - Odchrząknął, jakby temat wprowadzał go w zakłopotanie. - Kiedy się ożenisz, twoja wybranka znajdzie się w niezręcznej sytuacji. Będzie miała dowód przed oczami, jeśli można tak powiedzieć. Naturalnie to nie moja sprawa - dodał skwapliwie.

- Właśnie - przyznał Julian. - Spójrzmy lepiej, co mówią liczby. Oto moje przewidywania co do zbioru jabłek. Jeśli i pan ma pod ręką swoje obliczenia, możemy zastanowić się nad opłacalnością wyrobu cydru.

- Rozumiem. Nie moja sprawa, chociaż... - Urwał. - No dobrze, do rzeczy. Z tym cydrem pomysł jest niezły. Kilka osób więcej znajdzie pracę. Nie uciekną do miasta i nie napytają sobie biedy. Weź sobie krzesło, chłopcze!

Godzinę później z głową pełną planów nowego przedsięwzięcia Julian zaczął zbierać się do odjazdu.

- Poznał już pan tego Havergala? - spytał sir John.

Julian, który jeszcze składał dokumenty, znieruchomiał.

- Często widuję, jak tędy przejeżdża - ciągnął zadumanym tonem sir John. - Lady P. mówi, że odwiedza Serenę. To dziwny człowiek.

- Dziwny? Pod jakim względem?

- He? No cóż, jest całkiem przyjemny, nie powiem. Wynajął kwaterę w Hereford. Niedawno stanął przede mną w sądzie.

- Havergal? Przed panem?

- Owszem. Tak się składa, że jakiś młody łobuz wyciągnął mu portfel z kieszeni. Bezczelność, nie ma dwóch zdań! Ale on wcale nie chciał wnieść oskarżenia. Przydybał go i przyprowadził, miarkuj pan sobie, dla ostrzeżenia! Chciał, żeby chłopak trafił do jakiejś dobroczynnej szkoły dla zaniedbanych. Mnie się widzi, że to zwykła strata czasu. Wiadomo, jak się to skończy.

- A może jedno dziecko mniej trafi do kolonii karnej albo na szubienicę - powiedział Julian.

Sir John wydał pomruk świadczący o braku zrozumienia.

- A on przyszedł jeszcze do mnie dwa dni później. Powiedział, że chłopak jest już w szkole i nie łobuzuje na ulicach. Ciekawy człowiek. Przez ponad dwadzieścia lat był w Indiach. Pomyślałem, że spytam, czy go znasz, chłopcze. Często bywa u Sereny.

Julian odjeżdżał głęboko zadumany. Kim jest Havergal? Łowcą posagów? Chyba nie roi mu się, że Serena ma własny majątek, którym może dowolnie dysponować? Podobnie jak większość wdów, Serena w razie ponownego zawarcia małżeństwa straciłaby dożywocie. Należy poznać tego Havergala i konkretnie z nim porozmawiać, uznał Julian.

Christy opuściła dom Jane Roberts, przeklinając własną głupotę. Znowu dała o sobie znać jej krnąbrna natura, tym razem w zetknięciu z panną Postleton. Gdy skręciła na drogę do Amberley, wciąż jeszcze kipiała ze złości, i to nie tylko na tę damę. Właściwie nie było w tym nic dziwnego, że bogaty, przystojny arystokrata pozwala sobie na poufałości z kobietą, nie dbając o konsekwencje, jakie ta będzie musiała ponieść, jeśli urodzi jego dziecko. Dlaczego miałyby spodziewać się po Braybrooku czegoś innego? Czyż i jej nie proponował roli kochanki?

Gdy pokonywała przełaz, za którym zaczynała się ścieżka wiodąca przez las prosto do Amberley, usłyszała tętent. Odwróciła się i ujrzała wyłaniającego się zza zakrętu Harry'ego na okazałym gniadoszu. Natychmiast ją zauważył, powściągnął konia, a przez twarz przemknął mu grymas złości. Szybko jednak się opanował, pomachał jej na powitanie i podjechał.

- Chyba nie masz dzisiaj wolnego dnia - odezwał się. - Czyżby kazano ci załatwić coś we wsi?

Przyszło jej do głowy, że gniewna mina brata to po prostu wytwór jej wyobraźni.

- I tak, i nie. Czy twój koń jest w stanie przeskoczyć przełaz? Bo jeśli tak, to możesz mnie odprowadzić do końca ścieżki. Miło będzie trochę porozmawiać.

- Lepiej nie. Czeka na mnie sir John, rozumiesz... - Harry lekko się zarumienił i Christy znów odniosła wrażenie, że nie czuje się swobodnie. - Odwiedzę cię w wolny

dzień - obiecał, przywołałszy na twarz uśmiech. - Naturalnie jest również bal w Amberley w przyszłym tygodniu. Dostałem zaproszenie, wiesz?

- Tak. - Sama pomagała wypisywać te zaproszenia.

- Nie masz z nim żadnych problemów?

- Najmniejszych.

Nawet gdyby kusiło ją, by przyjąć haniebną propozycję lorda Braybrooka, to poranne wydarzenia posłużyły jako poważne ostrzeżenie.

- To dobrze. - Harry uniósł szpicrutę w pożegnalnym geście. - Do zobaczenia, Christy.

Ścisnął boki konia i pokłusował w dal, a Christy ruszyła w kierunku Amberley. Przez całą drogę rozmyślała o Braybrooku i nie potrafiła zdecydować, co powinna o nim sądzić. Nie doszła do żadnego ostatecznego wniosku, za to dotarła do kolejnego przełazu, którym kończyła się ścieżka. Za nim ciągnął się dworski park, a w oddali rysowała się bryła Amberley.

Na stopniu przełazu siedziała Alicja. Popatrzyła na nią z wyraźnym zmieszaniem. Christy natychmiast skojarzyła fakty. Nic dziwnego, że Harry był zirytowany. Najwidoczniej ukartowali spotkanie. Wczoraj Alicja poszła z Emmą i Matthew do wsi, bo lady Braybrook uważała, że nie wiąże się z tym żadne niebezpieczeństwo. Christy otworzyła usta, ale natychmiast je zamknęła. Nie miała dowodów. Lepiej nic nie mówić, żeby nie wzbudzić czujności podopiecznej.

- Dzień dobry, panno Daventry. - Lissy tymczasem odzyskała spokój. - Czy załatwiała pani dla mamy coś we wsi?

Christy zawahała się.

- Tak - potwierdziła. - Byłam po jedwab do haftów. Wrócimy razem do domu?

Dziewczyna zerknęła na ścieżkę wiodącą przez las.

- Do domu?... Tak. Właśnie wybierałam się z powrotem. - Wstała i zdobyła się na wymuszony uśmiech. - Spotkała pani kogoś interesującego? We wsi, rzecz jasna. - Znów nerwowo spojrziała na ścieżkę.

- Pani przyjaciółka, panna Postleton, była z bratem w sklepie. Natknęłam się też na Harry'ego.

- Och, na pewno się pani ucieszyła. - Na twarzy Alicji pojawił się zdradziecki rumieniec.

Christy uznała, że nie ma sensu drażnić tematu. Postanowiła ostrzec jego lordowską mość, chociaż nic nie budziło w niej gorszych przeczuć niż perspektywa rozmowy z Braybrookiem.

Julian wrócił do Amberley, wciąż mając w pamięci pogardę, jaką wyczytał z oczu panny Daventry, oraz jej lodowaty ton, aż nadto wymowny. Zeskoczył z siodła na podwórzu przed stajnią i poluzował koniowi popręg.

Naturalnie mógł wyjawić panie Daventry prawdę. Tylko po co? Przecież to nie była jej sprawa. Jednak wewnętrzny głos podpowiadał mu, że może wtedy panna Daventry pomyślałaby o nim z większą życzliwością.

A cóż go właściwie obchodzi zdanie guwernantki? Nawet gdyby zgodziła się zostać jego kochanką, nie miała nic do powiedzenia, przynajmniej dopóki nikt nie podnie- sie tej sprawy w jej obecności. Julian zdjął siodło i podał je stajennemu.

- Dziękuję, Billy.

Jego uwagę zwróciło rzenie konia. Rozejrzał się i ujrzał nad drzwiczkami boks w stajni nieznany mu pysk z białą strzałką.

- Billy! - zawołał stajennego, który tymczasem szedł już ku siodłami. - Czyj to koń?

Billy zerknął przez ramię.

- Słucham? A, ten? To Radża. Pan Havergal przyjechał jakąś godzinę temu.

- Rozumiem. - Julian podszedł obejrzeć konia. Całkiem przeciętny wałach odwzajemnił jego spojrzenie.

Nie można było nic temu zwierzęciu zarzucić, nic jednak również nie świadczyło o jego wybitnych zaletach. Koń nieco lepszy niż roboczy, ale nie kosztowny wierzchowiec. Julian machinalnie poklepał wałacha po pysku. Ten z nadzieją wysunął ku niemu chrapy.

Wreszcie dojdzie do spotkania z tajemniczym panem Havergalem, stwierdził w duchu Julian i szybkim krokiem skierował się do domu.

Drzwi salonu były otwarte, dobiegały z nich odgłosy rozmowy przeplatanej śmiechem. Zaintrygowany Julian stanął na progu. Serena, Davy i mężczyzna, który musiał

być Havergalem, siedzieli przy stoliku, a między nimi leżała rozłożona plansza do tryktraka. Chłopiec miał poważną minę.

Havergal mówił:

- Popatrz, Davy. Na tej linii stoi tylko jeden mój pion. Jeśli uda ci się tam wejść, zrzucisz go na bandę.

Przeciętnego wzrostu, z siwymi włosami, opaloną twarzą o wyrazistych rysach mógł być to człowiek, który spędził wiele lat w gorącym klimacie, uznał Julian. Davy uśmiechnął się i przesunął pion zgodnie z radą, po czym zdecydowanym ruchem podniósł głowę. Julian pomyślał, że Matt w tym wieku wyglądał zupełnie tak samo i również cieszył się, kiedy wygrywał z dorosłym.

- Doskonale - pochwalił go Havergal. - Teraz muszę rzucić kostką tak, by móc zająć wolną linię w twoim domu, a ponieważ wszystkie linie masz zajęte, nie mogę wykonać ruchu. Rzucasz jeszcze raz.

Julian poczuł ukłucie irytacji. Kiedyś to on uczył grać Matta. Z Davym jeszcze nie było okazji zacząć i nagle ten obcy zajął jego miejsce. Przyglądał się dalej niezauważony. Jego w tajniki gry wprowadził ojciec. Czy gdyby żył, chciałby nauczyć Davy'ego? Julian starał się być dla chłopca również kimś w rodzaju ojca, a nie tylko starszym bratem. Dwie głowy, duża siwowłosa i mała ciemna, pochyliły się nad planszą w wielkim skupieniu. Co sądzi o tym Serena? Zerknął ku niej i zrobiło mu się jej żal.

Przyglądała się mężczyźnie i chłopcu, a z jej oczu wyzierał głęboki smutek, o jaki Julian nigdy by jej nie podejrzewał. Zupełnie jakby obserwowała coś, co dla niej było bezpowrotnie stracone. Na moment zacisnęła palce na poręczach fotela i zamknęła oczy.

Głos Havergala, który znów radził Davy'emu, lekko drgnął. Mężczyzna podniósł głowę. Serena natychmiast się rozchmurzyła i przesłała mu uśmiech.

Radosna, serdeczna kobieta cierpliwie znosząca swój los...

Julian doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że niepełnosprawność musi być dla niej frustrująca, ale Serena nigdy o tym nie mówiła. Łatwo można było uwierzyć, że jest całkiem pogodzona z tym, co przyniosło jej życie.

Widocznie machinalnie poruszył się w drzwiach, bo nagle go zauważono.

- Julianie... jesteś! Chodź, poznasz pana Havergala, mojego starego przyjaciela. Razem dorastaliśmy.

Stary przyjaciel...

Havergal wstał i wyciągnął do niego rękę.

- Witam - powiedział Julian, ściskając mu dłoń. - Co dokładnie oznacza w pana wypadku „stary przyjaciel”?

- Dzień dobry, milordzie. Miło mi, że mogę w końcu zawrzeć z panem znajomość. Ilekroć przyjeżdżam w odwiedziny, pana akurat nie ma - odparł Havergal.

Julian dostrzegł uśmiech Sereny i zaskoczony zrozumiał, że to ona tak pokierowała sprawami. Do licha! Przypomniawszy sobie, że ostatnim razem, gdy panna Daventry miała wolny dzień, Serena pozbyła się z domu absolutnie wszystkich.

- Nie wydaje mi się, abym znał pańskie nazwisko - odrzekł.

Serena była jedyną dziedziczką majątku swego ojca; Julian zarządzał teraz tą niewielką posiadłością, którą niekiedy odwiedzał. Gdyby rzeczywiście tam razem dorastali, musiałyby się chyba natknąć na nazwisko Havergal.

- Mój ojciec był pastorem - wyjaśnił gość.

- A pan nie wybrał życia w stanie duchownym?

Havergal pokręcił głową.

- Nie. Sprawilem mu wielki zawód, ale wuj znalazł dla mnie miejsce w swoim przedsiębiorstwie.

- Pan Havergal mieszkał w Indiach, Julianie - powiedział rozemocjonowany Davy.

- I ma tygrysa! Prawdziwego!

Havergal cicho się zaśmiał.

- Wyrobisz mi u twojego brata opinię bardzo dziwnego osobnika, chłopcze. Mówiłem tylko, że mam prawdziwą skórę tygrysa i używam jej jako dywanika. Poza tym nie zastrzeliłem tego biednego drapieżcy, tylko dostałem taki prezent.

- Chciałbym to zobaczyć - powiedział z nadzieją w głosie Davy.

Havergal uśmiechnął się.

- Innym razem, Davy. Nie byłoby mi wygodnie wieźć tej skóry konno. Mój biedny koń uciekłby gdzie pieprz rośnie. Któregoś razu przyjadę wynajętym gigiem i wtedy ci ją pokażę.

- To bardzo miłe, że chce pan zrobić przyjemność Davy'emu - powiedział Julian.

Niewątpliwie ten człowiek nie był bogaczem, skoro musiał pożyczać gig. Jakość jego konia świadczyła zresztą o tym samym.

- Czy możemy dokończyć grę, proszę pana? - spytał Davy.

- Naturalnie. - Havergal ponownie usiadł i zerknął na Juliana. - Wybacz mi pan, milordzie?

- Bez wątpienia.

Havergal musiał być bardzo dobrym graczem. Wygrał, ale tylko minimalnie, tak że Davy był z siebie bardzo zadowolony.

- Prawda, proszę pana, że robię postępy? - zwrócił się do Havergala, gdy składali komplet. - Czy możemy zagrać, kiedy pan znowu przyjedzie?

- Jeśli tylko mama ci pozwoli - odparł, przesyłając uśmiech Serenie. - Muszę wracać. Jeśli masz ochotę, możesz mnie odprowadzić do stajni.

Chłopiec aż podskoczył.

- Tak, tak! Mogę, mamó?

- Oczywiście, kochanie. Tylko nie męcz pana Havergala o tego tygrysa.

- Będę wam towarzyszył, jeśli można - włączył się Julian, wstając.

Davy zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

- Chciałem tylko zapytać - wyjaśnił. - Zapytać przecież można, prawda?

Havergal parsknął śmiechem.

- Masz rację, chłopcze. Zapytać nie zaszkodzi. Uspokójmy jednak twoją mamę i uznajmy, że już zapytałeś. Obiecuję, że zobaczysz tygrysią skórę. Chodź, będziesz mógł przejechać się na Radży po podjeździe.

Pożegnał się z Sereną, a Julian uważnie go obserwował. Nie pocałował jej w rękę, ale sposób, w jaki trzymał jej dłoń, składając ukłon, i jak wymienili uśmiechy, wzbudziło jego najwyższy niepokój.

Havergal skinął mu głową.

- Nie trzeba mnie odprowadzać, milordzie. Davy doskonale da sobie radę.

Obaj opuścili pokój. Julian poczuł ukłucie zazdrości, widząc, jak chłopiec otacza tego obcego kultem bohatera, należnym zwykle starszym braciom.

- Jakie masz plany na resztę dnia, Julianie? - spytała Serena.

Uniósł brwi.

- Nawożenie. Kupiłem sobie do poczytania nową książkę na ten temat. Przynieść ją tutaj, skoro nie ma panny Daventry?

- Jeśli chodzi ci o mnie, to dziękuję, mój drogi. Zresztą, panna Daventry powinna niedługo wrócić.

- Sereno... ten Havergal...

- Jest moim starym i bardzo dobrym przyjacielem - powiedziała tonem ucinającym dyskusję. - Nie musisz się tym martwić. Nie planuję niczego nierozważnego.

- Naturalnie. - W tej sytuacji Julian uznał, że lepiej istotnie nie nalegać. - Idę więc się doksztalać.

- Miłej lektury. Pamiętaj, Julianie, że mam czterdzieści dwa lata, nie siedemnaście. Do tego jestem wdową. Na pewno dobrze wiesz, że wdowy nie podlegają tym samym restrykcjom, co młode panny.

Książka o nawożeniu nie mogła go zainteresować. Cały czas wracał myślami do Jane i Nan Roberts. Nawet jeśli mu się to nie podobało, ponosił za nie odpowiedzialność. Musiał więc znaleźć takie rozwiązanie, które zapewniłoby im obu spokojne życie i na które Jane by przystała.

A teraz jeszcze Serena! Wiedział oczywiście, że status wdowy jest inny niż panny. Jednak nie potrafił sobie wyobrazić Sereny z kochankiem... Przecież ona jest jego macochą! Znowś spróbował się skupić nad książką i zaczął robić notatki. Nie poczynił jednak wielkich postępów i w pewnym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział.

W drzwiach ukazała się panna Daventry. Oto kolejny problem. Nie sądził przecież, by przyszła mu powiedzieć, że zmieniła zdanie i zostanie jego kochanką. Zresztą, spotkanie z Nan Roberts na pewno utwierdziło ją w przekonaniu, że podjęła właściwą decyzję.

- Słucham panią - powiedział, odkładając pióro.

- Jeśli ma pan wolną chwilę, milordzie, chciałabym porozmawiać o Alicji.

Omal głośno nie zaklął.

- Dobrze. Drzwi proszę zostawić otwarte.

Zaczerwieniła się.

- Jak pan sobie życzy, ale ja ufam pańskiemu słowu, milordzie.

- Lepiej się zabezpieczyć, niż żałować. - Wskazał jej krzesło. - Proszę usiąść i opowiedzieć, co panią niepokoi.

Słuchał jej słów z coraz większym gniewem.

- Uważa pani, że to spotkanie było zaplanowane?

- Tak. Mogli się umówić wczoraj, kiedy Alicja poszła do wsi. Jeśli wymienili tylko parę zdań w miejscu publicznym, ani Emma, ani Mathew z pewnością nie widzieli w tym niczego zdrożnego.

- Do diabła z pani bratem! - wybuchnął Julian. - Na pewno napomknął jej, że będzie tamtędy przejeżdżał, i podsunął myśl o spotkaniu. Co za brak honoru...

- Ona się zgodziła - odparła panna Daventry. - Harry ma uczciwe zamiary - ciągnęła. - Czego nie mogę powiedzieć o... - Urwała, cała czerwona na twarzy.

- Wolałbym, żeby jego zamiary nie były uczciwe! Wtedy Lissy nie dałaby się nabrać, taka głupia nie jest.

- Dziękuję - oświadczyła lodowatym tonem.

Poniewczasie zauważył, że popełnił niewybaczalną gafę.

- Te przypadki są nieporównywalne, panno Daventry. - A niech to! Jeszcze pogorszył sprawę. Sądząc po minie jego rozmówczyni, była tego samego zdania.

- To prawda, milordzie. Ja nie mam arystokratycznej rodziny, którą mogłabym zhańbić, prawda?

- Nie! To znaczy... do diabła! W ogóle nie to chciałem powiedzieć. - Zdawał sobie jednak sprawę, że do reszty się pogrąża. - Lissy jest moją siostrą, mam obowiązek ją chronić.

- Pańskie instynkty opiekuńcze nie rozciągają się jednak na siostry innych mężczyzn. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Ani na żony. Dla pana nie ma znaczenia, że dla

kobiety konsekwencje bycia jego kochanką mogą okazać się równie katastrofalne, jak dla Alicji następstwa nierozważnie zawartego małżeństwa.

- Czyżby właśnie nazwała mnie pani hipokrytą?

Zapadło ciężkie milczenie.

- Na to wygląda - odrzekła po chwili, dumnie unosząc głowę.

Głęboko odetchnął, usiłując zapanować nad sprzecznymi emocjami. Odczuwał wściekłość, bo jej słowa go uraziły, a także podziw, że miała odwagę trwać przy własnej ocenie. A do tego jeszcze pożądanie. Kusiło go, by powiedzieć Christy, że się myli, wyjaśnić jej... To jednak nie wchodziło w grę. Nie miał zwyczaju tłumaczyć się przed kobietami. Tyle że w obecności panny Daventry nieustannie groziło mu łamanie zasad.

- Wobec tego do rzeczy. - Postanowił zmienić temat. - Co pani proponuje w obecnej sytuacji, panno Daventry?

- Chodzi panu o to, że uważam go za hipokrytę?

- Nie. O głupotę Lissy.

- Dlaczego interesuje pana moje zdanie?

Sam zadawał sobie to pytanie. Czy dlatego, że wobec jej brutalnej szczerości zaczął cenić jej opinie?

- Do tej pory nie miała pani oporów przed wyrażaniem swojego zdania w różnych kwestiach. Dlaczego teraz chciałaby je pani zachować dla siebie?

- Nie robić nic, tylko zachować czujność - powiedziała. - Nie ma namacalnego dowodu. Jeśli się mylę, a pan podejmie jakieś kroki, uraza Alicji jeszcze się nasili. Gdybym natomiast miała rację, to może się okazać, że nieudana próba omal nie zakończona zdemaskowaniem zniechęci Alicję do kolejnych, zwłaszcza jeśli nie damy jej poznać, że coś wiemy, a ja zadbam o to, by miała dużo zajęć.

- Milczeć? - spytał - To wygodne dla pani brata.

Zerwała się gwałtownie.

- Spytał mnie pan o zdanie, więc się nim podzieliłam - powiedziała ze złością. - Gdybym chciała osłaniać Harry'ego, nie przyszedłabym z tą sprawą do pana.

Starł się utrzymać nerwy na wodzy.

- No dobrze, panno Daventry. Jeszcze jedno...

- Chce mnie pan zwolnić?

- Nie. Chcę podziękować za dobroć, jaką okazała pani Nan Roberts.

- To niepotrzebne, milordzie. Nie uważam, by było słuszne obciążanie dzieci grzechami ojców. Poza tym moja siostra...

Z jej twarzy nie sposób było teraz cokolwiek wyczytać.

- Siostra?

- Sarah umarła na odrę, kiedy miała osiem lat, a ja szesnaście.

Mógł się tylko domyślać, ile bólu sprawiło jej to wyznanie. Pamiętał przecież dobrze swój strach, z którym musiał żyć, kiedy na odrę zachorował Davy.

- Przykro mi.

Spojrzała na niego surowo.

- Łatwo powiedzieć: „Przykro mi”. Zresztą jeśli chodzi o Sarah, nie ma pan do tego powodu. Za nią nie był pan odpowiedzialny.

Christy wyszła z pokoju z podniesioną głową. Julian podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Ze zdziwieniem stwierdził, że poruszyła go śmierć dziecka, którego nie znał.

Rozdział jedenasty

Przez następne kilka dni w Amberley trwało wielkie zamieszanie w związku z przygotowaniem do balu. Chociaż Julianowi wydawało się, że w tym roku problemów jest znacznie mniej niż w ubiegłym, i tak był zdania, że stanowczo za często musi widywać pannę Daventry, która z nieodłączną listą w ręku dyrygowała służbą przestawiającą meble i przygotowującą dla gości pokoje.

Również Alicja zdawała się poświęcać wiele czasu przygotowaniom, Któregoś przedpołudnia Julian zastał ją w bibliotece na ustalaniu jadłospisu z gospodynią. Gdy wszedł, podniosła głowę.

- Och, przepraszam, Julianie. Przeszkadzamy ci?

- Ani trochę - odparł zaskoczony.

- To dobrze - mruknęła Lissy i zwróciła się ponownie do pani Pritchard. - Wobec tego kaczka z groszkiem, a na deser tarta morelowa.

- Dobrze, panno Alicjo - rzekła gospodyni, chowając notatki. - Powiem kucharce.

- Dziękuję. Powiedz jej też, że przyjdę potem do kuchni sprawdzić, czy nie ma kłopotów.

- Dobrze, panno Alicjo. - Gospodyni dygnęła i wyszła.

- Świetnie się spisujesz - pochwalił siostrę Julian.

- Mama złożyła wszystko w ręce panny Daventry, a ona poprosiła mnie, żebym pomogła przygotować jadłospis. Po prostu robię to, co mi polecono.

Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z tego, że to zajęcie odwodzi jej uwagę od niemądrych pomysłów. Julian pomyślał z uznaniem, że panna Daventry miała rację.

- Z Pritch wszystko idzie jak po maśle, a Christy właśnie poszła do Hicksona, aby powiedzieć mu, że musi dostarczyć kwiaty do dekoracji. Ostrzegalam ją, że może nadzieć się na jego widły, ale powiedziała, że z humorzastym starym ogrodnikiem na pewno da sobie radę.

- Christy?

Alicja wzruszyła ramionami.

- Tak ma na imię. Zdrobnienie od Christiana. Spytałam, czy mogę tak do niej mówić, i się zgodziła. To brzmi bardziej po przyjacielsku, a ona jest taka miła.

- Rozumiem. Skoro jadłospisy są gotowe, może wybierzesz się ze mną na przejażdżkę. Co ty na to?

- Och, chciałabym, ale nie mogę. Obiecałam Christy, że pomogę przy szyciu w czasie, gdy będzie miała z Davym lekcję francuskiego. Bardzo ci jednak dziękuję za zaproszenie.

Miła? Po wyjściu Alicji Julian zaczął zastanawiać się nad tym określeniem. W odniesieniu do Christy, nie, do panny Daventry, wydawało mu się ono blade i banalne. Była uparta, do przesady uczciwa i życzliwa. Ludzi mierzyła własną miarą, bez względu na opinię innych. Chyba mógłby o niej powiedzieć również, że jest miła. Mocno jednak wątpił, czy odwzajemniłaby taki komplement. Ze zdumieniem złapał się na tej myśli. Przecież w ogóle nie powinno go interesować, co o nim sądzi guwernantka. Musiał jak najszybciej dosiąść konia i wyruszyć na przejażdżkę.

Gdy wrócił, w sieni powitał go Hallam.

- Milady jest w salonie, milordzie. Pani Pritchard już trochę doszła do siebie, ale uważa, że przez to stworzenie panicz Davy będzie miał koszmary.

- Jakie stworzenie, Hallam? O czym ty mówisz?

- O stworzeniu, które przywiózł pan Havergal - wyjaśnił Hallam. - Idąc z nim, spotkał na schodach panią Pritchard, która natychmiast dostała spazmów. Z dużą szkodą dla herbaty niesionej dla milady.

- Rozumiem - powiedział Julian, choć nadal nic nie rozumiał. - Pójdę więc na górę do salonu i zobaczę, o co chodzi.

- To bardzo dobry pomysł, milordzie - przyznał Hallam, odbierając od Juliana rękawiczki i szpicrutę.

W salonie panował niemały zamęt. Przed kominkiem leżała rozplaszczona skóra tygrysa, a na niej siedział dumny Davy. Matt i Emma zerkali na niego koso. Panna Daventry, zajmująca miejsce obok Sereny na sofie, wyglądała tak, jakby z całych sił starała się nie roześmiać.

Na jego widok Davy zerwał się z entuzjazmem.

- Popatrz, Julianie! Tylko popatrz. On jest mój! Nie Matta i nie Emmy. - Wypowiadając to ostatnie zdanie, przesłał triumfalne spojrzenie rodzeństwu.

- Myślałby kto, że chcę taką szkaradę - burknęła Emma, ale zabrzmiało to nieprzekonująco.

Matt niczego się nie wypierał. Jego wzrok skierowany na zdobycz Davy'ego mówił wszystko. Z wszelkich atrakcji, jakie mogą budzić pożądliwość młodego człowieka, skóra tygrysa zaopatrzona w kły i szklane zielone oczy zajmuje pierwsze miejsce. Natomiast z wielką satysfakcją Julian odnotował, że Tybalt wycofał się w kąt sofy, za Serenę i nastroszył się tak, że prawie podwoił swoją objętość.

- Skąd to się wzięło? - zwrócił się do macochy, która, ku jego zaskoczeniu, spłonęła rumieńcem.

- Przywiózł pan Havergal - odpowiedział zamiast niej Davy. - Ostatnim razem opowiadał o tygrysie i spytałem, czy mogę go zobaczyć, pamiętasz? Powiedział, że tygrys należał do innego chłopca, który już go nie potrzebuje, więc mogę go zatrzymać.

- Rozumiem.

Julian przesłał Serenie spojrzenie pełne zadumy, wywołując tym u niej jeszcze głębszy rumieniec.

- To bardzo miło ze strony pana Havergala - powiedziała.

- Będę trzymał tygrysa w swoim pokoju - oznajmił Davy. - Mamo, czy mogę pojechać do Hereford, żeby podziękować panu Havergalowi? Twigg zabrałby mnie, gdybym go o to poprosił.

Julian spojrzał na niego z uwagą.

- Sądziłbym, że już podziękowałaś panu Havergalowi, kiedy wręczył ci prezent.

Tymczasem intensywnie rozmyślał. Czy to możliwe, żeby Havergal, który wyraźnie nie był zbyt majętny, miał aż tak złe rozeznanie co do renty wdowiej Sereny?

- Mnie tu nie było. - Davy przesłał gniewne spojrzenie pannie Daventry. - Byłem w klasie i uczyłem się odmiany francuskich czasowników. - Z jego tonu wynikało jednoznacznie, że uważa to za stratę czasu.

- *Mea culpa* - powiedziała panna Daventry. - Niestety, Davy, bez względu na to, co sądzisz o mojej spostrzegawczości, czytanie z kryształowej kuli nie wchodzi w zakres umiejętności szanującej się guwernantki.

- Pan Havergal zostawił tygrysa u mamy - ciągnął Davy. Sam musiał wrócić, bo żeby go tu przywieźć, wypożyczył giga. Czy nie uważasz, Julianie, że powinienem do niego pojechać i podziękować

- Jak najbardziej - potwierdził Julian.

Mógł zabrać Davy'ego do Hereford, a przy okazji odwiedzić tego dżentelmena i powiadomić go o pewnych faktach. To zaś, jeśli się nie mylił, powinno spowodować natychmiastowe ochłodzenie stosunków pana Havergala z Sereną.

- Poza tym panna Daventry na pewno wbiła ci do głowy tyle czasowników, że na jeden ranek wystarczy, więc możemy pojechać nawet zaraz - dodał.

- Panno Daventry - zwróciła się do Christy Serena - czy wolno mi prosić panią, aby pomogła Davy'emu zanieść tę skórę do pokoju? Matt i Emma, czy możecie wyjść? Chciałabym zamienić kilka słów z Julianem.

Czyżby na temat Havergala? - zadał sobie w duchu pytanie Julian.

- Zanim odwiedzisz Nigela, ziejąc ogniem piekielnym - zaczęła bez ogródek Serena, gdy zostali sami - powinieneś się dowiedzieć, że Nigel poprosił mnie dzisiaj o rękę, a ja przyjąłam jego oświadczenia.

Małżeństwo? Zaskoczony Julian usiłował zebrać myśli.

- Dobrze wiesz, że pragnę jedynie twojego szczęścia. Czy jesteś...?

- Absolutnie pewna - powiedziała. - Kochaliśmy się, kiedy byliśmy młodzi, ale on nie miał pieniędzy, a mój ojciec wydziedziczyłby mnie za zawarcie takiego małżeństwa. Nie chciałam być dla niego ciężarem, więc wyjechał do Indii, a ja poślubiłam twojego ojca. Nie zrobiłam tego z miłości, ale wiem, że był porządnym i uczciwym człowiekiem.

- Sereno... - zaczął znowu, zbyła go jednak machnięciem ręki.

- Nie, Julianie. Musisz zrozumieć. Oboje wciąż się kochamy i nic już nie stoi na przeszkodzie, abyśmy byli razem. Nigel wrócił do Anglii, bo usłyszał, że owdowiałam.

- W odpowiednim momencie.

- Zamierzamy jak najszybciej się pobrać. Nigel zapewnił mnie, że może utrzymać mnie na wystarczającym poziomie.

- A dzieci? - spytał. - Jestem ich opiekunem prawnym. Gdzie będziecie mieszkać? Tutaj? W ten sposób utrzymywanie cię będzie rzeczywiście łatwe. Czy nie rozumiesz, że ten człowiek cię wykorzystuje?

Serena spojrzała na niego gniewnie.

- Gdybym mogła cię osiągnąć, Julianie, natarłabym ci uszu. Spróbuj sam siebie posłuchać. Nie sądź, że nie zdaję sobie sprawy z powodów, dla których jest mało prawdopodobne, aby ktoś chciał mnie poślubić. Nigel wie, że niczego do tego małżeństwa nie wniosę...

- Miałbym pozwolić ci głodować? On dobrze wie, że znajdę się pod ścianą, nawet jeśli ty tego nie dostrzegasz!

Julian zostawił kariolkę i parę koni pod baczny okiem Jacka Fichetta, koniuszego w New Inn i trzymając za rękę Davy'ego, ruszył w stronę katedry. Jack udzielił mu bardzo użytecznych informacji. Pan Havergal wrócił przed ponad godziną. W New Inn trzymał konia, płacił regularnie i dawał napiwki, korzystał też z miejscowego gigu. Julian uznał to za potwierdzenie swojego przeświadczenia, że ma do czynienia z człowiekiem niezbyt zamożnym. Nie mógł dopuścić do tego, aby Havergal poprawił swoje życiowe położenie kosztem Sereny.

Dzięki wskazówkom bez trudu znaleźli solidny piętrowy budynek o konstrukcji ryglowej. Nad ulicą ciągnęły się nadwieszony balkony. Drzwi otworzyła porządnie wyglądająca kobieta, obrzuciła Juliana spojrzeniem i dygnęła. Gdy dowiedziała się, że lord Braybrook przyszedł z wizytą do pana Havergala, onieśmielona jeszcze bardziej niż poprzednio zaprowadziła ich na górne, drugie piętro i zapukała. Havergal otworzył i uśmiechnął się szeroko.

- O dzień dobry, Braybrook - powiedział uprzejmie. - Co za miłe odwiedziny, witaj, Davy. Rozumiem, że panna Daventry się nad tobą znęcała, kiedy byłem w Amberley - Zwrócił się do gospodyni: - Pani Philpott, czy nie będzie dla pani zbyt wielkim kłopotem, jeśli poproszę o kawę dla jego lordowskiej mości i dla mnie oraz o mleko dla panicza Trenthama? I może jakieś ciasto?

- Naturalnie, proszę pana. To żaden kłopot.

- Dziękuję bardzo. Proszę wejść, milordzie. Zapraszam, Davy.

- Bardzo panu dziękuję za tygrysią skórę! - wykrzyknął chłopiec, gdy tylko drzwi się zamknęły. - Jest wspaniała. Będę ją miał w swoim pokoju, a Matthew zżółknie z zawiści!

Havergal cicho się zaśmiał.

- Może jednak czasem zechcesz mu ją pożyczyć? Proszę usiąść, milordzie. - Wskazał Julianowi krzesło.

- No, może... - powiedział Davy, choć bez przekonania.

Przez kilka minut toczyli uprzejmą konwersację przy kawie i mleku, przy czym chłopiec starał się zadać jak najwięcej pytań o Indie.

Wreszcie, gdy Julian już ledwie mógł wysiedzieć, zirytowany doskonałą komitywą młodszego brata z gospodarzem, Havergal zaprosił Davy'ego do sąsiedniego pokoju i tam zręcznie go czymś zajął. Obiecał wrócić wkrótce, gdy porozmawia z Julianem o sprawach dorosłych, i zamknął KB sobą drzwi.

- Przyszedł pan mnie zniechęcać, milordzie? - spytał.

Julian precyzyjnym gestem odstawił filiżankę na stolik.

- A muszę?

- To zależy od pańskiego punktu widzenia.

- Mój punkt widzenia jest taki, że sprawuję opiekę nad macochą.

- Ciekaw jestem, co ona na to - odparł Havergal.

- To nie ma znaczenia. Przyjechałem położyć kres pańskiemu zainteresowaniu Sereną.

- Bardzo to elegancko z pańskiej strony. Czy uśmierzy pański niepokój moja deklaracja, że wobec Sereny mam całkowicie honorowe zamiary?

- Poinformowała mnie o pańskich oświadczeniach. Zaskarwienie sobie życzliwości Davy'ego było bardzo zręcznym posunięciem, prawda? - Havergal milczał, więc Julian ciągnął: - Może weźmie pan pod uwagę, że Serena otrzymuje rentę wdowią pod dwoma warunkami: dzieci pozostają pod moją opieką, a ona nie wyjdzie ponownie za mąż.

Julian omiół wzrokiem pokój, zwracając uwagę na skromność i prostotę wyposażenia. Dostrzegł jednak przedmioty z brązu i kości słoniowej, a na podłodze leżał kosztowny dywan. Zapewne jednak takie rzeczy można było nabyć w Indiach za bezcen. Sam Havergal był ubrany przyzwoicie, ale strój miał znoszony.

- Owszem, wiem o tym. - Havergal się wyprostował. - Serena zadała sobie niemało trudu, by mi to uświadomić. Jeszcze kawy, milordzie?

- Dziękuję, nie.

- Trudno. - Havergal ponownie napełnił swoją filiżankę i upił łyk, obserwując Juliana. - W takim razie, milordzie, muszę pana poinformować, że będę brał pod uwagę wyłącznie punkt widzenia Sereny

- I swój własny.

Havergal skłonił głowę.

- Również, ale nie tak bardzo jak Sereny. Julian nieelegancko parsknął.

- Zachowuje się pan obraźliwie, milordzie - poinformował go Havergal. - Zapewniam pana, że Serena nigdy nie ukrywała przede mną swojej sytuacji finansowej. Nie dałem też tygrysięj skóry Davy'emu po to, by wkraść się w jego łaski. Uznałem po prostu, że sprawię mu radość, a on przypomina mi innego małego chłopca. - Na chwilę urwał. - Pierwszym właścicielem tej skóry był mój syn.

Cichość głosu Havergala ostrzegła, że wkroczyli na grząski grunt. Mimo to Julian nie zamierzał zrezygnować. Przyszedł czas na decydujący cios.

- Powiem bez ogródek. Może się to panu nie podobać, ale Serena jest pod moją opieką. Nie pozwolę, żeby pozwoliła się oszukać panu albo komukolwiek innemu.

Havergal odruchowo zacisnął pięści.

- To doprawdy godna pochwały troskliwość, milordzie. Jestem dostatecznie dobrze sytuowany, żeby być odpowiednim kandydatem.

Julian uniósł brwi.

- Oczekuje pan, że uwierzę mu na słowo?

Havergal wstał, podszedł do zabałaganionego biurka i zaczął coś pisać. Chwilę później osuszył list piaskiem i podał go Julianowi razem z biletem wizytowym.

- Oto upoważnienie do zadawania dowolnych pytań Hammerfieldowi, mojemu pełnomocnikowi finansowemu. Może pan zasięgnąć o mnie opinii również w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Już dla nich nie pracuję, ale wiedzą o mnie wszystko. Mam tylko jedno życzenie. Proszę nie mówić Serenie, czego się pan dowiedział. Wolę jej to powiedzieć sam.

Julian spojrział na krótki liścik. Havergal mieszkał w Indiach ponad dwadzieścia lat. Musiał być znacznie lepiej sytuowany, niż się zdawało.

- Nie wszyscy ludzie lubią się afiszować pieniędzmi, Braybrook - dodał Havergal, czytając w jego myślach. - Serena wie, że jestem w stanie bez kłopotu się utrzymać, ale nie zna rozmiarów mojego majątku. Zresztą, nawet bez tego niełatwo jej było dojść do przekonania, że jest dla mnie odpowiednią kandydatką na żonę.

- Odpowiednią kandydatką - powtórzył Julian. Zerknął na drzwi do sąsiedniego pokoju, zaniepokojony, czy nie pojawi się w nich Davy. - Zwykle mężczyzna chce mieć dziedzica. Może nie...

- Serena powiedziała mi to jasno - odparł spokojnie Havergal. - Nie myślę o dziedzicu.

Julian zmarszczył czoło. Jeśli nie dla dziedzica i nie dla pieniędzy, to po co Havergal chce się żenić? Tego pytania nie mógł jednak zadać. Zależało mu przede wszystkim na szczęściu i bezpieczeństwie Sereny. Przyszło mu do głowy jeszcze coś innego.

- Dzieci są pod moją opieką - oznajmił. - Ponoszę za nie prawną odpowiedzialność. Havergal uśmiechnął się.

- Rozmawialiśmy o tym z Sereną. Pańska macocha straci prawo do korzystania z wdowiego domu w Amberley, ale może zechce mi go pan wynająć?

- Jeśli uznam, że Serena będzie z panem szczęśliwa, wynajem wdowiego domu potraktuję jako prezent ślubny!

Wracał do Amberley, machinalnie odpowiadając bratu na dziesiątki pytań dotyczących zestawu figurek z kości słoniowej, którym Davy bawił się u pana Havergala.

Dlaczego Havergal chce poślubić Serenę? - zastanawiał się Julian. To nie pasowało do żadnego ze znanych mu racjonalnych powodów, dla których zawiera się małżeństwo. Havergal nie dbał o dziedzica ani o majątek, nie przeszkadzało mu, że Serena nie będzie

samodzielnie chodzić. Długo nad tym rozmyślał. W końcu doszedł do wniosku, że jedyna możliwa odpowiedź brzmi: z miłości.

Dwóch jego przyjaciół zawarło takie małżeństwa, za nic mając możliwość wzbogacenia się i poprawienia statusu społecznego. Musiał przyznać, że lubi ich żony. Jednak to było nie dla niego. Chciał mieć zamożną kobietę o nieskazitelnych manierach i jednocześnie kochankę, żeby nie nudzić się w łożu. Christy Daventry nie pasowała do żadnej z tych dwóch kategorii.

Zerknął na Davy'ego siedzącego obok w kariołce, zajętego niewielką brązową figurką tygrysa. Przypomniawszy sobie rozmowę z Havergalem. Miał syna z Hinduską, którą uratował przed stosem po śmierci jej męża. Niestety, zarówno ona, jak i chłopiec umarli na cholere. Gdyby nie to, Havergal zostałby w Indiach, nawet wiedząc, że Serena odzyskała wolność. Ona kochała go przez te wszystkie lata.

W głębi duszy wiedział, że w końcu poprze ich małżeństwo, odda im wdowi dom i zostawi macosze przynajmniej część renty. Jeśli jutro wyśle pilny list w sprawie majątku Havergala, w ciągu dziesięciu dni pozostałych do balu powinien dostać odpowiedź. A wtedy będzie można ogłosić niespodziewane zaręczyny.

W wieczór balu Amberley mieniło się blaskiem tysięcy świec. Dzięki pięknej pogodzie goście zjechali tłumnie, a z otwartych okien płynął na zewnątrz gwar rozmów i śmiechów. Muzycy z Hereford przygrywali tańczącym.

Julian rozejrzał się po sali. Wszyscy doskonale się bawili. Serena siedziała przy stoliku pod ścianą, Havergal czuwał w pobliżu. Macocha pochwyciła jego spojrzenie, więc odpowiedział jej nieznacznym skinieniem głowy. Właśnie kończył się walc, po którym zaplanowano podać kolację. Julian zamierzał obwieścić nowinę, gdy tylko goście usiądą przy stołach.

Lady Postleton starała się zwrócić jego uwagę na Anne. Zatańczył z panną Postleton raz i uznał, że wystarczy. Nie mógł zrozumieć, dlaczego według Sereny pasują do siebie. Owszem, dobrze wychowana, zamożna i atrakcyjna Anne miała wszystko, czego można wymagać od żony. Tyle że jak powiedział Matt, panna Postleton nie była zbyt życzliwa dla ludzi.

Większość gości zasiadła do kolacji, ostatni szukali właśnie wolnych miejsc. Julian potrząsnął dzwonkiem.

- Panie i panowie, proszę o uwagę. Przede wszystkim dziękuję wszystkim za przybycie. Lady Braybrook i ja jesteśmy zachwyceni, że możemy gościć was w Amberley. Mam nowinę: chcę ogłosić zaręczyny.

Rozległo się głośne, zbiorowe „Ooo!”, a zaraz potem szepty.

- Tak, właśnie zaręczyny - podjął. - Przez ostatnie kilka lat lady Braybrook nieraz wspominała, że chciałaby zamieszkać we wdowim domu i pozostawić prowadzenie Amberley komu innemu.

Wiele spojrzeń zatrzymało się na pannie Postleton.

- Zrozpaczona, że nie może mnie nakłonić, abym w końcu przekonał jakąś damę do wzięcia mnie za męża, lady Braybrook znalazła inne rozwiązanie. Mam przyjemność ogłosić zaręczyny Sereny, lady Braybrook, z panem Nigelem Havergalem. Proszę wszystkich o wzniesienie toastu za pomyślność narzeczonych.

Przy końcu kolacji emocje nieco opadły. Christy rozglądała się właśnie za Harrym.

- No cóż, panno Daventry, wygląda na to, że wkrótce pani zatrudnienie dobiegnie końca, prawda?

Zaskoczona szybko odwróciła głowę.

- Słucham, panno Postleton? Moje zatrudnienie? Młoda dama uśmiechnęła się protekcjonalnie.

- Moja droga panno Daventry, oblubienica nie potrzebuje płatnego towarzystwa. Ponieważ David wkrótce wyjedzie do szkoły, a Alicja i Emma mają spędzić zimę w Bath, nie będzie dla pani zajęcia. Moja mama właśnie zwróciła mi na to uwagę.

- Proszę się zaniechać tym nie przejmować, panno Postleton - odparła oschłym tonem Christy.

Panna Postleton uśmiechnęła się złośliwie i odeszła.

Opanowawszy chęć ciśnięcia w nią torebką, Christy ponownie zaczęła wypatrywać Harry'ego. Chciała się pożegnać z bratem, ponieważ lady Braybrook pozwoliła jej udać się na spoczynek. Nie mogła jednak nigdzie go znaleźć. Nagle z niepokojem zauważyła, że i Alicja zniknęła.

- Szuka pani kogoś, panno Daventry? - Obok niej stanął Matthew.

- Tak. Mojego brata i... brata - zakończyła.

- Widziałem go, jak szedł przez hol. Wspomniał, że idzie się przewietrzyć. Chyba wybrał drogę przez oranżerię. Tam jest spokojniej.

Christy wbiła wzrok w drzwi oranżerii; wprost wymarzone miejsce na schadzki. Na uboczu, z dala od tłumów. Głęboko odetchnąwszy, weszła do środka. Przez chwilę ani Harry, ani Alicja nie zdawali sobie sprawy z jej obecności, tak bardzo pochłonął ich pocałunek. Rozłączyli się dopiero wtedy, gdy trzasnęły drzwi.

- Bardzo przepraszam - powiedziała Christy. - Alicjo, wróć do towarzystwa, zanim ktokolwiek zauważy twoją nieobecność.

- Niech cię diabli! - burknął Harry. - Szpiegowałeś nas!

- Oboje nadużyliście zaufania lorda Braybrooka - odparła. - Sam się wyślij do diabła, Harry. Utrzymujesz, że kochasz Alicję, ale urządzasz schadzki, narażając ją na utratę dobrego imienia. Gdyby naprawdę ci na niej zależało, pamiętałbyś o tym. - Zwróciła się do Alicji. - Czy nie masz ani trochę zdrowego rozsądku?

- To nie pani...

- Sprawa? - podsunęła jej Christy. - Sądziś, że gdyby cię złapano, mój brat znalazłby się w przymusowej sytuacji?

Dziewczyna milczała z wyrazem oślego uporu na twarzy.

- Pamiętaj, że Harry'ego nie stać na to, żeby cię utrzymać. Skąd czerpalibyście pieniądze na życie? Gdzie zamieszkalibyście? W jego pokojach we wsi?

Żadne z nich nie odpowiedziało, więc kontynuowała:

- Nie rozumiesz, że Braybrook prędzej wyzwie Harry'ego na pojedynek, niż pozwoli ci na ślub? A ty mi mówisz, że to nie moja sprawa!

Alicja straciła rezon.

- Co pani chce zrobić? - szepnęła. - Powiedzieć Julianowi? Christy zastanowiła się. Chwila nie była właściwa.

- On właśnie ogłosił zaręczyny twojej matki. Powinnaś do niej iść. Już cię tu nie ma.

Alicja potulnie usłuchała rozkazu.

- Despotka! - wybuchnął Harry, gdy zostali sami. - Niech cię diabli, Christy! Tylko dlatego, że jesteś taką zimną...

- Lepiej być zimnym niż martwym - odparła.

- Dla mnie też masz rozkazy? - spytał kpiąco.

- Nie, ale już nie pierwszy raz próbujesz spotkać się z Alicją, prawda? Tego dnia, gdy widzieliśmy się przy przełazie, też miałeś taki zamiar.

Przestąpił z nogi na nogę.

- I co z tego? Nie ma w tym nic złego.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Nic złego? Gdyby ktoś was złapał, zrujnowałbyś Alicji życie! Czy to cię w ogóle obchodzi?

- A co mam robić, Christy?

Pokręciła głową.

- Postępować jak dżentelmen, za którego się uważasz.

- Suka! - rzucił jej w twarz i wyszedł z oranżerii.

Christy westchnęła. Nie miała wyjścia. Musiała powiedzieć Braybrookowi prawdę. Uzbrojony w tę wiedzę, z pewnością dopilnuje, żeby Alicja przestała uważać Harry'ego za kandydata na męża.

- No, no - rozległ się rozbawiony głos za jej plecami.

Odwróciła się i ujrzała Neda Postletona, stojącego w otwartych drzwiach.

- Cóż za wzruszająca scena. Podejrzewam, że Braybrook nie będzie szczęśliwy, prawda?

Rozdział dwunasty

Christy, usiłując zachować jasność myślenia, przyglądała się nieufnie, jak Postleton wchodzi do oranżerii i zamyka za sobą drzwi.

- Braybrook jest dziwny - ciągnął. - Przecież nie ma nic złego w tym, że dżentelmen się zabawi, naturalnie z odpowiednią kobietą. - Uśmiechnął się pogardliwie. - Siostra Braybrooka to za wysokie progi, prawda?

Christy wreszcie odzyskała głos.

- Co pan sugeruje, Postleton?

Obleśnym spojrzeniem przewędrował po jej ciele.

- Pomyślałem, że może chciałaby pani poświęcić kilka chwil na odświeżenie mi pamięci. To zdumiewające, jak ładna kobieta potrafi zamieszać mężczyźnie w głowie.

- Sądzi pan, że nie powiem Braybrookowi?

Zaniósł się śmiechem.

- Braybrookowi? Nic mu pani nie powie! Wyzwałby Harry'ego na pojedynek. Proszę tylko się zastanowić. Harry z językiem w ustach tej dzierlatki i łapami pod spódnicą.

- To kłamstwo! - wybuchnęła.

- Spokojnie, panno D. Proszę jeszcze przemyśleć sprawę. To brzmi przekonująco. - Wzruszył ramionami. - Harry straciłby posadę. Mój ojciec wyznaje w tych sprawach purytańskie zasady.

Podszedł krok bliżej, a Christy chwyciła z półki ogrodnicze pazurki. Postleton przystanął zaskoczony.

- Proszę to odłożyć - zażądał, rezygnując z kpiącego tonu.

- Kiedy pan wyjdzie - odparła Christy, odsuwając się, by mógł swobodnie dojść do drzwi prowadzących w głąb domu. - Niech pan dobrze przemyśli swoją historyjkę przed powtórzeniem jej Braybrookowi. - Nie miała pojęcia, jak on by zareagował, ale musiała zachwiać pewnością siebie tego typu.

- Sądzi pani, że Braybrook uwierzy pani?

- Jest takie niebezpieczeństwo, prawda? Może, na przykład, zainteresować się, dlaczego właściwie pan nie interweniował, widząc Harry'ego dopuszczającego się takich

niegodziwości. I dlaczego Harry nie ma podbitego oka oraz jak udało się panu zobaczyć tak wiele przez zamknięte drzwi.

Zdumiona mina Postletona dowodziła, że to nie przyszło mu do głowy. W jej blefie były słabe punkty, ale przynajmniej dawało jej to szansę, by porozmawiać z Braybrokiem, zanim dotrze do niego Postleton.

- Tryka panią, co? - powiedział nagle. - Już umoczył swojego knota. To dlatego jest pani taka pewna, że jej uwierzy.

Uniosła brwi. Tych wyrażen nie знаła, ale ich znaczenie wydawało się zupełnie jasne.

- Szybko się panią znuży - zapewnił ją Postleton. - Wtedy wyleci pani z hukiem, prawdopodobnie z jego bękartem w brzuchu. Już tak bywało.

- Niech pan stąd wyjdzie. Natychmiast.

Zmrużył powieki.

- Idę, idę. Nie jestem taki głupi, żeby zadawać się z dziewczką, której używa Braybrook.

Christy odsunęła się nieco, nie wypuszczając z ręki ogrodniczych pazurek. Dopiero gdy drzwi za nim się zamknęły, bezsilnie oparła się o półki. Usłyszała, że drzwi za jej plecami znów się otwierają. Odwróciła się gwałtownie i przygotowała pazurki do uderzenia.

Zaskoczony Julian cofnął się o krok.

- Christy!

Znów oparła się bezwładnie o półki, a pazurki wypadły jej z ręki i z brzękiem uderzyły o podłogę. Była blada jak ściana.

- Przepraszam, milordzie... Myślałam, że... Nie sądziłam, że to pan.

Julian zrobił groźną minę.

- Co Postleton pani zrobił?

Skuliła się.

- Postleton? Skąd...?

- Do diabła, Christy! Niech mi pani zaufa! - Zdołał się nieco opanować i dużo łagodniej dodał: - Minał mnie w holu, a skoro pani uzbroiła się w to narzędzie, trudno przypuszczać, że umówiliście się na schadzkę. Co się stało?

Ani na chwilę nie spuszczał z niej oka.

- Harry i Alicja też tu byli.

- Słucham? Myślałem, że Postleton... - Dopiero w tej chwili dotarło do niego znaczenie tych słów. - Harry i Lissy? Proszę mi to wyjaśnić.

Spokojnym, beznamiętnym tonem opisała całą sytuację.

- Przekłęci młodzi głupcy - mruknął pod nosem. - Przepraszam, niech pani mówi dalej. Gdzie tu jest miejsce dla Postletona?

- Groził, że panu o tym opowie.

- Słaba to groźba, skoro wszystkiego dowiedziałem się od pani.

- On miał dalej idącą wersję. - Spłonęła pąsem.

- To znaczy?

Najwyraźniej dochodzili wreszcie do sedna sprawy.

- Chciał panu powiedzieć... - Odwróciła wzrok. - Że... że Harry wsadził jej język do ust, a rękę miał...

- Już rozumiem - wpadł Christy w słowo Julian.

Nie było sensu jej dręczyć.

- zaproponował, że zachowa milczenie, ale na swoich warunkach - dodała.

- Jakie to były warunki?

Spojrzała mu w oczy.

- Od kobiety o takiej pozycji jak moja dżentelmen może chcieć tylko jednego. Doskonale pan to wie, milordzie.

Myśl o tym, że Postleton lub ktokolwiek inny mógłby dotykać panny Daventry, była dla niego nie do przyjęcia. Ze wstydem jednak musiał przyznać, przynajmniej przed sobą, że propozycja, jaką jej przedstawił, wcale nie była lepsza.

- Nie próbowałem pani zmuszać - burknął.

- Nie - przyznała - ale dążył pan dokładnie do tego samego. Różnica w tym, że chciał pan na dłużej i był gotów szczerze zapłacić za swoją rozrywkę.

Rozrywkę? Te doznania, nad którymi ledwie mógł zapanować, to miała być rozrywka? Otworzył usta...

- Przepraszam - powiedział cicho.

Spojrzała na niego zaskoczona. Z pewnością nie była jedyną kobietą, której przedstawił taką propozycję. Za co więc przeproszał? Za Postletona czy za własne zachowanie? Tak czy owak gdyby nawet zrobił miazgę z rywala, oznaczałoby to jedynie kolejne kłopoty, niewątpliwie również dla niej.

- To nie ma znaczenia, milordzie - odezwała się po namyśle. - Z pewnością nie była to pańska wina. Jest jeszcze coś, co muszę panu powiedzieć...

- Cokolwiek to jest, może poczekać do rana - odrzekł. - Dość już miała pani silnych wrażeń. Powinna pani odpocząć.

Christy się zawahała, w końcu skinęła głową.

- Dobrze. Dobranoc, milordzie.

Kiedy go mijala, dostrzegł drżenie jej ust. Wyciągnął rękę i delikatnie chwycił ją za nadgarstek. Przystanęła, ale nie spojrzała na niego.

- Milordzie, proszę...

Braybrook mocno ją objął. Chciał mieć ją przy sobie, żeby pocieszyć. Nic więcej. Wsunął rękę w jej włosy i oparł głowę na swojej piersi. Tylko przez chwilę stawiała opór, potem z westchnieniem poddała się potrzebie bliskości.

- Pst, wszystko w porządku - szepnął Braybrook, tuląc policzek do jej włosów. Do tej pory z żadną kobietą nie miał poczucia, że tak idealnie do siebie pasują.

- Milordzie... - szepnęła.

Powinien coś odpowiedzieć. Coś krzepiącego.

- Przepraszam...

Znów tylko to przeszło mu przez gardło. I nie wiedział nawet, czy przeprosza za to, co było, czy za to, co miało się stać. Powoli, tak by Christy miała możliwość się odsunąć, gdyby tego chciała, pochylił głowę i odnalazł jej usta.

Wokół Christy świat zawirował. Powinna była natychmiast zaprotestować, a tymczasem odwzajemniła pocałunek. Doznanie było niezwykle.

Oboje rozkoszowali się wyjątkowością tej chwili, nagle jednak rozległ się głośny stuk. Gwałtownie otwarte drzwi uderzyły o ścianę, a oni odskoczyli od siebie jak oparzeni.

- Braybrook, ty przeklęty hipokryto! Trzymaj łapy z dala od mojej siostry!

Widok upstrzonej czerwonymi plamami twarzy Harry'ego Daventry'ego podziałał na Juliana niby kubeł zimnej wody. Za Harrym stał Ned Postleton i szyderczo się uśmiechał.

- Ojej, czyżbyśmy przeszkodzili? - spytał.

Julian zacisnął pięści.

- Niech pan się wynosi, Postleton! - rzucił, zbliżając się do niego. - To nie jest pańska sprawa.

- Bez żartów, Braybrook - odparł. - Nie pierwszy raz ulega pan wdziękom damy. Czyżby pachniało tu romanssem?

- Romanssem? - powtórzył Harry i ruszył w kierunku Juliana. - To ja nie jestem dostatecznie dobry, żeby spojrzeć na jego siostrę, ale za to moja siostra świetnie nadaje się na zabawkę?! Dziękuję za zwrócenie mi uwagi, Postleton.

- Harry, nie!

Christy stanęła między bratem a Braybrookiem. Ten chwycił ją za ramiona i odsunął z drogi.

- Niech pani nie będzie głupia! - powiedział, stając przed Daventrym. - Chętnie dam panu satysfakcję, Daventry, w wybranej przez pana formie, ale musimy z tym poczekać na odpowiedni czas i miejsce, chyba że chce pan zszargać opinię siostrze.

- Pan się tym nieszczególnie przejmował...

- Przepraszam, że przerywam, panie Daventry. Czy widział pan mojego brata... - W drzwiach ukazał się Matthew. - Ach, tu jesteś, Julianie. Mama nie wiedziała, gdzie znikłeś... - Urwał wyraźnie zaskoczony sceną, jaką zobaczył. - Czy...

- Powiem panu, gdzie on się podział! - ryknął Harry. - Uwodził moją siostrę. Po to znikł.

Matt zaczerwienił się i szybko zerknął przez ramię.

- Już go znalazłem, George. Możesz wrócić.

- W porządku, Matt. Do zobaczenia później - rozległ się głos George'a Endicotta.

Julian zaklął pod nosem, słysząc szybko oddalające się kroki. George Endicott bez wątpienia spieszył się, by opowiedzieć o tym, co usłyszał, siostrom, które natychmiast powtórzą to przyjaciółkom. Za pół godziny wszyscy uczestnicy balu będą wiedzieli, co się stało.

- Przepraszam - powiedział Matthew.

Braybrook tymczasem odwrócił się do Christy.

- Porozmawiamy rano... - zaczął.

- O czym tu rozmawiać? - przerwał mu Harry. - Albo ożeni się pan z moją siostrą, albo ponosi konsekwencje swojego czynu.

- Oszalałeś, Harry? - oburzyła się Christy. - Nie chcę go poślubić.

Braybrook przesłał jej zaskoczone spojrzenie. Czyżby zdawało mu się, że poślubiłaby człowieka, który wolałby ją w roli kochanki?

- Trzeba było o tym myśleć, zanim cię tryknął - powiedział ze złością Harry.

- On nie...

- Jeszcze jedna obelga pod adresem siostry, Daventry - wycedził Braybrook, zaciskając pięści - i odpowiesz przede mną.

Wydało jej się to żalosne. Byli jak dwa psy warczące na siebie nad kością. Musiała położyć temu kres, zanim któryś z tych głupków doprowadzi do sytuacji bez wyjścia.

- No więc jak, milordzie? - burknął Harry. - Co pan wybiera? Pistolety czy małżeństwo?

- Nie będzie ani tego, ani tego! - stwierdziła stanowczo Christy.

Już szykowała się do zadania ostatecznego ciosu, gdy zobaczyła, że Postleton wciąż stoi w drzwiach. Ugryzła się w język. Lepiej było powiedzieć Braybrookowi prawdę w cztery oczy. Wtedy Harry będzie miał szansę zachować stanowisko, a ona dostać referencje. Gdyby Postleton wszystko usłyszał, oznaczałoby to dla nich kompletną ruinę.

- Zabierz go stąd - nakazała Harry'emu, wskazując Postletona.

Ten uśmiechnął się jeszcze bardziej szyderczo.

- Nie, panno D. Przecież wie pani, że niezależny świadek ma znaczenie.

- Właśnie! - potwierdził Harry. - Postleton zachował się dziś wieczorem jak prawdziwy przyjaciel, więc...

- Sam celowo namieszał - oznajmiła Christy. - Ostrzegam cię, Harry, mnie to nie robi wielkiej różnicy, ale dla ciebie może mieć znaczenie.

Harry pobladł.

- Christy... nie zrobisz tego! Nie możesz!

- Mogę. Zabierz go stąd i dopilnuj, żeby nie podsłuchiwał pod drzwiami tak jak podczas twojej schadzki z Alicją.

Harry patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Tak jest - stwierdziła. - On próbował mnie szantażować.

- To nieporozumienie, Daventry - zapewnił Postleton. - Możemy zostawić te gołąbeczki, niech spokojnie ustalą datę.

Z tymi słowami wyszedł. Harry spojrzał na siostrę z paniką w oczach i podążył jego śladem.

- Daventry! - zawołał za nim Braybrook.

Harry się odwrócił, stojąc już przy drzwiach.

- Lepiej niech pan jutro przyjdzie, aby omówić sprawę.

Harry skinął głową i znikł za drzwiami.

Christy, sztywno wyprostowana, zwróciła się do Braybrooka.

- Proszę chwilę poczekać, a potem sprawdzić, czy Postleton naprawdę poszedł.

Posłusznie wykonał jej polecenie, ale w przejściu nie zastał już nikogo, jedynym słyszalnym odgłosem były tam śmiechy i muzyka dobiegające z sali balowej. Starannie zamknął drzwi i podszedł do niej.

- Christy... Panno Daventry... - Urwał, szukając słów, ale nic nie przyszło mu do głowy, więc zakończył całkiem oficjalnie: - Panno Daventry, czy wyświadczy mi pani...

- Nie. - Machnęła ręką. - Nie ma najmniejszego powodu do oświadczyn, milordzie.

Westchnął ciężko.

- Panno Daventry, przecież oboje rozumiemy tę sytuację - powiedział. - Wprawdzie małżeństwo nie mieściło się w moich zamierzeniach, ale mam zwyczaj grać zgodnie z zasadami. Jest pani szlachetnie urodzoną kobietą zatrudnioną przez moją macochę.

Tymczasem dzięki pani bratu jutro przed południem połowa hrabstwa będzie snuła domysły na temat naszego romansu.

- Sądzi pan, że on to zrobił celowo? - spytała.

- To nie ma najmniejszego znaczenia. Ważne jest, że albo panią poślubię, albo jej reputacja w tej okolicy zostanie zszargana.

- Dla mnie to nieważne...

- Ale dla mnie tak. Z pewnością nie oczekuje pani, że upadnę przed nią na kolana, więc... Czy zechce pani uczynić mnie najszczęśliwszym z ludzi i wyświadczy mi zaszczyt zostania moją żoną?

- Nie.

Omiał nie zaklął.

- Panno Daventry, nie mamy w tej sprawie wyboru.

- Pan może nie ma. Ja mam.

Julian rozumiał, że odrzuciła propozycję zostania kochanką. Jednak propozycja małżeństwa powinna przekraczać jej najśmielsze marzenia.

- Panno Daventry...

- Nie! - odparła stanowczo. Potem głęboko odetchnęła i dodała: - Harry i ja jesteśmy z nieprawego łoża, milordzie.

- Co takiego?

- Nie inaczej. Księżę Alcaston jest naszym ojcem, nie ojcem chrzestnym Harry'ego. Ta okoliczność zwalnia pana od wszelkich zobowiązań, milordzie. Powinna również ostudzić entuzjazm pańskiej siostry dla małżeństwa z moim bratem.

Wpatrywał się w nią osłupiały. Mimo wyraźnego zakłopotania patrzyła mu prosto w oczy dumnie wyprostowana.

- Właśnie to chciałam wcześniej panu powiedzieć. A teraz przepraszam bardzo, ale muszę zająć się pakowaniem rzeczy.

Zostawiła go w stanie całkowitego oszołomienia. Nawet Lissy musiała uznać, że skoro Harry pochodzi z nieprawego łoża, to nie jest odpowiednim kandydatem. Co zaś do Christy, to jej pochodzenie stanowiło dla niego ratunek. Nikt przy zdrowych zmysłach nie twierdziłby, że jego obowiązkiem jest ją poślubić.

Gdy w domu zapadła cisza, Julian opowiedział Serenie, co zaszło, i ujawnił pochodzenie Christy. Tak zdenerwowanej macochy Julian jeszcze nie widział; Nigel Havergal siedział obok niej z nieprzeniknioną miną.

- Nie mam wyboru, Julianie - odezwała się. - Panna Daventry musi to rozumieć, skoro powiedziała, że odchodzi.

- Nie.

Serena uniosła brwi.

- A cóż innego można zrobić? Jeśli będzie miała zszarganą opinię, nie mogę jej zatrudnić bez zniszczenia reputacji córek.

- Przecież to nie była jej wina!

- Julianie, w takich sytuacjach winę zawsze ponosi kobieta, zwłaszcza gdy jest niewinna. Świetnie o tym wiesz. Jedyne, co mogę dla niej zrobić, to dać jej referencje. Nawet to niewiele pomoże, kiedy historia rozejdzie się po okolicy. To, czy ją uwiodłeś, nie ma znaczenia.

- Nie uwiodłem. - Głośno zaczerpnął powietrza. - Odmówiła mi.

Serena uniosła brwi.

- Szkoda, że jej nie posłuchałeś. Nic więcej nie mogę zrobić, chyba że masz pomysły na inne rozwiązanie.

Bardzo źle spał. Kilka razy budził się ze snu, w którym widział odjeżdżającą Christy. Znikała w kłębie mgły, która wsysała nawet wspomnienia. Za każdym razem musiał sobie powtarzać, że przecież wydał dyspozycję, aby nie podstawiać dla niej powozu.

Wreszcie przyszedł ranek. Teraz należało stawić czoło konsekwencjom własnej nierozwagi.

Najpierw przyszła do biblioteki Alicja.

- Mama przekazała mi, że chcesz ze mną porozmawiać.

- Tak.

- Mama powiedziała mi, co się stało... I o Harrym też... że jest... - Chlipnęła. - Przepraszam, Julianie. Nie chciałam...

- Nie ma o czym mówić. - Jak mógł pozwolić, by Lissy go przepraszała, skoro sam zachował się dużo gorzej?

- Mama pisze list do ciotki Massingdale w Bath, żeby się dowiedzieć, czy mogę przyjechać wcześniej, niż planowałyśmy.

Wyglądało to na rozsądne rozwiązanie, ale...

- Co zamierzasz, Lissy?

- Uważam, że to najlepsze wyjście. - Po policzku popłynęła jej łza. - Mama orzekła, że powinnam wyjechać zaraz po ślubie. Czy będzie...?

- Ślub?

Spasowała.

- Po ślubie mamy, rzecz jasna. Pytałam, Julianie, czy... czy wyzwiesz Harry'ego. Proszę, powiedz, że nie. Nie zniosłabym tego.

- Mam nadzieję, że nie.

- Czy będziesz musiał poślubić Christy?

Dał jej najlepszą odpowiedź, jaką potrafił znaleźć:

- Nie wiem, Lissy.

Czekając na Christy, bębnił palcami po biurku. Musieli to załatwić. Plotki na pewno zaczęły krążyć, nazajutrz wszystkie plotkary z okolicy wezmą na język Christy.

Wstał i podszedł do okna. Było wyjście z tej kłopotliwej sytuacji. Wystarczyło rozpuścić wiadomość o pochodzeniu Daventrych. Wtedy to na Christy i jej brata spadłaby niesława. Nie musiałyby podejmować wyzwania Daventry'ego, mógłby z pogardą je zlekceważyć.

Tak wyglądałoby to w oczach świata. Możliwe nawet, że nie mając gdzie się podziać, Christy zgodziłaby się zostać jego kochanką i nikogo by to nie zdziwiło.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

- Proszę.

Weszła Christy. Od razu zauważył, że nie spała lepiej niż on.

- Mój bagaż jest w holu, milordzie.

Nawet teraz starała się nie przysparzać mu problemów...

Rozdział trzynasty

Braybrook stał przy oknie. Sam nie do końca rozumiał, dlaczego posłał po pannę Daventry. W każdym razie podświadomie miał nadzieję, że pozostało jej dość siły, by zachować swój status i nie zostać czyjąś utrzymanką. Podszedł do niej.

- Panno Daventry, moja propozycja małżeństwa wciąż jest aktualna.

Zaskoczył ją do tego stopnia, że zaniemówiła.

- Jak to? - spytała po upływie dłuższej chwili. - Dlaczego chce mnie pan poślubić, znając całą prawdę, skoro nawet...

Urwała zbyt późno. Braybrook obrzucił ją baczny spojrzeniem.

- Kim on był?

Szybko przyjęła postawę obronną.

- To pana nie dotyczy, ponieważ nie zamierzam przyjąć propozycji.

- Kim on był?

- Po co to panu? Niepokoi pana, że mogę nie być dziewicą? - spytała z przekąsem.

- A są powody do niepokoju?

- Może gdybym zgodziła się pana poślubić, ale wątpię, czy nawet wtedy miałby pan do tego prawo.

Spojrzał na nią surowiej.

- Bez wątplenia. Skoro zamierzamy się pobrać...

- To pan, zdaje się, powiedział mi kiedyś, że nie jest takim hipokrytą, by wymagać od oblubienicy czegoś, czego sam nie jest gotów dać.

To zamknęło mu usta.

- No dobrze - rzekł po namyśle. - Przyjmijmy więc, że nie mam żadnych praw, a powoduje mną żalosna ciekawość. Kim on był, Christy?

Uznała, że lepiej załatwić to raz na zawsze.

- Nie zna go pan. Jeremy to syn kupca. Nie miał majątku, ale zaczynał się dorabiać. Chodziłam do szkoły z jego siostrą i... zakochaliśmy się w sobie.

- I co dalej?

- Zaproponował mi małżeństwo, więc powiedziałam mu prawdę.

Braybrook skinął głową.

- I od tej pory więcej go pani nie zobaczyła?

Żałowała, że tak się nie stało.

- Ależ skąd, przyszedł do mnie po tygodniu. Wciąż mnie chciał, tylko na innych warunkach. Miałam zamieszkać w wynajętym przez niego lokalu. - Urwała świadoma, że Braybrook doskonale rozumie taką sytuację.

- Zgodziła się pani?

- Nie. - Miała wtedy ochotę schować się w mysiej dziurze ze wstydu. Jeremy zaczął inaczej z nią rozmawiać i na nią patrzeć, jakby była towarem na sprzedaż.

- Dlaczego więc odrzuca pani moją uczciwą propozycję małżeństwa?

Spojrzała na niego zdumiona.

- Przecież pan też życzył sobie, bym została pańską kochanką. Mam przyjąć oświadczyzny mężczyzny, który widział we mnie kandydatkę na kochankę?

- Cios celny - przyznał. - Przecież odrzuciła pani moją propozycję. Zresztą, podobnie postąpiła pani z człowiekiem, którego darzyła uczuciem.

Christy zadała sobie pytanie, czy naprawdę kochała Jeremy'ego. Teraz trudno byłoby jej to stwierdzić, choć kiedyś zdawało jej się, że tak. Z pewnością go lubiła i chciała poślubić. Ale miłość...?

- Odmówiłam, bo byłam na niego zła. Wcale nie dlatego, że cechuje mnie wyjątkowe upodobanie do cnoty.

- Mogę sobie wyobrazić, jak bardzo była pani zła.

- Nie dlatego, że stracił zainteresowanie małżeństwem, to rozumiałam. Odmówiłam, żeby dać mu szansę. A on chciał jednocześnie mieć ciastko i zjeść je.

- Chciał... Rzeczywiście.

- Pańskiej propozycji nie odrzuciłam dlatego, że czekam na kogoś lepszego. - Nie zniosłaby, gdyby Braybrook tak myślał. - Wystarczy zresztą, że ujawni pan prawdę, i nikt nie będzie panu niczego wyrzucał.

- Z wyjątkiem mnie samego.

- Pana?

- Odmówiwszy zostania moją kochanką, uważała pani, żeby już nie znaleźć się ze mną sam na sam. Co więcej, bardzo się starała mnie unikać.

- A co to ma do rzeczy? - spytała znużonym tonem.

- To jest ważne, ponieważ w ten sposób jasno dała pani do zrozumienia, że nie chce tego, co proponuję, mimo że pociąg między nami jest wzajemny.

Wolała o tym nie myśleć. Kiedy ją całował, całe jej ciało budziło się nagle do życia. Wydawało jej się, że te pocałunki coś znaczą, że ona sama coś dla niego znaczy, nie jest tylko przelotnym kaprysem.

- Może po prostu stchórzyłam.

- Stchórzyła pani? - powtórzył. - Christy, nie znam dzielniejszej kobiety od pani!

Może Serena.

Nie chciała myśleć o lady Braybrook.

- Pozostaje faktem, że...

- Że zapewniłem panią o bezpieczeństwie. Tymczasem zrujnowałem pani życie.

Oczy jej zapłonęły.

- Wcale nie! To był tylko pocałunek, nic więcej!

- W takim razie zrujnowałem pani opinię - poprawił się. - To, niestety, wystarczy.

- Niemożliwe, żeby pan chciał mnie poślubić - szepnęła.

- Nie chodzi teraz o to, czego każde z nas chce. Nie mamy wyboru. Zaznaczam, że nie zamierzam ujawnić tego, co mi pani powiedziała.

Christy postanowiła zapanować nad emocjami i dopuścić do głosu rozsądek. Mogła poślubić Braybrooka albo odjechać w niesławie. W dodatku jeśli odmówi, Harry wyzwie Braybrooka na pojedynek.

- Musiałby pan honorowo załatwić tę sprawę z moim bratem, prawda?

Juliana ogarnęła trwoga.

- Christy, nie myśli pani chyba... On ma w tym sporze rację. Musiałbym...

- Strzelić w powietrze? - Wzruszyła ramionami. - Co za różnica? Harry bardzo celnie strzela. A więc dobrze, poślubię pana. Nie pan jeden ma nieczyste sumienie, milordzie.

Skoro pojęła, że nie zabiłby Harry'ego, to znaczy, że zgodziła się z innego powodu. To jego życie chciała chronić.

- Dobraliśmy się jak w korcu maku, czyż nie? Co pani powie na ślub za cztery tygodnie?

Skinęła głową i bez słowa wyszła z biblioteki.

Julian pozostał, wpatrując się w zamknięte drzwi. Przecież zależało mu na żonie bez romantycznych skłonności, które utrudniałyby życie. Zdaje się, że nawet w nadmiarze dostał to, czego chciał. Przy okazji znalazł sobie oblubienicę bez złamanego pensa przy duszy i, co gorsza, bez żadnych koligacji.

Musiał tylko jeszcze napisać poufny list do Alcastona, by poinformować go, że nieuznana przez niego córka z nieprawego łoża zostanie wicehrabiną.

- Milordzie?

Julian podniósł głowę znad ksiąg i stwierdził, że stojący w progu kamerdyner nie-spokojnie przestępuje z nogi na nogę.

- Słucham, Hallam. - Znów spojrzął na kolumnę liczb.

- Milord powinien chyba wiedzieć, że przyjechał książę Alcaston.

- Co takiego?

Wyprostował się i odłożył pióro.

- Alcaston? Naturalnie, to ważne! Wprowadź go!

W odpowiedzi na swój list otrzymał potwierdzenie odbioru przez sekretarza i na tym się skończyło. Był przekonany, że Alcaston zamierza zlekceważyć tę sprawę.

Hallam się zmieszał.

- Bardzo przepraszam, milordzie, ale książę powiedział, że spotka się z panem potem.

- Potem? To znaczy po czym? - spytał Julian, odsuwając krzesło.

- Po rozmowie z panną Daventry - wyjaśnił Hallam. - Nalegał na to. - Kamerdyner się zawahał. - To nie moja rzecz wyrażać opinię, milordzie, ale książę... wydawał się bardzo niezadowolony. Julian skinął głową.

- Rozumiem. Dziękuję, Hallam. Gdzie oni są?

- W salonie, milordzie.

- Czy lady Braybrook jest z nimi?

Hallam pokręcił głową.

- Nie, milordzie. Milady pojechała do wdowiego domu z panem Havergalem, żeby obejrzyć nowe meble.

Christy wpatrywała się osłupiała w księcia, który mierzył ją chłodnym spojrzeniem.

- Nie wiem, jaką bajkę opowiedziałas Braybrookowi, dziewczyno, ale jeśli myślisz, że to się uda, jesteś głupsza, niż mi się zdawało.

- Bajkę? - Wyprostowała się dumnie. Musiała zachować spokój. Nie pozwoli Alcastonowi wygrać.

- Jak to zrobiłaś? Przymusem? Wystarczyła kompromitująca sytuacja? Czy może zagrałaś swoją jedyną atutową kartę? - Zmierzył ją spojrzeniem. - Pozwoliłaś, żeby cię obrócił?

Milczała. Mało ją obchodziła opinia Alcastona na jej temat, zresztą i tak niczego to nie zmieniało.

- Omal nie zostawiłem tej sprawy własnemu biegowi - ciągnął Alcaston. - W końcu jeśli Braybrook jest dostatecznie głupi, żeby żenić się z panną bez koligacji i majątku, która w dodatku pozwoliła mu zaciągnąć się do łóżka, to znaczy, że zasługuje na swój los.

- Dlaczego więc książę jest tutaj? - Christy z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że nic jej z tym człowiekiem nie łączy.

Alcaston się zaśmiał.

- Nie wolno mi było tego tak zostawić, pozwolić, żeby niszczone szlachetny ród, jeśli mogę temu zapobiec.

Kiedyś te słowa uraziłyby ją do głębi. Teraz nie wywarły na niej żadnego wrażenia.

- Jak niby książę chce to osiągnąć? Wstać w kościele i donieść na mnie? - spytała. - To nie pasuje do dyskrecji Waszej Wysokości.

- Dam ci szansę, moja panno. Powiedz mu sama, że zmieniłaś zdanie. Zerwij zaręczyny po cichu, a ja przepiszę na twoje nazwisko pewną sumę. Inaczej sam powiem mu prawdę, a ty nie dostaniesz niczego.

Sądzi, że oszukałam Braybrooka, wywnioskowała Christy.

- Niech książę idzie do diabła - powiedziała.

Przez chwilę był zaskoczony, ale szybko wrócił do dawnej pozy.

- To tylko słowa, moja panno. Myślisz, że on cię poślubi, kiedy dowie się prawdy?

- Jakiej prawdy, książę? - rozległ się chłodny głos.

Alcaston odwrócił się, a Christy zamarła. Na progu stał Braybrook. Rosły, posepny, groźny. Wbił przenikliwy wzrok w księcia.

- Proszę wybaczyć - dodał lodowatym tonem - ale nie mogę zrozumieć, dlaczego kamerdyner przyprowadził pana tutaj zamiast prosto do mnie. To wyjątkowo niestosowne zachowanie z jego strony, ponieważ panna Daventry nie jest panią na Amberley, a lady Braybrook akurat wyjechała.

Nastąpiła pauza. Ku zaskoczeniu Christy, Alcaston wydał się zakłopotany.

- O ile pamiętam, powiedziałem pańskiemu służącemu, że chcę się widzieć... to znaczy, że... - Urwał. - Nieważne - dodał po chwili.

Christy przyglądała się Braybrookowi z podziwem, choć nie była pewna, czy nie przesadził. Bądź co bądź, Alcaston jest księciem.

- Najwyraźniej przeczytał pan mój list - odezwał się ponownie Braybrook. - Rozumiem, że przyjechał pan życzyć pani Daventry szczęścia. Mam nadzieję, że zdrowie panu dopisuje, książę.

Alcaston wreszcie odzyskał władzę nad językiem.

- Dopisuje całkiem nie najgorzej, dziękuję - odparł. - Pański list przeczytałem trzy tygodnie temu. Ma pan szczęście, że w końcu zdecydowałem się coś z nim zrobić.

Braybrook uniósł brwi.

- Coś zrobić? - Położył sobie dłoń Christy na przedramieniu i w opiekuńczym geście przykrył ją swoją. - Przepisałem już na pannę Daventry znaczną sumę, ale jeśli chce pan obejrzyć dokumenty...

- Do diabła z dokumentami! - burknął Alcaston. - Chcę porozmawiać z panną na osobności, jeśli łaska.

- Nie jest to możliwe - odrzekł spokojnie Braybrook. - Proszę zważać na swój język w obecności damy.

Alcaston kilka razy poruszył szczęką, zanim wreszcie się odezwał.

- Trudno. Dałem jej szansę, choć wyłącznie dlatego, by oszczędzić panu rozczarowania. Nie wiem, jakimi kłamstwami pana omotała, ale równie dobrze mógłby pan poślubić skundloną sukę. Ona jest bękartem, a jej matka była moją kochanką. Przykro mi, że to ja przekazuję panu tę informację, ale...

- Dlaczego zakłada pan, że tego nie wiedziałem?

- Ponieważ... - Alcaston otworzył usta ze zdumienia. - Wiedział pan? W liście niczego...

- Lubię dyskrecję. Dodam, że działa ona w tym wypadku bardziej na pana korzyść, książę, niż na moją. Zakładałem, że list przeczyta pański sekretarz, więc nazwałem pannę Daventry siostrą pańskiego chrześniaka. Naturalnie jestem w pełni świadom pochodzenia Christy.

- Skąd pan to wie?! - zachnął się. - To była tajemnica. Ich matka umarła jako wdowa.

- Sama mi powiedziałam! - krzyknęła Christy, niezdolna dłużej nad sobą panować. Ręka Braybrooka lekko przycisnęła jej dłoń.

- Zostaw to mnie, moja droga - szepnął, głaszcząc ją delikatnie. - Panna Daventry postąpiła ze mną uczciwiej niż pan z jej matką.

Alcaston wytrzeszczył oczy, na skroni zaczęła mu pulsować żyła, a twarz pokryły plamy.

- Jeśli ją poślubisz, będziesz miał złą krew w rodzinie.

- Przyznaję, że myśl o pana krwi nie napawa mnie zachwytem - stwierdził ostro Braybrook. - Ponieważ jednak w żyłach pańskiej córki wyraźnie płynie jej niewiele, zarzykuję. Czy to wszystko, z czym pan tu przybył, książę?

- Co za zuchwałość! - zaperzył się Alcaston. - Marnuję czas i zadaję sobie trud, żeby pana ostrzec, a pan mnie obraża? To nie jest moja córka i nawet pensa pan ode mnie nie dostanie!

- Miło mi to słyszeć - odparł Braybrook. - Może zechce nas pan również uwolnić od swojej obecności.

Christy spojrzała wstrząśnięta na Braybrooka. Dla niej wyrzuca za drzwi księcia!
Niesłychane!

- Ty głupcze! - wycharczał Alcaston. - Idź do diabła!

Wielkimi krokami doszedł do drzwi i z hukiem zatrzaskał je za sobą.

Julian miał wielką ochotę zepchnąć go ze schodów, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Zwrócił się do Christy. Wydawała się zadziwiająco spokojna jak na scenę, w której właśnie uczestniczyła. Tylko zacisnęła kurczowo palce.

- Dziękuję, milordzie - powiedziała, rozluźniając uścisk.

- Nie ma za co. Usiądźmy. - Wskazał jej krzesło, a potem z karafki stojącej na stoliku nalał kieliszek brandy. - Proszę to wypić. Zaraz poczuje się pani lepiej.

Nieufnie powąchała trunka.

- Nie potrzebuję tego.

- Cholera! - Urwał.

- Zabrakło panu słów, milordzie?

Nerwowo przeczesał dłonią włosy i uśmiechnął się smutno.

- Właśnie przed chwilą zażądałem od pani oj... - Spojrzała na niego tak, że znów odebrało mu mowę. - Zażądałem od Alcastona - podjął - żeby przeprosił za przeklinanie w pani obecności, więc stanowczo nie powinienem robić tego sam.

Nalał sobie brandy, a gdy się znowu odwrócił, ujrzał błysk w jej oczach.

- On nie jest dla mnie ojcem - szepnęła. - Gdyby nim był, przyjechałby na pogrzeb Sarah.

Najwidoczniej mówiła o siostrze. To musiało być bardzo bolesne wspomnienie.

- Nie myślę o pani źle z tego powodu. Nie wspomniała pani o matce. Nie chciałem być wścibski, ale...

- Ma pan prawo. W końcu mogła być zwykłą uliczną dziewczką albo złej sławy kurtyzaną.

- Mało prawdopodobne. Uliczne dziewczki nie wychowują córek na damy. Gdyby pani matka była kurtyzaną, to Alcaston raczej nie utrzymałby w tajemnicy istnienia dzieci, a ona nie musiałaby udawać wdowy. Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Znam tylko część prawdy, tyle, ile powiedziała mi mama i ile potem znalazłam w jej listach i dzienniku.

Skinął głową.

- Mama była córką niezbyt zamożnego właściciela ziemskiego, mieszkającego w pobliżu największej posiadłości Alcastona. Miała na imię Catherine. Catherine Louisa Daventry.

- To było jej prawdziwe nazwisko?

- Tak. Zachowało się kilka listów do niej od mojego dziadka, a także dziennik, który prowadziła przed ucieczką i bezpośrednio po niej.

- To dobrze. - Fałszywe nazwisko mogłoby utrudnić zawarcie małżeństwa, a potem umożliwić jego kwestionowanie, pomyślał Julian.

- Z dziennika wynika, że mama wierzyła w małżeńskie zamiary Alcastona, ponieważ jednak poprzedni książę popadł w olbrzymie długi, ten zdecydował się poślubić jedyną córkę bardzo majątnego kupca. Naturalnie, uciekając z mamą, wcale jej o tym nie powiedział. Zanim rodzina mamę odnalazła, Alcaston zdążył już poślubić dziedziczkę, a ja byłam w drodze. - Wzdrygnęła się. - Zachował się list, w którym ojciec ją wydziedzicza.

- Rodzina jej się wyrzekła?

- Sądzę... Kiedy miałam mniej więcej sześć lat, już po urodzeniu Harry'ego, przyjechał do nas z wizytą mężczyzna. Wtedy mieszkaliśmy w Bath. Wydaje mi się, że ten człowiek był bratem mamy. Najpierw kazała nam mówić do niego „wuju Henry”, ale to go wyraźnie rozzłościło. Zdaje mi się, że dał jej pieniądze. To było dożywocie i skończyło się wraz ze śmiercią mamy.

- Czy Alcaston dawał pieniądze?

- Bardzo skąpo. Po urodzeniu Sarah przyjeżdżał z rzadka. To wtedy zorganizował naszą przeprowadzkę do Bristolu. - Lekko się zaczerwieniła. - Łatwiej było podtrzymać wersję o wdowie, jeśli przy okazji każdej ciąży następowała przeprowadzka. Po śmierci Sarah Alcaston znudził się mamą - dodała. - Przynajmniej jednak przepisał na nią dom w Bristolu.

Julian przypomniał sobie, co wie o Alcastonie. Mówiono, że jego teść był bardzo rygorystyczny pod względem moralnym. Lęk przed ujawnieniem romansu mógł go więc skłonić do ustępstw na rzecz rodziny Catherine Daventry.

- Chciałaby pani, abym nawiązał kontakt z bliskimi pani matki?

Ręka drgnęła jej tak gwałtownie, że trochę brandy wylało się z kieliszka.

- Napisałam do nich w imieniu mamy, kiedy leżała na łożu śmierci. W odpowiedzi przyszedł krótki liścik od Henry'ego Daventry ego, w którym ten stwierdził, że nie ma siostry. Napisałam jeszcze raz po jej śmierci, ale odpowiedzi nie otrzymałam.

Christy stanęła przed ołtarzem wiejskiego kościoła. Głęboko poruszyły ją słowa pastora o małżeństwie, te same, które słyszała już przed południem.

- ...nakazano, aby byli dla siebie towarzyszami, pomagali sobie oraz udzielali po-
krzepienia i w czasach pomyślności, i przeciwności losu. Ci dwoje wstąpili zatem w pro-
gi przybytku świętego, aby zostali połączeni...

Wcześniej Serena w obecności jedynie rodziny poślubiła Nigela Havergala. Twa-
rze oblubieńców promieniały szczęściem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że łączą
się ludzie, którzy tego pragną. Słowa duchownego były dla nich błogosławieństwem i
świadczeniem ich radości.

Teraz te same zdania brzmiały jak ostrzeżenie.

- Jeśli więc ktokolwiek może przedstawić powód, dla którego zgodne z prawem
połączenie tych dwojga nie może się dokonać, niechaj wystąpi teraz albo niechaj na
zawsze zachowa milczenie.

Christy nie była pewna, czy nagle nie pojawi się Alcaston. Co za niedorzeczność.
Przecież nie istniały żadne prawne przeszkody na drodze do małżeństwa. Zakazywały go
jedynie konwenanse. Serena wydawała się zachwycona. Szczerze cieszyła się ich zarę-
czynami, a o pochodzeniu Christy zapomniała niemal natychmiast. „To dość niefortunne
- powiedziała - ale ponieważ jesteś wszystkim, czego Braybrook potrzebuje, nie ma sen-
su rozpamiętywać przeszłości. Nikogo te fakty nie powinny obchodzić, są wyłącznie
twoją sprawą”.

Harry podał jej rękę pastorowi. Chwilę później ten włożył jej dłoń w rękę Bray-
brooka. Poczwała pewny, męski uścisk. Mimo uroczystej chwili jej zmysły natychmiast

ożyły. Chłoneła jego siłę, w nozdrzach miała zapach sandałowego drewna z ostrą nutą charakterystyczną właśnie dla Juliana. Obudziło się w niej oczekiwanie.

Duchowny kontynuował ceremonię.

- Czy chcesz pojąć tę kobietę...?

Czy Braybrook nie podjął decyzji pod wpływem zwykłego impulsu? Czy potem jej nie pożałuje? Uniosła głowę i spojrzała prosto w jego szczerze niebieskie oczy.

- ...i bez względu na wszystko pozostać z nią tak długo, jak długo będziecie żyli?

Poczuła, że uścisk stał się mocniejszy.

- Tak.

Była naprawdę wzruszona, choć powątpiewała, czy Braybrook zamierza dotrzymać złożonej przysięgi. Odwzajemniła jednak uścisk dłoni, a gdy Braybrook delikatnie pogłaskał ją kciukiem, Christy przeszył miły dreszczyk.

Weselni goście odjechali bądź rozeszli się do sypialni. Christy wyglądała przez okno swojego pokoju. Niebo na zachodzie mieniło się różem i złotem na tle granatu. Drzewa w parku wydawały się w tym oświetleniu prawie czarne. Było jeszcze wcześnie, o wiele za wcześnie na włożenie koszuli nocnej. Beth, przydzielona jej dopiero co służąca, zdawała się sądzić, że właśnie na to przyszła pora.

Przygotowała wspaniałą, wonną kąpiel i szepnęła z konspiracyjnym uśmiechem:

- Milady, to znaczy pani Havergal, dała mi te olejki specjalnie dla pani na dzisiaj.

Było też pięknie pachnące mydło. Christy szczerze cieszyłaby się tym wszystkim, nawet mimo przesadnej troski Beth, ale wonna para unosząca się z wanny przypominała jej bezlitośnie, że to tylko rytuał. Panna młoda przygotowywana dla męża.

Na widok jedwabnej, ozdobnej koszulki leżącej na łóżku Christy się zbuntowała. Dostała ją w prezencie od Sereny, ale nie mogła zdobyć się na to, by pokazać się półnaga Braybrookowi. On widywał przecież w intymnej sytuacji największe piękności Londynu. Jakże mogła się z nimi równać? Złożyła więc starannie ten jedwabny drobiazg i włożyła skromną płócienną koszulę ze stójką. To dało jej złudzenie bezpieczeństwa.

Krucze złudzenie, trzeba przyznać. Sypialnia Braybrooka była za ścianą, a oba pokoje łączyły drzwi. Usłyszała męskie głosy, choć słów nie rozumiała. Natychmiast odprawiła Beth, która dygnęła i znikła, zerkając z uśmiechem na drzwi między sypialniami.

Chwilę potem rozległo się znaczące chrząknięcie.

- Christy?

Rozdział czternasty

Julian przyglądał się jej z przejścia między pokojami. Siedziała na wpół odwrócona na parapecie i obserwowała barwy gasnącego zachodu. Bosą stopą opierała się o podłogę. Lekko podciągnięta koszula nocna odsłaniała część kształtnej łydki, a mimo skromnego kroju akcentowała piersi, smukłą talię i krągłość bioder.

Odchrząknął.

- Christy?

Nie poruszyła się, a jednak wydawało mu się, że w jej postaci zaszła zmiana. Gdy Christy odwróciła ku niemu głowę, wyczuł w niej napięcie, choć rysy nie były wyraźnie widoczne.

- Milordzie?

Zabrzmiało to co najmniej mało obiecująco. Wszedł do pokoju i poczekał, aż Christy zsunie się z parapetu. Wtedy gestem wskazał jej przejście do swojej sypialni.

- Zapraszam.

Spojrzała beznamiętnie w tamtą stronę.

- Słucham?

- Nasza noc poślubna. Czyba nie zapomniałaś?

Spłonęła rumieńcem.

- Oczywiście, że nie! Myślałam jednak...

Zerknęła wyraźnie zmieszana ku posłanemu łóżku, ale zdmuchnęła wszystkie świece i przekroczyła granicę między pokojami. Po drodze próbowała wziąć peniuar z fotela.

- Nie będzie potrzebny - powiedział Braybrook.

Wolał tymczasem nie zwracać jej uwagi na to, że i koszula nocna jest zbędna.

Gdy go mijala, owionął go aromat róż i wiciokrzewu. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że ta kobieta całkiem burzy jego spokój. Nie należało jednak pokazywać, że bardzo spieszo mu do pieśczoł. I tak musiała czuć się dostatecznie niepewnie.

Zawsze zdawało mu się, że kobieta, którą weźmie za żonę, winna budzić w nim pożądanie, a igraszki w łozu będą po prostu przyjemnością. Tak jak to miało miejsce w przypadku arystokratycznych kochanek, tyle że bez przymusu ciągłego zachowywania dyskrecji. Sądził też, że pochodząca z jego sfery żona wniesie w posagu majątek i cenne koligacje.

Christy zupełnie nie pasowała do tego wyobrażenia. Nie wnosila do małżeństwa niczego. Cała władza znajdowała się w jego rękach. To on mógł decydować, czego chce. Dlatego trudno mu było pojąć, skąd u niego poczucie niepewności. Co gorsza, przeczuwał, że wbrew mającego podstawy przeświadczeniu również ona może na nim niejedno wymóc. Od skromnej koszulki nie mógł oderwać oczu.

Christy przystanąła, nogi odmówily jej posłuszeństwa. Sypialnia była bardzo obszerna, łozę szerokie. Nie mogła się zdecydować, by do niego wejść. Brak doświadczenia sprawił, że nie miała pojęcia, co powinna robić. Owszem, wiedziała, co dzieje się potem, ale jak należało do tego przystąpić? Nawet dobrej nazwy to nie miało. „Miłosne pieśczołoty” wydawały jej się wyjątkowo niestosowne, „konsumowanie małżeństwa” nie brzmiało zachęcająco.

Odwróciła się i przekonała, że Braybrook ma na sobie jedynie gruby jedwabny szlafrok, w którego rozcięciu widać nagi tors. Był boso. Czy powinna zdjąć koszulę? A może lepiej poczekać, aż Braybrook zrzuci szlafrok?

Wydawał jej się jeszcze bardziej rosły niż zwykle. Bez wątpienia to migotliwe światło ognia powodowało takie złudzenie. W każdym razie była pewna, że Braybrook nigdy nie użyłby siły, by wymusić cokolwiek na kobiecie. Nie miała się czego obawiać. Zresztą wspomnienia jego dotknięć budziły w niej ekscytujące doznania.

Drżącą ręką zdjęła okulary i odłożyła je na stolik. Pokój stracił ostre kontury.

Julian drgnął, widząc, że Christy zdejmuje okulary. Wobec wystrojonych w najrozmaitsze negligé i przybierających najbardziej zachęcające pozy kobiet nie czuł tak silnej pokusy erotycznej. Oblubienica spowita od stóp do głów w zwykłą płócienną ko-

szulę, z włosami związanymi w warkocz opadający jej z przodu na lewe ramię i sięgający niemal piersi pociągała go niewiarygodnie.

Christy milczała. Po prostu stała i czekała. Postąpił ku niej, oczekując, że zacznie się cofać. Nie zrobiła tego, ale wyraźnie poczuła się jeszcze bardziej skrępowana, bo skrzyżowała ramiona na piersiach.

- To nasza noc poślubna - powiedział.

- Tak - potwierdziła cicho.

Julian odniósł wrażenie, że tym jednym słowem wyraziła zgodę na to, co miało się stać w łóżu, tak jakby poddawała się temu, co nieuniknione. Stał tuż przed nią. Nie uciekła wzrokiem przed jego spojrzeniem, ale raz po raz oblizywała wyschnięte wargi.

Powoli uniósł rękę i lekko pociągnął za tasiemkę przy kołnierzyku koszuli nocnej. Kokardka się rozwiązała. Pobudziło to jego wyobraźnię. Skupił wzrok na rzędku niedużych guzików, znikającym pod ciasno skrzyżowanymi ramionami Christy. Ostrożnie ujął ją za nadgarstki i odsunął na bok obie ręce. W odpowiedzi jeszcze szerzej otworzyła oczy. Pilnował się, by postępować delikatnie, bo choć Christy nie opierała się, to bez wątpienia była spłoszona.

- Chcę cię obejrzeć.

Skinęła głową. Gdy uwolnił jej nadgarstki, opuściła ręce wzdłuż ciała. Przez cienką tkaninę dostrzegł zarys krągłych piersi. Cieszył się, że wkrótce będzie mógł ich dotykać. Odchyliła nieco głowę. Podobała mu się odsłonięta linia jej szyi, więc delikatnie przesunął po niej wargami. Tymczasem rozpiął pierwszy guziczek. Po nim powoli przysła kolej na następne, prawie aż do talii. Zachwyił go widok jędrnych piersi odrobinę przysłoniętych tkaniną. Zdecydowanym ruchem rozchylił połę koszuli.

Christy głośno nabrała powietrza i odruchowo przytrzymała opadające okrycie na wysokości bioder. Julian bez trudu mógł jednym szarpnięciem dokończyć dzieła, wolał jednak powoli obwieść obnażone piersi dłońmi, które, co musiał przed sobą przyznać, nieco mu drżały. Ależ była piękna!

Musnął sutek i usłyszał stłumione syknięcie. Chciał natychmiast powtórzyć pieszczotę, ale przeniósł wzrok na twarz Christy. Zacisnęła powieki, mocno przygryzała dolną

wargę. Chyba jednak wcale nie była tak bardzo spragniona jego pieścizot. Głuszając głos sumienia, przesunął ręce na jej brzuch.

Poczuł jednak, że pod jego dłońmi wszystkie mięśnie Christy nagle się kurczą.

Nie mógł dłużej ignorować prawdy. Christy się bała. Wiedziała, że jest jego żoną, więc nie protestowała i nie próbowała mu przeszkodzić, ale na pewno nie było jej przyjemnie. Właśnie w tej chwili dojrzał łzę wymykającą się spod mocno zaciśniętej powieki.

Takiego zachowania nie mógł zignorować. Ona po prostu tego nie chciała.

Ze smutkiem popatrzył na piękne ciało oblubienicy. Nie zdarzyło mu się wziąć kobiety, która nie miała ochoty na miłość. Cofnął ręce i odwrócił się od żony.

- Nie mogę tak - powiedział z wysiłkiem. - Okryj się i wróć do swojego pokoju. Szybko! - Wiedział, jak niewiele mu brakuje do tego, by mimo wszystko pchnąć ją na łóżko i wziąć.

Christy znalazła się w mroku swojej sypialni. Oparta o zamknięte drzwi, ledwie mogła ustać na nogach. Mąż jej nie chce, wyprosił ją z sypialni.

Całe jej ciało wciąż pamiętało jego dotknięcia. Nie rozumiała tego doznania. To było zupełnie tak, jakby żar rozlewał się po jej wnętrzu i topił ją od środka. Trudno jej było zachować bezruch, skoro każde muśnięcie dłoni Braybrooka sprawiało jej tyle przyjemności. Wiedziała jednak, że jeszcze trochę, a dotknie jej w najintymniejszym miejscu i przekona się, jak bardzo ona jest spragniona pieścizot. A przecież jest żoną, nie kochanką. Zawstydziała się. Braybrook o mało co nie odkrył jej braku opanowania. Przecież oczekiwał od niej zachowania godnego damy, a ona nawet tego nie była w stanie spełnić. Nic dziwnego, że go tak rozczarowała.

Po omacku odnalazła łóżko, jakoś zdołała rozsunać zasłony i skuliła się w pościeli. Łzy napłynęły jej się do oczu. W najgorszych wyobrażeniach nie sądziła, że rankiem wciąż będzie dziewicą. Braybrook chciał, aby spełniła swój obowiązek, ale wyraźnie wzbudziła w nim zbyt wielką niechęć, żeby do tego doszło.

Julian wpatrywał się w baldachim pustego łóżka. Los go wyraźnie pokarał. Po latach uwodzenia cudzych żon niespodziewanie nie potrafił uwieść własnej.

Zaklął i wyładował złość na poduszce. Zegar na kominku bił, jakby nie mógł przestać. Północ. Minęły godziny, odkąd odesłał Christy do drugiej sypialni. Zastanawiał się, co dalej. W końcu będzie musiał skonsumować małżeństwo.

Wyglądało na to, że czeka go długa noc. Nazajutrz mieli wyjechać do Abbey House, jego niewielkiej posiadłości w Monmouthshire. Było to zaciszne, odosobnione miejsce nad rzeką, idealne dla nowożeńców. Tyle że dla takich, którzy są w sobie zakochani.

Nie mógł zrozumieć, czym ją tak przestraszył. I jak teraz może jej dać pewność, że nie wyegzekwuje niezwłocznie mężowskich praw? Co ma zrobić ze swoim małżeństwem? Planował zawrzeć je z rozsądku. Nie było zresztą powodu, by tak się nie stało. Pożądanie własnej żony wydawało mu się i rozsądne, i zupełnie normalne. Nie mógł tylko pozwolić, by zaczęło nim rządzić.

Z jego doświadczeń wynikało jednak, że żona i kochanka należą do dwóch różnych sfer życia mężczyzny. Nie było rozsądne powierzanie jednej kobiecie obu tych ról.

Rozdział piętnasty

Następnego wieczoru Julian wchodził po wytartych schodach w Abbey House, osłaniając świecę przed przeciągiem. Nie był pewien, czy nie oszalał, wybierając tę chyłą się ku upadkowi posiadłość na miodowy miesiąc. Zaważyły wspomnienia z beztrojskich wakacji w dzieciństwie, kiedy najważniejszą sprawą było to, kto złapał największą rybę lub przeskoczył najwyższy płot.

Dlaczego przywiózł tutaj Christy? Powinien raczej jechać do Bath i pokazać się z żoną publicznie. Kiedy jednak jej to zaproponował, powiedziała, że wolałaby spokojniejsze miejsce. Nie miał jednak pojęcia, co Christy będzie tutaj robić.

Nie przewidział też, że powinien zawczasu polecić, aby przygotowano dwie sypialnie. Tutejsza ochmistrzyni, pani Braxton, była córką gospodarzy. W jej świecie małżonkowie spali w jednym łóżu. Jego ojciec, kiedy przyjeżdżał czasami latem, też sypiał z Sereną. Pomysł dwóch sypialni dla nowożeńców z pewnością byłby dla pani Braxton niezrozumiały.

Sam teraz nie wiedział, czego należy się spodziewać po wejściu do pokoju. Okazało się, że jego oblubienica jest już gotowa, aby udać się na spoczynek, ale jeszcze nie leży w łóżku. Nigdy dotąd prawo, w myśl którego żona jest własnością męża, nie budziło jego wątpliwości. Teraz zaczęło. Wydało mu się wręcz niedorzeczne i niesłuszne. Przecież Christy nie jest rzeczą.

Siedziała z podkulonymi nogami w fotelu przy kominku, otulona różowym jedwabnym peniuarem. Na stoliku obok stała lampa i piętrzyły się różnobarwne jedwabie do haftowania. Gdy podniosła wzrok znad robótki, coś drgnęło w jej twarzy. Natychmiast jednak przybrała obojętną minę.

- Przeszkadzam? - spytał.

Wyraźnie się zdziwiła.

- Skądże. Przecież to jest również twój pokój.

Nie potrafił się zorientować, czy jest naprawdę spokojna, czy tylko udaje.

- Dzisiaj wolałem tego tematu nie podejmować, ale jutro poproszę panią Braxton, aby przygotowała dla mnie osobną sypialnię.

Znów przez jej twarz przemknął cień.

- Rób tak, jak uważasz za stosowne, milordzie.

- Do diabła, Christy! Jesteśmy małżeństwem! To nasza sypialnia... Nazywaj mnie Julianem.

- Czy nasze małżeństwo daje mi prawo do tego?

- Naturalnie - odrzekł i zaraz się zamyślił. - Rzecz jasna, prywatnie - dodał. - Publicznie możesz mnie nazywać Braybrookiem albo milordem, a w rozmowach z innymi, poza bliską rodziną i dobrymi znajomymi, używać mojego tytułu. - Przez chwilę się zastanawiał. - Tak myślę.

- Myślisz?

Do licha! Znowu wybrał niezręczny temat. Zauważył, że Christy stała się jeszcze bardziej oficjalna, jeśli w ogóle było to możliwe. Poniewczasie zrozumiał, dokąd zaprowadziła ich ta rozmowa.

- To nie jest takie ważne, Christy - powiedział zza parawanu.

- Dla ciebie nie - przyznała.

Dla niej wyraźnie było. Zdjął surdut i rozluźnił fular. Wieść o ich podejrzenie szybko zawartym małżeństwie już się rozeszła. Jedynym powodem, dla którego mężczyzna o jego pozycji mógł poślubić taką kobietę jak Christy, było to, że zakochał się po uszy. Tak więc w oczach wielkiego świata był ofiarą zręcznych sztuczek panny Daven-try. Nie miało najmniejszego znaczenia, że w całej tej sytuacji wina leżała po jego stronie. Skończył się rozbierać, omył ciało wodą z dzbana i włożył koszulę nocną, po czym wyszedł zza parawanu.

Christy, mimo że pochyłona nad haftem, na pewno to zauważyła, nie musiał nic mówić. Za to patrząc na nią, pierwszy raz zaczął się zastanawiać, czy jego żona będzie szczęśliwa. Do tej pory uważał to za pewnik. Małżeństwo dawało jej pozycję, majątek, życiowe bezpieczeństwo. Czego więcej można chcieć?

Spojrzał na nią i przypomniał sobie, co kiedyś powiedziała mu Serena. Szwaczki, pracujące przy słabym świetle, często tracą wzrok.

- Czy nie powinnaś odłożyć wkrótce szycia? - spytał.

Podniosła głowę znad robótki.

- Jeśli sobie życzysz, to zaraz przyjdę do łóżka.

Wcale nie chciałam, żeby zabrzmiało to jak polecenie.

- Zastanawiałem się tylko, czy szycie przy takim świetle nie szkodzi na oczy, Christy.

- Och, myślałam...

- Wiem, co myślałaś. Nie powinnaś się martwić. Nigdy nie wziąłem kobiety wbrew jej woli, tym bardziej nie zamierzam tak postąpić z żoną.

Christy wbiła igłę w chustkę i spojrzała na niego dość zdziwiona.

- Wczoraj wieczorem... - zaczęła. - Myślałam, że... że nie chciałeś... - Zarumieniła się, ale dzielnie patrzyła mu prosto w oczy. - Że to ja w jakiś sposób...

- Nie! - Julian wreszcie odzyskał mowę. - Nie w tym rzecz, przecież cię pragnąłem. To ty się bałaś.

Po chwili milczenia skinęła głową.

- Tak, ale nie miałam nic przeciwko temu. Po prostu byłam trochę zdenerwowana. Zdenerwowana? Odniósł zupełnie inne wrażenie.

- Teraz też nie mam nic przeciwko temu.

Teraz też nie... Gdy dotarło do niego znaczenie tych słów, tętno gwałtownie mu przyspieszyło, zwłaszcza że warkocz Christy akurat odbijał światło z kominka w wyjątkowo interesujący sposób.

- Milordzie?

Powrócił ze świata marzeń. Christy nie miała doświadczenia, więc nie wolno mu stracić panowania nad sobą, przestrzegł się w duchu.

- Julianie - poprawił ją cicho.

Skinęła głową.

- Dobrze więc, Julianie. Musimy to zrobić, prawda?

- Tak. - Nie był pewien, jak długo jest jeszcze w stanie czekać.

- Wobec tego wolałabym załatwić to jak najszybciej.

Nie było to najbardziej kuszące zaproszenie, jakie otrzymał od kobiety. Christy była szczerą aż do bólu.

- Chodź więc.

Nie spuszczać z niej oczu, odchylił posłanie. Niepewnym ruchem odłożyła robotkę, podeszła do krzesła, na którym równo odwiesiła peniuar. Została w tej samej płóciennej koszuli, którą miała na sobie poprzedniego wieczoru.

- Chodź - powtórzył.

Niepewnie zrobiła kilka kroków. Ku jej zdziwieniu, Braybrook zdmuchnął świecę. Teraz oświetlał ich jedynie blask ognia z kominka. Mimo to schodki, pomagające wejść do łóżka, wydawały jej się górą nie do pokonania.

Jakoś wsunęła się jednak w pościel obok męża. Zdjęła okulary i odłożyła je z nadzieją, że ten gest pomoże jej się opanować. Nagły ruch obok niej sprawił jednak, że drgnęła gwałtownie.

Braybrook znieruchomiał.

- Christy?

- Wszystko w porządku - szepnęła.

Poprzedniego wieczoru Braybrook rozpiął jej koszulę. Sztywnymi palcami zaczęła więc się mocować z pierwszym guzikiem.

- Nie!

Jej zakłopotanie wzrosło.

Nie?

- To mój przywilej.

Nazwał to przywilejem!

Dotyk jego dłoni był przyjemny. Gdy obejmowały jej piersi, ciepło rozlewało się po całym ciele. Wkrótce została bez koszuli, Braybrook także pozbył się swojej. Naturalnie Christy powtarzała sobie w duchu, że nic złego nie może jej spotkać, ale sytuacja wydawała się bardzo niezręczna. Była całkiem naga. Braybrook też był nagi. Leżał tuż obok, patrzył na nią pożądliwie, dotykał jej, rozplątywał warkocz. Najbardziej jednak paraliżowała ją myśl, żeby nie sprawić mu zawodu...

Westchnęła. A więc stało się. Miała nadzieję, że jej brak doświadczenia nie był dla Braybrooka rażący. Wciąż czuła go w sobie. Ostrożnie spróbowała się odsunąć. Natychmiast uniósł głowę i spojrzał na nią przenikliwie. Oby nie zdołał odczytać jej myśli i nie dowiedział się, jak bardzo poczuła się rozwiązła. Tymczasem Braybrook oparł się na

łokciach i opuścił jej wnętrze, a potem odsunął się i ułożył na plecach ze wzrokiem wbitym w baldachim.

Wyglądało na to, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Zerknęła kątem oka i przekonała się, że mąż mocno zacisnął usta. Czyżby był zły? Rozczarowany? Może zrobiła coś nie tak jak należy? Nie miała jednak sposobu, by się tego dowiedzieć. Naturalnie popierała szczerą w małżeństwie, jakoś jednak nie potrafiła spytać męża, na czym polegał jej błąd. Nie pięć minut po tym, jak oddała mu swoje dziewictwo.

Zastanawiała się, czy Braybrook wkrótce uśnie. Chciała się umyć. Była lepka i prawdopodobnie zakrwawiona...

On tymczasem wstał, okrył się szlafrokiem i poszedł za parawan. Usłyszała brzęk naczyń i plusk wody. Wkrótce pojawił się ponownie z flanelą w dłoni. Odruchowo okryła nagość prześcieradłem, usiadła i wzięła od niego ściereczkę.

- Milordzie? Julianie? - Policzki jej płonęły. - Dziękuję.

- Nie ma za co - powiedział i odwrócił się do niej tyłem.

Znalazła koszulę nocną i wsunęła ją przez głowę, a potem zeszła z łóżka, starając się nie zwracać uwagi na to, jak bardzo jest obolała.

Julian obserwował znikającą za parawanem Christy i zastanawiał się, czemu zaczął przeproszać i obiecywać, że następnym razem będzie lepiej. Czy był w stanie dotrzymać tej obietnicy? Jego kochanki nigdy nie miały powodów do narzekań, ale żadna z nich nie była tak niedoświadczona. Żadna nie znajdowała się w sytuacji bez wyjścia.

Czuł się fatalnie. Wcale nie usprawiedliwiał jego żądz i braku opanowania fakt, że wcześniej nie był z dziewicą. Przecież dziewice go nie interesowały, Christy stanowiła wyjątek. Nie tłumaczyło go również to, że od powrotu z Londynu w ogóle nie miał kobiety. Okazał się brutalem.

Christy wyszła niepewnie zza parawanu i zdołał się do niej uśmiechnąć.

- Chodź, musisz być zmęczona.

W milczeniu wspięła się do łoża i położyła.

- Dobranoc.

Tyle było smutku w jej głosie, że mimo woli pochylił się nad nią i delikatnie pocałował w usta. Był przygotowany na odprawę, tymczasem Christy rozchyliła wargi. Wymieniali pieścizy, coraz bardziej namiętnie.

- Dość - powiedział w końcu, czując, że za chwilę znów straci panowanie nad sobą.
- Dobranoc.

Christy w milczeniu przesunęła się na drugą stronę łóżka.

Nagle uświadomił sobie, że właśnie znalazł się w zupełnie nowej dla siebie sytuacji. Dotąd nie spał z kobietą. Kiedy spędzał noc z kochanką, krótkie interludia w miłośnych igraszkach trudno było nazwać snem. A z różnymi arystokratkami najczęściej szybko załatwiał co trzeba na szezlongu, nawet ich nie rozbierając. Tu było inaczej. Leżał senny i zaspokojony, słuchając cichego kobiecego oddechu, czując poruszenia materaca, świadom ciepła promieniującego od Christy i ostrego zapachu pozostałego po ich małżeńskim zbliżeniu. Prawdziwa nowość w jego życiu, choć nie był pewien, czy rozsądnie jest o tym rozmyślać.

Christy zbudziła się i dopiero chwilę potem uprzytomniła sobie, że leży wtulona w ramiona męża, a policzek opiera o jego tors. W dodatku miała bezwstydnie poddartą koszulę, a w okolicy biodra czuła napór jego męskości. Podniosła głowę i spojrzała prosto w znajome niebieskie oczy.

- Ojej... Julianie.

Spojrzał na nią dziwnie, potem wysunął nogę spomiędzy jej ud i poprawił swoją nocną koszulę.

Natychmiast poszła za jego przykładem, obciągając płótno.

- Bardzo przepraszam. Nie jestem przyzwyczajona do... Widocznie nieświadomie przesunęłam się na drugą stronę.

- Nic się nie stało - odparł. - Co chciałabyś robić dziś rano? Konna przejażdżka?

Christy zawahała się, niepewna, na co miałby ochotę Braybrook.

- Nie, to chyba zły pomysł - uznał tymczasem, nieznacznie czerwieniejąc na twarzy. Pogłaskał ją po policzku. - Przepraszam.

- Nie jestem... Czuję się całkiem dobrze - zapewniła. Dotknięcie jego dłoni wyzwoliło w niej nieznaną tęsknotę.

- Niedaleko stąd jest opactwo Tintern. Możemy tam iść piechotą albo pojechać, jeśli czujesz się zmęczona - zaproponował.

Jego ton był uprzejmy, może nawet przyjazny, ale obojętny. Zupełnie jakby zwracał się do znajomej, a nie kobiety, z którą spędził noc. I jakby nie zbudził się, trzymając ją w ramionach.

- Świetnie - powiedziała Christy, siadając. - Chętnie pospaceruję.

Postanowiła upewnić go, że nic złego jej się w nocy nie stało. Najwyraźniej ich małżeństwo miało się opierać na chłodnej uprzejmości, a jej niemądre romantyczne tęsknoty należało jak najstaranniej ukryć.

Był uprzejmy i przyjacielski. Troskliwy. Gdy dzień miał się ku schyłkowi, Christy wiedziała już, że w związku z Braybrookiem nie powinna niczego się obawiać. Mąż uosabiał dworskie maniery. Tymczasem ona czuła się samotna. To niedorzeczne. Przecież spędził z nią cały dzień. Tyle że niezmiennie był taki daleki...

Dziesięć minut temu życzył jej dobrej nocy i poszedł do swojej sypialni, którą przygotowała dla niego pani Braxton. Christy poczuła się, jakby oblano ją kubłem zimnej wody, nie dopuszczała jednak do siebie myśli, że w głębi duszy pragnie, by w nocy Julian ją odwiedził.

Rozdział szesnasty

Ostatniego dnia pobytu w Monmouthshire, Christy zbudziła się sama w łóżu. Podobnie było zresztą w pozostałe dni z wyjątkiem pierwszego. Z Julianem spędzali razem dużo czasu; zaczął uczyć ją powożenia gikiem, wspólnie odbywali przejażdżki konne i spacerowali. Ostatniego wieczoru Christy usiadła do starego klawesynu w salonie, a Julian słuchał jej gry.

Świtało. Christy wstała i podeszła do okna. Mgła podnosiła się nad rzeką, ptaki witały nowy dzień radosnymi szczebiotami. Dalej majaczyły groźne zarysy dawnego opactwa. Nabrała ochoty na poranny spacer. Do ruin szło się nieco ponad godzinę, więc na śniadanie o ósmej powinna wrócić bez kłopotu. Rzeka, ptaki i mgła wydawały jej się wymarzoną scenerią, by trochę podumać.

Julian spostrzegł postać w pelerynie, szybko przemierzającą ogród i kierującą się ku nadrzecznej ścieżce. O brzasku wyglądała eterycznie, dobrze wiedział jednak, że widzi kobietę tę z krwi i kości.

Podszedł do miski i szybko się umył. Od pierwszego dnia nieustannie dręczył się myślą, kiedy powinien ponownie odwiedzić Christy w sypialni. Poza tym jednak, co musiał przyznać, jeszcze nigdy tak miło nie spędził całego tygodnia. Samo towarzystwo żony sprawiało mu przyjemność.

Mimo to nie opuszczało go poczucie winy. Przez cały tydzień unikał jak ognia wzmianek o ich pierwszej nocy. To on miał doświadczenie w tych sprawach, choć zdobyte w niezbyt chlubny sposób. I to on powinien w spokojnej i życzliwej atmosferze przeprowadzić z żoną rozmowę na ten temat.

Bez trudu znalazł ślady Christy. Wiedział zresztą, dokąd zmierza. Zobaczył ją siedzącą na zwalonym kamiennym bloku, z twarzą zwróconą ku zamglonej rzece. Zanim zdecydował, czy ma prawo zakłócić jej spokój, zauważyła go i wstała.

- Milordzie? Julianie?

Wciąż z trudem przychodziło jej zwracanie się do niego po imieniu, z nim natomiast było całkiem odwrotnie. Uwielbiał wymawiać jej imię.

- Czy w czymś zawiniłam? - Nieco się zmieszała. - Pewnie nie powinnam siedzieć tutaj sama. Czy o to chodzi?

- Nie - odparł, choć rzeczywiście nie powinna była przyjść tu samopas. - Zobaczyłem, jak idziesz przez ogród, a chciałem porozmawiać.

- Aha. - Nieco się odprężyła.

- Podoba ci się tutaj? - Teraz on usiadł na bloku.

- Tak. - Wróciła na swoje wcześniejsze miejsce i znalazła się nagle bardzo blisko niego.

- Christy?

Podniosła głowę.

Przygotowane słowa nagle wyleciały mu z głowy. Uniósł dłoń i delikatnie pogłaskał ją po policzku. Nagle połączył ich czuły pocałunek. Przez chwilę rozkoszował się doznaniem, jakiego nie dawała mu żadna inna kobieta, cofnął jednak usta, zanim sprawy zaszły za daleko.

- Chciałem przeprosić za sprawienie bólu. - Nie te słowa przygotował, lecz mimo to zabrzmiały odpowiednio.

- Sprawienie bólu?

Łatwo byłoby uciec w kolejny pocałunek, ale wiedział, że tego mu nie wolno. Po prostu więc ją przytulił.

- Pierwszej nocy. Chcę, byś wiedziała, że kiedy znów spotkamy się w łóżu, będzie inaczej. Już bez bólu. Nie trzeba się mnie bać. Tobie zostawiam decyzję, kiedy zechcesz mnie odwiedzić. - Poczul, jak cała tężeje, więc pocałował jej włosy. - Nie musisz mi odpowiadać. Wystarczy do mnie przyjść. Postaram się najlepiej, jak umiem, żeby było ci przyjemnie.

Puścił ją i wstał.

- Jeśli to ci nie przeszkadza, zajmę się dzisiaj łowieniem ryb. O ile wiem, pani Braxton obiecała pokazać ci swoje najtajniejsze przepisy.

Christy skinęła głową.

- Tak. Dziś przed południem.

Uśmiechnął się.

- Wobec tego do zobaczenia na śniadaniu.

Odszedł. Miał nadzieję, że powiedział wszystko, co trzeba.

Przedpołudniowe odwiedziny w kuchni u pani Braxton okazały się ekscytujące. Christy obejrzała pękaty notatnik pełen przepisów na przetwory. Mimo autentycznego zainteresowania raz po raz błędziła myślami ku spotkaniu z Julianem w opactwie. Był taki delikatny...

Po lunchu ponownie wybrała się na spacer. Chciała dobrze przemyśleć rozmowę z Braybrookiem. Ruszyła więc ścieżką, która prowadziła ku rzece i miejscu, gdzie zaciszne rozlewisko osłaniały rosnące na brzegu wierzby.

Po pewnym czasie wyszła na polanę i zobaczyła znajomego karego ogiera. Zaraz potem jej wzrok padł na nagiego Juliana - cały jeszcze ociekał wodą po kąpieli. Mogła szybko zawrócić niezauważona. Postanowiła jednak zostać. Pierwszy raz przyszło jej do głowy, że dobrze zbudowane męskie ciało może być piękne i że jego piękno łączy się z wrażeniem siły.

Powinna mu powiedzieć... tylko co? Może po prostu tyle, że nie będzie miała nic przeciwko temu, by znowu odwiedził ją w łóżu, choćby tego wieczoru. Czy jednak potrafi to powiedzieć tak, żeby się nie ośmieszyć? Aby Braybrook nie domyślił się, jak gwałtowne doznania budzi w niej jego widok.

Powinien był już wrócić do domu, ale ogarnęło go miłe rozleniwienie. Niewielu ludzi znało to miejsce, położone zresztą w samym środku posiadłości, mógł więc bez przeszkód rozkoszować się promieniami słońca grzejącymi mu plecy po orzeźwiającej kąpieli. Nagle prychnął koń. Julian odwrócił się i ujrzał żonę przyglądającą mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Nie pozostało mu nic innego, jak natychmiast ponownie wskoczyć do wody. Chwilę potem wynurzył się, parszczając.

- Szukałaś mnie?

- Właściwie nie. Nie spodziewałam się tego spotkania, ale cieszę się, że cię widzę. Zapewne zobaczyła nawet znacznie więcej, niż chciała, pomyślał Julian.

- Będziesz jeszcze pływał?

- Nie. Właśnie się suszyłem.

- Och... - Urwała. - Czy mam odejść?

Bał się ją przestraszyć, ale nie chciał też, żeby odeszła. Co więcej, odniósł wrażenie, że i ona ma ochotę zostać.

- Proszę podać mi ręcznik i zamknąć oczy - odparł.

Spełniła jego życzenie i usiadła na trawie, przez cały czas posłusznie zaciskając powieki.

Gdy wreszcie wytarł ciało i uporał się z wkładaniem spodni, pozwolił jej spojrzeć. Sam nie przestał jej obserwować. Zaintrygował go uśmiech, jaki pojawił się na jej wargach, gdy uważnie mierzyła go wzrokiem. Odetchnął głęboko i sięgnął po koszulę. Gdyby uległ pokusie i pocałował Christy, nie skończyłoby się to tak skromnie, jak o świcie.

- Chyba nie musisz wkładać koszuli?

Natychmiast ją odrzucił, choć nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Tymczasem Christy wyciągnęła rękę i z zainteresowaniem zaczęła przesuwając palcami po jego ramieniu. Zrobiło mu się tak gorąco, że nawet skok do rzeki nie wygasiłby tego żaru.

- Julianie?

- Słucham?

- Kiedy całowałeś mnie dziś rano... to było przyjemne.

Serce zabiło mu mocniej.

- Naprawdę?

- Tak... Zawsze jest mi przyjemnie, kiedy mnie całujesz.

- Czyżby?

- Czy pocałowałbyś mnie teraz?... Proszę.

Gdy wyciągał ku niej ramiona, zdjęła okulary i odłożyła je na pieńek obok.

Julian całkiem się zatracił w ich pocałunku. Upajał się smakiem Christy i miękkością jej warg, a także ruchami Ignącego do niego kobiecego ciała. Porwany uniesieniem, zaczął marszczyć jej muślinową suknię, podciągać rąbek coraz wyżej, aż w końcu dotknął jej uda. Miała taką gładką skórę. Niestety, przypomniał sobie, że musi nad sobą panować. Zatrzymał rękę.

W tej samej chwili Christy lekko rozchyliła wargi, jakby milcząco go o coś prosiła. To było ponad jego siły. Ponowił pieszczotę, która stawała się coraz bardziej intymna.

Ale przecież tak naprawdę Christy pragnęła tylko pocałunku. Uświadomiwszy to sobie, przerwał kolejny pocałunek, odsunął się i włożył koszulę.

- Wystarczy. Okryj się - rzekł schrypniętym głosem.

Wstał i odszedł kilka kroków w stronę brzegu rzeki.

Przecież to jego żona. Zasluguje na coś lepszego niż wytarzanie w trawie tylko dlatego, że poprosiła, by ją pocałował.

- Przepraszam. Więcej tego nie zrobię - powiedziała cicho.

Nie odważył się na nią spojrzeć.

- Czego?

- No tego. Obiecuję, że nie... - Głos jej uwiązł w gardle.

Odwrócił się do niej.

- Christy...

Widok łez zupełnie go rozbroił. Trzema krokami znalazł się z powrotem przy niej i znów ją objął.

- Kochanie, wszystko w porządku. Nie chciałem, żeby to zaszło tak daleko. Nie musisz się mnie obawiać. - Jemu też nie było łatwo mówić. - Nawet jeśli tak bardzo cię pragnę.

Wysunęła się z jego objęć i spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę mnie pragniesz?

Nie ufając głosowi, tylko skinął głową.

- To dlaczego przestałeś?

Musiał się zdobyć na absolutną szczerość.

- Ponieważ jesteś zupełnie nieświadoma tego, co robisz - odrzekł.

Poczerwieniała.

- Rzeczywiście. Ale... skąd mogę wiedzieć, co sprawia ci przyjemność albo jak mam się zachowywać, skoro...

- Słucham? - Zauważył, że jej rumieniec się pogłębił. - Christy, nie przestałem dlatego, że nie było mi przyjemnie, że ty... że my... - Do licha! Teraz on się spieszył. - Przeciwnie, było mi tak dobrze, że niewiele brakowało, bym tutaj cię wziął.

- To znaczy, że... nie przeszkadza ci, że... że to sprawia mi przyjemność? - Wreszcie to z siebie wydusiła.

- Christy, to jest wspaniałe.

- Cóż, powiedziałeś dziś rano... a ja... no, myślę, że są gorsze miejsca, prawda?

- Gorsze do czego, Christy?

Popatrzyła na niego niepewnie.

- Nie miałeś nic przeciwko temu?

- Nie. Zaufaj mi. Gorsze do czego? - Na wszelki wypadek już rozpiął koszulę.

Wyciągnęła rękę i chciała mu pomóc, ale okazało się, że sobie nie radzi.

- Gorsze miejsca do... - znowu się zacięła.

- Do pieścizot? - spytał, przyciągając ją do siebie.

Zawahała się.

- Tylko jeśli... Zdaje mi się, że nie takiej żony się spodziewałeś, Julianie, prawda?

- Nie - przyznał, pieczołowicie układając ją na trawie. - Prawdę mówiąc, nigdy nie przyszło mi do głowy, że poślubię kobietę, która uwiedzie mnie w słoneczny dzień nad rzeką.

- Nie masz nic przeciwko temu? Mimo że jestem żoną...

- Słucham?

- ...a nie kochanką?

To zabolalo, ale nalezalo mu sie. Sam wykładal Christy, czym sie różni zona od kochanki.

- Mój sprzeciw budzi jedynie to - powiedział, układając się obok niej na trawie - że zachowywałem się jak skończony głupiec. Czy właśnie dlatego sądziłaś, że nie chcę cię takiej jak teraz?

- Tak - szepnęła.

Odnalazł jej usta i powoli obwiódł wargi koniuszkiem języka. Wkrótce oboje wymieniali namiętne pieścizoty, a Julian nie mógł się nadziwić, że wszystkie problemy rozwiązał pocałunek.

- Julianie - szepnęła w pewnej chwili Christy, zorientowawszy się, że nie wiadomo kiedy została rozebrana.

- Chcesz, żebym przestał?
- Och, nie. - Nie dbała o to, że zachowuje się rozwiązle.
- To cudownie - szepnął Julian, skubiąc czubek jej ucha.

Nie ma słów na to, by opisać, czego doznała potem. Nigdy w życiu nie czuła się tak bezbronna, a zarazem przepełniona ufnością, jak wtedy, gdy ujrzała nad sobą Juliana. Nie przypuszczała, że czując go w sobie, zrozumie, iż stał się jej częścią, i będzie to dla niej źródłem takiej radości.

Zdawało jej się, że jej ciało wznosi się wyżej i wyżej, jakby miało skrzydła. Poddała się rytmowi, który prowadził ją prosto na skraj szaleństwa. A gdy już tam się znalazła, Julian nie pozwolił jej się zatrzymać. Razem doświadczyli niebiańskiej rozkoszy.

Rozdział siedemnasty

Julian leżał ze śpiącą Christy w ramionach i wpatrywał się w prześwieconą koronę drzewa, słuchając brzęku owadów i śpiewu ptaków. Niedawno oddała mu się właśnie w tym miejscu nad rzeką. Wiedział, że nie zasługuje na ten dar. Może jednak mieli szansę zacząć od nowa. Skoro wreszcie pokonali nieporozumienia, to może powstanie między nimi solidna i trwała więź, pomyślał.

Christy spojrzała na trzymaną na kolanach książkę. Jej stronice równie dobrze mogłyby pozostać niezapisane. Mimo że leżała w łóżu sama, wszystko się zmieniło. Przyszła do sypialni przed półgodziną. Julian czytał sprawozdanie od rządu.

Cały wieczór upłynął na rozmowie. Opowiedział jej o wakacjach, które spędzał w tym domu jako chłopiec, o swoich przyjaciółach i o sobie. Zupełnie jakby to, co zaszło nad rzeką, sprawiło, że runął dzielący ich mur.

Christy czuła, że jest coraz bardziej zakochana w mężczyźnie, który ożenił się z nią z musu. Imponowała mu jego siła i niezależność myślenia. Julian nie dbał o opinię świata, polegał na własnych przekonaniach. Musiała jednak pamiętać, że jej miłość nie jest odwzajemniona, choć czułość, jaką jej okazywał, jego pocałunki i to, jak ją tulił, gdy leżeli nasytzeni, były bardzo wzruszające.

Pamiętała jednak, co mówiła jej matka. Mężczyźni są inni. Gdy kobiecie zdaje się, że ktoś wyrywa jej serce z piersi, oni czują jedynie fizyczną rozkosz. Matka ostrzegła ją przed powtórzeniem błędu, który popełniła.

Skrzyp otwieranych drzwi oderwał ją od tych rozmyślań.

Widok Braybrooka zaparł jej dech w piersiach. Stał na progu z wilgotnymi, potarganymi włosami. W wycięciu szlafroka dojrzała muskularną klatkę piersiową, z czego wynikało, że nawet nie włożył nocnej koszuli. Nie była jednak pewna, czy nie przyszedł tylko powiedzieć „dobranoc”.

- Czy mogę do ciebie przyjść, kochanie?

Ogarnęło ją zdumienie. Nazwał ją tak czułym i wyjątkowym słowem.

- Tttak - wyjąkała. A ponieważ się zawahał, dodała żałośnie słabym głosem: - O tak, proszę.

Oczy nagle mu pociemniały. Drzwi zamknęły się z trzaskiem i Julian wziął ją w ramiona.

Powinien był wrócić do swojego łóżka. Wciąż leżał jednak w pokoju żony, wsłuchując się w jej równy oddech. „Kocham cię”.

Jej słowa, wypowiedziane sennym, rozmarzonym głosem, wciąż do niego wracały. Czy była pewna tego, co mówi? I czy wyznała miłość świadomie? Inne kobiety często zapewniały go o uczuciu, zwłaszcza w namiętnym uniesieniu. Pewnie zdawało im się, że miłość może być dla damy jedynym usprawiedliwieniem żądy. I to rozumiał. Bywało jednak, że „kocham cię” w ich ustach zaczynało brzmieć szczerze. Z takich romansów starał się szybko i gładko wywinąć. Wydawało mu się nieuczciwe przyjmować czyjąś miłość, skoro sam nie był gotów jej odwzajemnić. Z czasem udoskonalił metodę i zaczął unikać kobiet, które sądziły, że się zakochały. Uważał też, żeby nie zwracać się do nich słowem „kochanie”.

Christy nie mógł jednak unikać. W dodatku wyrwało mu się zupełnie nieoczekiwane zakazane słowo. Musiał więc chyba wyjaśnić jej najsubtelniej, jak potrafił zasady ich związku. Przecież małżeństwo z rozsądku byłoby dla nich obojga najbezpieczniejsze.

A jednak wspomnienie tych dwóch sennych słów wciąż do niego wracało. Choć dawno powinien się udać do swojego pokoju, wciąż leżał w jej łóżku i myślał o tym, jak

ładnie Christy pachnie. Ogarniała go coraz większa senność. Przesunął się w stronę, z której nadal dobiegał go cichy, równy oddech. Przyciągnął Christy do siebie. Wtuliła się w niego z westchnieniem. Jej włosy załaskotały go w nos. Zdażył jeszcze odsunąć jeden kosmyk i zasnął na dobre.

Spędzenie nocy w łóżku Christy okazało się błędem. Miał i wcześniej zacząć dzień. I choć rzeczywiście tak się stało, to początek był zupełnie inny, niż Julian sobie zamierzył.

Nie spodziewał się, że z takim entuzjazmem będzie myślał o podróży w towarzystwie żony. Z nie mniejszą przyjemnością wspominał, jak leżała przy nim tego ranka, przytulona i rozgrzana przeżyta rozkoszą.

Pomagając Christy wsiąść do kariolki, Julian pomyślał, że taka poufałość jest niebezpieczna. Zamierzał nawet przemierzyć drogę konno, aby zwiększyć między nimi dystans. Przypomniał sobie jednak, jak źle Christy znosi podróż powozem i jak potulnie się na to godzi.

- Dziękuję - powiedziała, zajmując miejsce na siedzeniu.

Julian usiadł obok i dał znak służącemu, by puścił konie.

Z Christy było inaczej niż ze wszystkimi kobietami. Przede wszystkim brał pod uwagę jej przyjemność. Jego żądze i nawet myśl o obowiązku znaczyły o wiele mniej.

Wyprowadził konie na podjazd. Kątem oka zerknął na żonę. Oczy jej lśniły, a policzki miała lekko zaróżowione. „Kocham cię” - jej senne słowa wciąż do niego wracały. Łoże przestało być dla nich problemem. Teraz zastanawiał się, czy uda mu się równie sprawnie ułożyć wszystkie inne sprawy w ich małżeństwie.

Głęboko odetchnął i przeszedł do rzeczy.

Christy słuchała jego szczegółowego sprawozdania ze stanu rodzinnych finansów, zaciskając dłonie na kolanach. Julian niby urzędnik tłumaczył, że jako głowa rodziny ponosi odpowiedzialność za przekazanie całego dobytku następnym pokoleniom. Przez takie a nie inne małżeństwo znacznie utrudnił sobie zadanie. Czego oczywiście nie powiedział wprost.

Obserwował drogę przed nimi z taką miną, jakby właśnie opowiadał jej, co lubi jeść na śniadanie, a nie wyjaśniał, dlaczego poślubienie jej było największym błędem, jaki popełnił w życiu.

- Nie martw się - zakończył wywód. - Chciałem tylko wytłumaczyć, jak to wszystko działa.

- Nie powinniśmy byli się pobrać. - Tylko te słowa przeszły jej przez gardło.

- Słucham? - spytał lodowatym tonem.

- Nie stać cię na mnie.

Konie zwolniły.

- Co, u diabła, masz na myśli?

- Kiedy Harry uparł się przy tym olbrzymim zapisie na i moje nazwisko...

- Suma była właściwa. Również bez interwencji brata otrzymałabyś podobną. Co miałaś na myśli, mówiąc, że mnie na ciebie nie stać?

- Nie wniosłam niczego do naszego związku - stwierdziła. - Nawet nie miałam posagu, żeby móc utrzymać siebie lub dzieci. Sumę, którą przepisałeś na moje nazwisko, powinieneś przeznaczyć na potrzeby rodzeństwa i na utrzymanie posiadłości. Nie jest tak?

- To wszystko nieważne - zapewnił po chwili milczenia. - Nie powiedziałem, że żałuję decyzji o poślubieniu ciebie!

Na to naturalnie Braybrook był zbyt uprzejmy. Prawda musiała jednak mniej więcej tak wyglądać. Z jego słów wynikało, że reszta posagu Sereny musi starczyć na utrzymanie Lissy, Emmy i dwóch chłopców. A co z posagiem córek? Jeśli Julian chciał oddać następcom nietknięty majątek, powinien był pojąć za żonę bogatą dziedziczkę, a nie Christy Daventry bez złamanego pensa przy duszy, do tego pochodzącą z nieprawego łoża.

- Niemożliwe, żebyś nie żałował - szepnęła. Powściągnął konie, przełożył wodze do jednej ręki i otoczył ją ramieniem.

- Do diabła, Christy! Jak możesz tak sądzić? I to po wczorajszym popołudniu i ostatniej nocy!

- Słyszałeś, co wyznałam wczoraj w nocy, prawda? - spytała zboląłym głosem.

- Tak. Nie ma w tym nic złego, Christy. Nie miałaś kochanka, więc jesteś nieprzyzwyczajona do... rozkoszy fizycznej. Naturalnie rozumiem, dlaczego to powiedziałaś, ale nie ma takiej konieczności.

- A więc to tylko cielesna przyjemność. - W gardle miała wielką gulę, lecz mimo to mówiła dalej: - Mógłbyś ją znaleźć z każdą kobietą. Przecież tak robiłeś i sądzę, że zostaniesz przy tym zwyczaju. Było to zupełnie jasne, kiedy zaproponowałeś mi rolę kochanki i obiecałeś, że nie zostanę oddalona nawet po twoim ślubie.

Christy odsunęła się od męża najdalej, jak mogła. Po tak bezwstydney ripocie wołała zanadto mu się nie przyglądać.

Dalej jechali w słońcu. Z pobliskich zarośli docierał śpiew ptaków. Z daleka dolaływało porykiwanie krowy i nawoływanie chłopca. Wszystko to jednak nagle straciło urok.

Milczenie przerwał Braybrook:

- Pogodziłaś się z tym, że będę niewierny?

- Tak.

Nie mogła zaprzeczyć, bo przecież wiedziała o tym, zanim wzięli ślub.

- I też będziesz niewierna?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Nie umiała sobie wyobrazić takiej sytuacji.

- Nie zamierzam.

Spojrzał na nią z nieprzeniknioną twarzą, ale zachował milczenie.

Cztery dni później przed południem Christy poszła do wsi po jedwab do haftowania. Przez ostatnie dwa dni przyjmowała wizyty gości z życzeniami dla nowożeńców. Wiadomość o ich powrocie szybko się rozeszła i wszyscy chcieli poznać nową panią na Amberley. Czuła się jak żuk przyszpilony do tablicy. Naturalnie ludzie traktowali ją z szacunkiem, łatwo mogła jednak sobie wyobrazić, co mówią na jej temat, gdy zostają w swoim towarzystwie.

Mąż odnosił się do niej uprzejmie, ale chłodno. Wprawdzie co wieczór przychodził do jej sypialni, ale gdy minęły chwile namiętności, wracał do siebie. Zupełnie jakby chciał zademonstrować, że nic do niej nie czuje. Christy podejrzewała, że z czasem bę-

dzie z tego nawet zadowolona, tymczasem jednak miała takie wrażenie, jakby codziennie mała jej częśćka umierała.

Na kolejny wieczór dostali zaproszenie na kolację w Postleton Manor. Christy usłyszała od lady Postleton, że wszyscy niecierpliwie czekają, by ją poznać. Ten przejaw hipokryzji wzbudził jej obrzydzenie. Naturalnie jednak nie mogła odrzucić zaproszenia. Julian był bardzo zadowolony i orzekł, że wkrótce będzie powszechnie uznaną damą. Co do niej, doskonale wiedziała, że gdyby rozeszła się prawda o jej pochodzeniu, uznanie dla niej ulotniłoby się w jednej chwili.

Gdy weszła do sklepu, rozległ się, rzecz jasna, dzwonek i pan Wilkins nisko się uklonił. Potem, ku jej irytacji, chodził za nią po całym sklepie i raz po raz zacierał ręce. Kiedy wreszcie załatwiła wszystkie sprawunki i wyszła, odetchnęła świeżym powietrzem z prawdziwą ulgą.

Na ulicy we wsi zobaczyła Nan Roberts.

- Dzień dobry, Nan - pozdrowiła dziewczynkę. - Dobrze się miewasz?

Nan wstydliwie skinęła głową.

- A mama? Też dobrze?

Kolejne nieśmiałe skinienie.

- A ja mam kotkę - pochwaliła się Nan. - Dała mi go ta druga lady Braybrook. - Przygryzła wargę. - Może pani przyjść i zobaczyć.

Christy się zafrasowała. Jane była kochanką Braybrooka, ale dziecko patrzyło na nią z taką nadzieją...

- Bardzo chętnie zobaczę kotkę, jeśli tylko jesteś pewna, że mama nie ma nic przeciwko temu.

- Och, nie! - zapewniła dziewczynka. - Mama powiedziała, że pani jest dobra.

Widząc niezapowiedzianego gościa, Jane okazała się daleka od entuzjazmu i powitała Christy z chłodną uprzejmością.

- Milady chce zobaczyć moją kotkę - oznajmiła Nan. Jane ciężko westchnęła.

- Naprawdę? W takim razie znajdź szybko Puss. Nie powinna pani do mnie przychodzić - oświadczyła bez ogródek, gdy dziecko pobiegło do kuchni. - Ludzie będą gadać, a jego lordowskiej mości to się nie spodoba.

- Jeśli tylko to jest problemem, proszę zdać się na mnie - odparła Christy. - Czy Nan znowu spotkały nieprzyjemności?

Jane pokręciła głową.

- Dzięki pani i jego lordowskiej mości już nie. Nie chcę być niegościnna, ale po co pani kłopoty? Przecież okazała pani tyle dobroci Nan. No cóż, ale skoro już się stało, to możemy chyba usiąść w ogrodzie. Napije się pani mojej jeżynowej nalewki?

- Bardzo chętnie.

Jane szybko ustawiła na tacy butelkę ciemnego napitku i dwie szklaneczki. Nan wróciła z puchatą, pręgowaną kotką bardzo przypominającą Tybalta Sereny, tyle że znacznie mniejszą. Z dumą pokazała ją Christy.

- Ona jest całkiem moja - powiedziała. - Będzie polowała na myszy i szczury.

- Jeśli przestaniesz ją bez przerwy nosić i zagłaskiwać na śmierć - dodała Jane. - Nan, kochanie, zaprowadź milady do ogrodu.

Christy usiadła na nasłonecznionej ławce, a dziewczynka poszła w cień pod śliwę, aby pobawić się z kotką. Tymczasem Jane napełniła szklaneczki.

- Robię tę nalewkę co roku - wyjaśniła. - Proszę się nie obawiać, nie jest mocna.

Christy zaczęła saczyć napitek, przyglądając się dziewczynce, ciągnącej po ziemi włóczkowy kłębek na sznurku.

- Nan uwielbia tę kotkę - powiedziała Jane. - Bardzo miło ze strony milady, że ją przyniosła. Zawsze była dla nas dobra, mimo że jest, jak jest.

Christy nie odpowiedziała. Nie sądziła zresztą, by akurat Serena mogła mieć do tej kobiety pretensje o jej romans z Julianem.

Zwróciła się ku Jane, starając się znaleźć słowa pokrzepienia i nagle zobaczyła osę, siadającą na krawędzi szklaneczki. Machnęła ręką, aby odpędzić owada, ale kobieta zdążyła już unieść naczynie do ust.

- Jane!

Ta z okrzykiem bólu upuściła szklaneczkę i plasnęła osę ręką. Rozległ się głośny bzyk i kolejny okrzyk.

- Mamo?

- Nie przejmuj się, Nan! - zawołała Christy. - To tylko osa.

Popatrzyła na Jane i stwierdziła, że jest się czym przejmować.

Wargi Jane w zastraszającym tempie zmieniały kształt. Puchły.

- Boli panią? Przynieść jakąś maść?

Kobieta niepewnie dotknęła ust.

- Boli - powiedziała zduszonym głosem. - Moje gardło... nie mogę przełykać.

Christy poczuła, że blednie.

- Zaraz wyślę Nan po doktora!

Doktor Wharton przyjrzał się Jane Roberts, która walczyła o każdy oddech, a twarz i gardło miała silnie spuchnięte.

- Wielki Boże - mruknął.

Wcześniej Christy pomogła Jane położyć się do łóżka i zrobiła jej zimny okład, ale niewiele to pomogło. Chora rzeziła i wyraźnie traciła świadomość. Twarz miała prawie fioletową.

- Osa, mówi pani? - powiedział doktor.

- Tak - potwierdziła Christy. - Usiadła na szklance.

Doktor zmeł w ustach przekleństwo.

- Nic już nie pomogę. Zostanę z nią do końca. Proszę dopilnować, żeby dziecko nie wchodziło.

Christy spojrzała na niego strwożona.

- Do końca? To ona umrze?

Doktor skinął głową.

- Niektórzy ludzie bardzo źle znoszą użądlenia osy lub pszczoły, zwłaszcza w okolicach ust, a tym bardziej wtedy, gdy owad wbije żądło kilkakrotnie. Dwa razy już widziałem coś takiego.

Jane otworzyła oczy. Próbowwała poruszyć ustami, ale wydobył się z nich jedynie rzeżący odgłos. Język miała nieprawdopodobnie opuchnięty. Wpatrywała się w Christy z przerażeniem.

Christy zrozumiała, co kobieta próbuje powiedzieć. Pochyliła się nad łóżkiem i ujęła Jane za rękę. Ta zacisnęła palce ze zdumiewającą siłą.

- Wiem - szepnęła Christy. - Będzie dobrze, przysięgam. Zatrąszczę się o bezpieczeństwo Nan. O to chodzi, prawda?

Umierająca potwierdziła ten domysł, jeszcze mocniejszym zaciśnięciem dłoni.

- Zaopiekuję się nią - obiecała. - Nic jej nie grozi. Jane jeszcze raz uścisnęła jej dłoń, a potem jej ręka opadła. Christy popatrzyła na doktora.

- Niech pani idzie - powiedział. - Nic więcej nie jest pani w stanie zrobić.

Rozdział osiemnasty

Kwadrans później doktor Wharton wyszedł ponury z sypialni. Resztki nadziei Christy rozwiały się. Nan, widząc minę mężczyzny, wybuchnęła płaczem, i wtuliła się w spódnice Christy.

- Przykro mi - powiedział doktor. - Nic się nie dało zrobić. - Popatrzył na Christy z dzieckiem. - To miłe, że pani stara się ulżyć małej, ale zdaję sobie sprawę z niezręczności całej sytuacji. Zajmę się losem tego dziecka, lady Braybrook. Proszę się nie kłopotać. Jeśli nie przyjmie jej jakaś rodzina, to znajdę sierociniec. Dziś wieczorem zaopiekuje się nią moja gospodyni, a jutro wszystko załatwię.

- Pan nie rozumie - odparła, trzymając Nan przy sobie. - Obietnica, którą dałam umierającej, to nie były puste słowa. Naturalnie proszę skontaktować się z rodziną pani Roberts, to konieczne, ale jeśli krewni ze strony matki nie mogą zapewnić małej utrzymania i szczęśliwego domu, Nan zostanie u mnie. Czy mógłby pan również porozmawiać z pastorem w sprawie pogrzebu? Przyślę tu służącą po rzeczy Nan, a ją zabiorę teraz ze sobą.

Doktor wyraźnie się zdumiał.

- Ojej, lady Braybrook... Czy na pewno to pani przemyślała? Jego lordowska mość...

Drzwi otworzyły się z hukiem. Christy odwróciła się i ujrzała na progu męża.

- Co tu się dzieje, do diabła? - spytał. - Cała wieś szumi o tym, że Jane zachorowała. Christy?

Wharton podszedł do Braybrooka z bardzo zafrasowaną miną.

- Milordzie... zdarzyła się tragedia, obawiam się jednak, że milady nie całkiem...

- Jaka tragedia?

- Mama! Mama! - szlochała Nan.

Przez twarz Juliana przemknął dziwny wyraz.

- Co, Nan? - spytał, wyciągając do niej rękę.

- Jane Roberts nie żyje, milordzie - poinformował go doktor Wharton.

Julian opuścił rękę i nagle wyraźnie pobladł. Spojrzał na doktora.

- Nie żyje? Jak to?

Christy uznała, że czas się włączyć do rozmowy. Nan nie musiała wysłuchiwać wszystkich szczegółów.

- Milordzie, czy pana kariolka stoi przed domem?

- Moja kariolka...? Tak, naturalnie.

- To dobrze. Nan i ja poczekamy w niej na pana. Proszę wziąć rzeczy małej i nie zapomnieć o kotce.

Braybrook osłupiał.

- Wziąć jej rzeczy...?

Doktor Wharton wydawał się coraz bardziej zakłopotany.

- Jak już mówiłem, milordzie, milady nie rozumie delikatności tej sytuacji. Mogę zająć się wszystkim, co wiąże się ze znalezieniem domu dla dziecka...

Christy szła już do drzwi, ale dziewczynka zrozumiała, że dzieje się coś bardzo złego, bo zaczęła krzyczeć:

- Do mamy! Chcę do mamy!

Służący Juliana popatrzył na nie zaskoczony, Christy zauważyła też tłumek wieśniaków, stojący w pewnym oddaleniu. Nie zwracając na nich uwagi, podeszła do kariolki.

- Proszę trzymać konie - poleciła Twiggowi i umieściła Nan w pojeździe. Potem sama wsiadła i posadziła ją sobie na kolanach. Wiedziała, że trzeba dziecko utulić. Rzeczywiście, krzyki stopniowo słabły i zamieniły się w ciche chlipanie. Dziewczynka bezwładnie leżała w ramionach Christy.

Niedługo potem Julian wyszedł z domu razem z doktorem Whartonem. Nieśli kuferek, a w drugiej ręce Julian trzymał koszyk. Bagaż znalazł się na stosownym miejscu w powozie, natomiast koszyk trafił w ręce Christy. Rozległo się pełne złości miauczenie.

- Kotka - odezwał się obojętnie Braybrook.

Nan natychmiast się poruszyła.

- Lepiej zostawić Puss w koszyku, żeby nie zginęła podczas podróży - poradziła Christy.

Julian, wsiadając do kariolki, popatrzył na nią surowo, ale nie powiedział ani słowa. Nan uznała zaś rację Christy i znów spokojnie ułożyła się w jej ramionach.

- Niech pan załatwi sprawę pogrzebu z pastorem, Wharton, a resztę zostawi mnie - rzekł jeszcze Julian.

Doktor skinął głową.

- Dobrze, milordzie.

- Jedziemy, Twigg.

- Gdzie jest dziewczynka?

Zadając to pytanie, Julian nie odwrócił się od okna. Przyjechali do domu przed godziną. Christy dopilnowała, żeby Nan niczego nie brakowało, a teraz przyszła do biblioteki na wezwanie męża.

- W dziecięcym pokoju. To chyba dla niej najlepsze miejsce. Odwrócił się do niej. Targały nim wyrzuty sumienia, wiedział jednak, że musi to powiedzieć.

- Christy, postąpiła pani nierozsądnie. Ona nie może tutaj zostać.

Oczy groźnie jej zabłyśły.

- To nieszczęście mieć takiego ojca!

Braybrook powtórzył sobie w myślach, że jego żonie nic do tego, a on nie musi się przed nią z niczego tłumaczyć. A jednak postanowił spróbować.

- Ma pani rację - przyznał cicho. - Tyle że wbrew powszechnej opinii ona nie jest moją córką.

Christy nie wierzyła własnym uszom.

- Nie jest... - zaczęła. - Niemożliwe... A więc pańskiego ojca?

Jej odpowiedź trochę go pokrzepiła.

- Wierzy mi pani? - spytał.

- Tak - odszepnęła. - Przecież nigdy mnie pan nie okłamał, dlaczego więc miałby pan skłamać w tej sprawie?

Ciężko westchnął.

- To prawda. Ona jest moją przyrodnią siostrą - powiedział. - Większość ludzi uważa ją jednak za moją córkę. Pamięta pani, że Jane miała męża, gospodarza? To było jego drugie małżeństwo, z pierwszą żoną spłodził trzy córki. Jane nie urodziła mu dziecka, więc naturalnie Tom złożył winę na nią.

- Zaskakujące - stwierdziła Christy z gryzącą ironią.

- No, przecież miał te trzy córki. Christy nie odpowiedziała.

- Czy Serena opowiadała pani dużo o moim ojcu? - zainteresował się.

Pokręciła głową.

- Nie, ale odniosłam wrażenie, że był, hm, dosyć despotyczny.

- Rzeczywiście - przyznał Julian.

- Może to cecha rodzinna? Zignorował ten przytyk.

- Był w sumie dobrym człowiekiem, choć zdecydowanie starej daty. Kiedy Serena uległa wypadkowi i lekarze orzekli, że nie powinna mieć więcej dzieci, ojciec naturalnie zaczął szukać gdzie indziej... - Urwał, nie mogąc znaleźć odpowiedniego wyrażenia.

- Przyjemności? - podsunęła Christy. - Rozrywki? Zauważyłam, że mężczyźni chętnie mówią o kobietach w taki sposób.

Juliana to ubodło.

- Powiedzmy więc wprost: cielesnego zaspokojenia. Nagle uderzyła go zaskakująca myśl. Czyżby Christy sądziła, że i on myśli o niej w ten sposób?

- Niech będzie - powiedziała i mimo że spłonęła rumieńcem, nie odwróciła głowy.

- Przynajmniej uczciwie pan to nazywa. Proszę mówić dalej.

- Jane zaszła w ciążę w czasie romansu z moim ojcem. Powiedziała mu o tym i zakończyła ich potajemne spotkania. Żadne z nich szczególnie się tym nie przejęło. Nie sposób nawet było z całą pewnością ustalić, kto jest ojcem, ponieważ Jane miała męża i Tom regularnie z nią obcował. Wpadł zresztą w absolutny zachwyty, że wreszcie spłodził z nią dziecko.

- A po urodzeniu Nan? Jak się zachował?

- Wtedy już nie żył - wyjaśnił Julian. - Dziewczynka urodziła się zimą, a jego na jesieni przygniotło ścinane drzewo.

Ponieważ Tom był naszym dzierżawcą, mój ojciec zapewnił Jane dom i roczny dochód. Kiedy z kolei on zmarł przed trzema laty, przedłużyłem tę umowę. Tymczasem jednak stało się oczywiste, że mała nie jest córką Toma. - Zawahał się. - To podobieństwo...

- Zwraca uwagę.

- Ponieważ ojciec nie miał od wielu lat innych romansów, ludzie naturalnie uznali, że dziecko jest moje. Zresztą w swoim czasie ojciec poprosił mnie, żebym temu nie zaprzeczał.

- Dlaczego?

- On naprawdę lubił Serenę. Nie chciał jej urazić, zwłaszcza po tym wypadku, więc wszyscy przypisali winę mnie. - Wzruszył ramionami. - Moja reputacja to uprawdopodobniła.

- A lady Braybrook?

- Też chyba uważa mnie za ojca.

- Rozumiem. - Na chwilę zamilkła. - To jednak nie czyni zasadniczej różnicy. Dziewczynka jest pańską przyrodnią siostrą, a nie córką. Podobnie jak Emma albo Lissy. Musiał uzmysłwić jej, jak wielką cenę zapłacą za zatrzymanie tego dziecka.

- Christy, jedziemy jutro na kolację do Postletonów. Wyobraża sobie pani tę konwersację? Ludzie przecież dowiedzą się tymczasem, że była pani przy śmierci Jane i wzięła dziewczynkę. Jeśli ona tu zostanie, wszyscy zaczną szeptać, że nie szanuję swojej żony, skoro chcę, żeby wychowywała mojego bękarta. I bez tego dość było plotek o naszym małżeństwie!

Zapadło bolesne milczenie.

- W dodatku ktoś może się dowiedzieć, że był pan zmuszony poślubić innego bękarta - odezwała się w końcu z udanym spokojem.

To słowo zaciążyło między nimi.

- Christy, nie to chciałem powiedzieć! - Tylko co, u diabła, jeżeli nie to?

Żona zdawała się podzielać jego wątpliwość.

- Naprawdę? Nie sądziłabym, że tego typu komplikacje mogą podlegać różnym interpretacjom - powiedziała cicho. - Przepraszam, milordzie, muszę wrócić do Nan.

Zaciskając zęby, Julian skinął głową i odprowadził ją wzrokiem do drzwi. Zadawał sobie pytanie, czy Serena będzie w stanie wbić trochę rozsądku do głowy Christy. Przecież chce tylko ochronić żonę przed złośliwymi plotkami!

Gdyby udało mu się znaleźć przyzwoity dom dla tego dziecka... najlepiej u brata Jane i jego żony. Carter był porządnym człowiekiem, mimo że nieco zbyt zasadniczym, a jego żonę znano z dobroczynności. Poza tym mieli swoje dzieci. Nan mogłaby u nich bezpiecznie zamieszkać. Bo przecież bezpieczeństwo dziewczynki było dla niego nie mniej ważne niż dla Christy.

Tak. Należało posłać po Carterów. Kiedy Christy ich pozna, przekona się, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Usiadł przy biurku i wyciągnął papier. Postanowił załatwić tę sprawę od razu. Służący dostarczy list i poczeka na odpowiedź.

Christy zastała Nan tam, gdzie ją zostawiła. Siedziała na krzeselku i drapała za uchem śpiącą jej na kolanach kotkę. Służąca Beth wstała na widok pani.

- Nie odezwała się ani słowem, milady - szepnęła jej do ucha. - Tylko siedzi i głaszcze kota. - Pokręciła głową. - Biedula, co jej się stało? Przecież nikt nie zechce takiego dziecka, co nie mówi.

Christy omal się nie rozkleiła.

- Nan znajdzie się pod dobrą opieką - powiedziała jednak stanowczo, tak jakby najbardziej chciała przekonać samą siebie.

- Przynieść jakieś cerowanie, milady? - spytała Beth. - Mogę z nią trochę posiedzieć, bo przecież nie powinna być sama, prawda?

- Nie powinna - przyznała Christy. - Ale teraz ja z nią zostanę... - Zawahała się. - Może zresztą przynieś to cerowanie, Beth. Zawsze miło z kimś porozmawiać, a poza tym nie wiem, czy nie będę musiała wyjść.

Beth dygnęła i opuściła pokój.

Jak pocieszyć dziecko, któremu właśnie umarła matka? Zauważyła nietkniętą kromkę chleba na stole.

- Chcesz chleba z masłem, Nan?

Dziewczynka tylko pokręciła głową.

W pokoju stało mnóstwo zabawek, od zniszczonego konia na biegunach, przez zbiór drewnianych mieczy po wspaniałą domek dla lalek. Niestety, świat Nan właśnie się zawalił. Christy nie miała pojęcia, jak się zachować. Niewiele wiedziała o małych dzieciach. Zaczęła sobie przypominać, co robiła, kiedy Sarah była smutna. Przytulała ją. Dawała jej do zrozumienia, że jest bezpieczna i kochana. Ktoś powinien więc przytulić Nan. To na pewno było jej potrzebne.

Podeszła do krzesła, wzięła małą na ręce i posadziła ją sobie na kolanach. Przez chwilę panowała cisza, a potem Nan dziko krzyknęła i zaczęła się bronić. Przestraszona kotka czmychnęła pod stół.

Christy trzymała dziewczynkę, nie bacząc na kopanie po łydkach, przemawiała do niej spokojnym, czułym tonem. Zdawała sobie sprawę z tego, że i jej z oczu płyną łzy, ale nie przestawała mówić.

Rozległy się szybkie kroki i do pokoju wróciła Beth. Stała jak wryta.

- Och, milady! Ja ją wezmę!

- Nie, nie. Dam sobie radę.

Nan wreszcie straciła siły i wtuliła się w ramiona Christy, cicho popłakując. Christy lekko ją kołysała i głaskała po czarnych kręconych włosach. Burza już minęła i teraz dziewczynce zaczęły kleić się powieki.

- Zasnęła? - spytała chwilę potem ze swego kąta Beth. Christy skinęła głową.

- Dobrze jej to zrobi - zawyrokowała służąca.

- Tak. - Christy pamiętała, jak złościła się na ojca po śmierci Sarah. Krzyczała i płakała. I obwiniała go za wszystko, choć przynajmniej w śmierci Sarah żadnego udziału nie miał. A potem szczerze go znienawidziła, kiedy nie przyszedł na pogrzeb.

- Posłałam dawne łóżko paniemki Emmy - odezwała się znowu Beth. - Nie ma potrzeby jej rozbierać, wystarczy zdjąć buciki. Włożyłam do łóżka starą lalkę panny Emmy, żeby miała do czego się przytulić. - Wzruszyła ramionami. - Lepsze to niż nic.

- To prawda.

Christy wstała. Z pomocą Beth przeniosła dziewczynkę i ułożyła w łóżku.

- Milady z nią posiedzi? - spytała Beth.

- Tak.

- Przyniosę pani herbaty. Coś jeszcze?

Już miała zaprzeczyć, kiedy jej wzrok padł na portret zdobiący ścianę. Przedstawiał Serenę i niewątpliwie zdradzał rękę rysownika amatora. Podpis ET wskazywał, że autorką jest Emma.

- Tak, Beth. Przynieś mi, proszę, przybory do rysowania.

Skończyła, gdy na dworze było już ciemno i w domu paliły się lampy. Wcześniej Beth przyniosła jej posiłek na tacy, a dziewczynce zupeł. Zdążyły jeszcze przebrać małą w koszulę nocną, nim znowu zapadła w sen, tuląc się do ręki Christy. Obok na poduszce leżała kotka.

Podczas gdy Nan spała, Christy usiadła obok, wpatrując się w szkicownik. Żałowała, że nie potrafi zrobić lepszego portretu.

- Będiesz tu siedzieć przez całą noc?

Głos z progu tak ją zaskoczył, że omal nie upuściła szkicownika.

- Tak - powiedziała i odwróciła się, oczekując widoku zagniewanej twarzy męża. O dziwo jednak, wcale nie dostrzegła u niego szczególnego niezadowolenia. - To jeszcze bardzo mała dziewczynka. Ktoś powinien z nią być.

- Któraś ze służących...

- Ona ufa mnie.

- To znak rozsądku. - Nieznacznie uniósł kąciki ust. - Służąca opowiedziała mi, co zaszło. Mała cię nie posiniaczyła? - zapytał z wyraźną troską.

- Dziękuję, nic mi się nie stało. Braybrook kucnął przy jej krześle.

- Na pewno? Dziecko podobno dostało spazmów.

Ręka głaszcząca ją po dłoni była ciepła. Ta pieszczota obudziła w niej wspomnienia, które należało ukryć jak najgłębiej.

- Christy?

Jej wyobraźnia wciąż nie chciała się podporządkować woli.

- Wszystko jest w najlepszym porządku - zapewniła, starając się skupić uwagę na śpiącej Nan.

- Co to?

Zanim zdążyła mu przeszkodzić, wziął szkicownik z jej kolan i zaczął oglądać dość nieudany wizerunek Jane Roberts. Christy widziała ją tylko dwa razy w życiu, poza tym przeszkadzały jej w szkicowaniu wciąż żywe wydarzenia ostatnich godzin i w rezultacie rysunek został niedokończony.

Julian, milcząc, wpatrywał się w kartkę. Wydawał się w tej chwili nienaturalnie spokojny. Christy nie wiedziała, czy zrozumie jej intencje. Czy odgadnie, że chciała pomóc Nan w zapamiętaniu matki, a zarazem pokazać, że ktoś jeszcze o Jane myśli?

Oddał jej szkicownik i wstał.

- Czy rysowała pani także Sarah?

- Tak. Chciałam utrwalić jej wygląd. Rysy jego twarzy drgnęły.

- Posłałem po wujostwo dziewczynki. Przyjadą jutro i chętnie wezmą ją do siebie. - Jego głos brzmiał całkiem obojętnie.

Czy to oznaczało, że i na tym polu spotka ją niepowodzenie?

- Bez wątplenia zechce pani ich poznać i upewnić się, że roztoczą właściwą opiekę nad dzieckiem - dodał, jakby chciał uspokoić sumienie.

- Dziękuję, milordzie.

Zmarszczył czoło, ale zignorował użyty przez nią tytuł. Pochylił się nad Nan i lekko pogłaskał ją po policzku. Potem podrapał za uchem senną kotkę.

- Dobranoc, Christy.

- Dobranoc, milordzie.

Julian zmusił się do skupienia uwagi na sprawozdaniu rządcy. Carterów spodziewał się dopiero za godzinę i chciał dobrze wypełnić ten czas. A więc chaty robotników rolnych. Trzeba naprawić przed zimą. Szacunek kosztów. Należało go było porównać z pieniędzmi przeznaczonymi w budżecie na remonty. Na szczęście odpowiednia kwota się znalazła, między innymi dzięki temu, że Serena ponownie wyszła za mąż i przestała mieć udział w dochodach z posiadłości.

Jego myśli szybko jednak znowu zbłądziły. W nocy prawie nie spał, a łóżko bez Christy wydawało mu się zimne i puste. Teraz też zastanawiał się, co porabia żona. Pewnie wciąż siedzi z Nan.

Julian nie pojmował, dlaczego ma tyle wątpliwości, skoro po prostu spełnia swój obowiązek. Zabezpiecza przyszłość Nan. To, że postanowił zapisać niemałą sumę na jej utrzymanie, stanowiło przecież dowód jego szczodrości. A niewielka dodatkowa zachęta dla wujostwa, aby dobrze ją traktowali, naprawdę była aktem wielkoduszności. Tak uważaliby wszyscy.

Wszyscy z wyjątkiem jego żony. Christy ze swoimi doświadczeniami miała zupełnie inne spojrzenie na tę kwestię. Nie umiała zdobyć się na racjonalność. Proponowała rozwiązanie zupełnie nie do przyjęcia. A jednak, gdy myślał o tym, jak przyjaźnie jego żona odnosiła się do Jane i Nan, kiedy jeszcze nie знаła prawdy, sumienie nie dawało mu spokoju.

- Milordzie, przyjechali Carterowie - wyrwał go z zadumy głos kamerdynera.

- Proszę ich wprowadzić, Hallam. I powiadom milady, żeby zeszła na dół razem z dziewczynką.

- Naturalnie, milordzie.

Chwilę później stanęli przed jego obliczem Carterowie odziani w swe najlepsze odświętne stroje. Wyglądali dostatnio i szacownie.

Julian podszedł do nich, wyciągając rękę.

- Panie Carter. Pani Carter. Dziękuję za przybycie. Proszę usiąść. Lady Braybrook za chwilę do nas dołączy. - Miał przynajmniej taką nadzieję.

Carter zmarszczył czoło.

- Jego lordowska mość jest bardzo uprzejmy - powiedział. Jego żona też bąknęła parę słów i oboje przysiedli na samym skraju kanapy.

- Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci siostry, panie Carter - ciągnął Julian.

Kobieta zaczerwieniła się, a Carter stwierdził stanowczo:

- Jeśli o to chodzi, to po mojemu wyszło na dobre. Jesteśmy porządnymi ludźmi, Boga się boimy, a nie ma co ukrywać, że Jane... - Urwał, zerkając z niepokojem na Juliana. Ten milczał, więc Carter dokończył równie zdecydowanie, jak przedtem: - Ona nie żyje, więc nie należy o niej źle mówić, ale powodu do żalu nie ma. Niepojęte są wyroki boskie.

Julian nie chciał niepotrzebnych zadrażnień, więc zmienił temat i zaczął rozmawiać o zbiorach.

Carter właśnie wyrażał swoją opinię na temat sensowności posadzenia większej liczby jabłoni, kiedy drzwi się otworzyły i weszła Christy, prowadząc za rękę Nan.

Wprawdzie Julian nie spodziewał się, że dziewczynka powita krewnych okrzykami radości, ale zupełnie go zmroziło, gdy zobaczył, że na ich widok mocniej wtuliła się w spódnice Christy. Wytłumaczył sobie jednak, że jest nieśmiała i bez wątpienia szybko oswoi się z nową sytuacją. Jak jednak oswoić się z krewnymi, którzy nazywają bez skrępowania śmierć jej matki karą Bożą?

Wstał i przedstawił Carterów Christy. Powitali ją uprzejmie, ale Julian dostrzegł, że ukradkiem uważnie jej się przyglądają. Zapewne tak samo jak wielu mieszkańców tego hrabstwa zastanawiali się, w jaki sposób nakłoniła go do małżeństwa.

- A oto Nan - powiedziała Christy, delikatnie wypychając małą naprzód. - No, chodź.

Ledwo wybąkane powitanie wzbudziło współczucie Juliana. Próbował uśmiechnąć się do dziewczynki, ta jednak nie odrywała wzroku od podłogi.

Carter odchrząknął. Jego żona milczała.

Christy uniosła głowę i Julian przeżył chwilę niepokoju, która na szczęście trwała krótko.

- Zawstydziała się - odezwała się jego żona. - Jestem pewna, że państwo rozumieją jej trudną sytuację.

Carter znowu odchrząknął.

- Już mówiłem jego lordowskiej mości, że czasem wszystko wychodzi na dobre. Przyzwoitemu człowiekowi trudno żyć, kiedy wie, że jego siostra jest nie lepsza niż...

Spojrzenie Juliana sprawiło, że się zmytygował.

- Jestem pewien, że wasza lordowska mość ma ważniejsze sprawy na głowie. Z listu wnoszę, że milord chce oddać dziewczynkę pod naszą opiekę?

Julian skinął głową i powiedział wolno:

- Tak. To wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Carter nabrał pewności siebie.

- Omówmy więc warunki. W końcu jest to jedna gęba więcej do nakarmienia.

- Pani Carter - znowu odezwała się Christy. - Opieka nad Nan spocznie na pani. Co pani na to?

Carter odchrząknął.

- Bardzo przepraszam, milady, ale w moim domu ja jestem panem i tylko ja decyduję - oświadczył.

- Carter! - przywołał go do porządku Julian.

- Słucham, milordzie.

- Pamiętajcie, że lady Braybrook ma na względzie jedynie dobro dziecka.

Carter poczerwieniał.

- Bardzo przepraszam, milordzie. Nie chciałem okazać braku szacunku.

Julian skinął głową.

- Rozumiem. Naturalnie jestem gotów wyłożyć cotygodniowo pewną sumę na utrzymanie Nan. Poza tym na jej imię zostanie zapisany kapitał, w którego posiadanie wejdzie po ślubie lub po osiągnięciu pełnoletności. Carter się skrzywił.

- No tak. Nie mówię, że pieniądze na utrzymanie dziewczynki się nie przydadzą - powiedział. - Ale reszta jest niepotrzebna. Nie ma co wynosić jej nad nasze własne potomstwo. To jakoś nie przystoi, żeby takie dziecko...

- Nie przystoi? - Christy przestała zachowywać pozory uprzejmości.

- To dziecko jest poczęte w grzechu - włączyła się pani Carter. - Nie potrzebujemy zapłaty za spełnienie chrześcijańskiego obowiązku.

Julian drgnął. Słowo „obowiązek" nigdy nie zabrzmiało w jego uszach bardziej bezdusznie. A Nan przywarła do Christy tak, jakby ktoś zamierzył się na nią pięścią.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Christy, kładąc rękę na ramieniu Nan. - Ale święty Paweł uważał, że gdyby miłości nie miał, choćby i ciało swoje wydał na spalenie, nic by mu to nie pomogło.

Pani Carter wydeła wargi.

- Powiedzieliśmy, że bierzemy dziewczynkę, i postąpimy jak należy - oświadczyła cichym, stanowczym głosem. - Wychowamy ją surowo wśród bogobożnych ludzi. Tak się należy, więc zrobimy wszystko, żeby grzech mojej szwagierki się nie pienił. Patrzcie

tylko na tę wstążkę w jej włosach. To próżność! - Ostatnie słowo zabrzmiało prawie jak splunięcie.

- Wstążka - wycodziła przez zęby Christy - była ostatnim podarunkiem dla Nan od jej matki!

Carter zwrócił się do Juliana.

- Najlepiej zabierzemy dziewczynkę od razu, milordzie. Przy nas szybko zapomni.

- Nie! - ucięła Christy ostro i stanowczo.

Julian głęboko odetchnął. Nie mogli prowadzić tej rozmowy teraz. Na pewno nie w obecności dziecka. Tymczasem Christy mówiła dalej:

- Przyszedł list z wdowiego domu, milordzie. Pana macocha prosi, abym złożyła jej wizytę razem z Nan. Odpowiedziałam już, że przyjdziemy.

Julian uznał, że pretekst, bez wątpienia wymyślony naprędce, jest bardzo zręczny. Carter zmarszczył czoło.

- Za pozwoleniem, milady, lepiej nie. Jeszcze dziewczynka będzie miała potem głupie myśli ponad jej stan. Widzi mi się, że powinniśmy wziąć ją teraz.

- Ano tak - potwierdziła jego żona. - I już pojedziemy.

Wyglądało to, o czym Julian dobrze wiedział, na racjonalne rozwiązanie, tyle że...

- Obawiam się, że moja macocha nabiłaby potem głowę lady Braybrook na dzidę - zażartował. - Poza tym rzeczy Nan nie są spakowane. - Sam nie wierzył, że to mówi, a sądząc po minach Carterów, i oni czuli się zaskoczeni. - Przyślę wiadomość, kiedy wszystko będzie gotowe. Dziękuję jeszcze raz za przybycie. Pozwólcie, że was odprowadzę.

Rozdział dziewiętnasty

Gdy wrócił do biblioteki, Christy siedziała na krześle przy oknie. Była tam sama.

- Gdzie Nan? - spytał.

- Ma pan na myśli „dziewczynkę”, milordzie?

Jeszcze nigdy nie słyszał takiej zaciętości w jej głosie.

- Posłałam po Beth, żeby wzięła ją do Sereny. Ja też się tam wybieram.

A więc wcale nie był to pretekst.

- Jak pan mógł?! - wybuchnęła.

- Christy...

- Jak mógłby pan się zgodzić na oddanie dziecka, a tym bardziej własnej siostry, pod opiekę takich ludzi?

- Carterowie mają opinię uczciwych, ciężko pracujących ludzi.

- Ani się z nią nie przywitali, ani nie próbowali porozmawiać. Nawet nie widzieli potrzeby mówić o niej, używając imienia! - złościła się Christy. - Carter o mało co nie powiedział przy niej że Jane zasłużyła na swój los! Jak pana zdaniem oni będą ją traktować? Nawet wstążka we włosach okazała się występkiem!

Julian też wpadł w złość.

- Będą tłumaczyć się przede mną, jeśli źle się nią zajmą! oświadczył. - Kiedy zrozumieją, że pieniądze płyną do nich warunkowo...

- Pieniądze! - wybuchnęła. - Naprawdę sądzi pan, że można za nie kupić to, czego Nan potrzebuje? Nawet jeśli nie będą się nad nią znęcać, to jak może być u nich szczęśliwa, jeśli nikt jej nie będzie kochał? Przecież ona właśnie straciła matkę! Nie rozumie pan tego? Może pan jej zapisać majątek, zmusić ludzi, żeby dobrze ją traktowali, stoczyć z tego powodu pojedynek... a to i tak nie będzie nic warte!

Zerwała się z miejsca. Wydawała się w tej chwili pokonana i zniechęcona.

- Dokąd się wybierasz? - spytał surowo.

- Odwiedzić Serenę - przypomniała mu, idąc do drzwi.

Może lepiej było dać jej w tej chwili spokój i wrócić do tej rozmowy, kiedy Christy będzie spokojniejsza.

- Pamiętaj, że jesteśmy zaproszeni na kolację do Postletonów? Musimy stąd wyjechać o wpół do piątej.

- Naturalnie, milordzie. - Od drzwi jeszcze się odwróciła. - Pod warunkiem, że uważa mnie pan za stosowną osobę w tak eleganckim towarzystwie.

- Do diabła, Christy! Nie opowiadaj nedorzecznosci.

- Ale to prawda - odparła, otwierając drzwi.

- Jesteś moją żoną!

Aż nią zatrzęsło.

- Tak. Chociaż pewnie byłoby dużo lepiej, gdyby ta osa usiadła na mojej szklance. Bardzo głośno zamknęła za sobą drzwi.

Doczytał do końca to przekłete sprawozdanie i spisał polecenia w sprawie napraw w domach robotników rolnych. Potem załatwił bieżące rachunki, napisał do Modbury'ego list o inwestowaniu w przewóz towarów drogą morską. Odpowiedział też pastrowi na informacje o pogrzebie Jane, wyznaczonym na pojutrze. W ten sposób wyczerpały się bieżące sprawy i musiał wrócić myślami do ostatniego snu z żoną.

Czy Christy naprawdę sądziła, że ulżyłoby mu, gdyby to ona umarła? Chyba po prostu poczuła się dotknięta i powiedziała, co jej ślina na język przyniosła. Prawdą było jednak, że to on ją uraził. Musiał też przyznać, że dostrzega logikę w jej rozumowaniu. Jej pochodzenie nie było w niczym lepsze niż pochodzenie Nan.

Z drugiej strony, wszedł w spór z jej ojcem, księciem Alcastonem. Potępił jego postępowanie. Przecież Alcaston zachowywał się podobnie do Carterów. Też nie widział powodu, by pamiętać imię córki.

Czyżby nie łączyło ich z Christy nic więcej oprócz honoru i obowiązku? A namiętność dzielona przez nich w łóżu? Christy zauważyła niedawno, że to tylko przyjemność cielesna. Bardzo go tym ubodła. Wydało mu się, że świat nagle stracił barwy. Zaraz... A co Christy powiedziała Carterom... Coś ze świętego Pawła...

Odepchnął krzesło od biurka i podszedł do okna. Spojrzał na rozległe partery i ciągnący się dalej park. Widział wśród drzew wdowi dom i niewielkie postaci na trawie. Emma z Mattem i Davym robili mnóstwo hałasu, bo słyhać było ich głosy. Zdaje się, że

grali w lotki. Ale Nan tam nie było. Pewnie siedziała pod dębem z Christy i Sereną. Dostrzegł tam dwie dorosłe postaci, więc zapewne była też jeszcze jedna mniejsza.

Christy mówiła coś o świętym Pawle... Odsunął od siebie tę myśl, bo ważniejsze było pytanie, co robić. Jego żona miała rację. Nie mógł oddać Nan Carterom. Nie pozwoliłoby mu na to sumienie. Naturalnie wiedział, że gdyby nie Christy, prawdopodobnie załatwiłby tę sprawę przez pełnomocnika i nawet nie spotkał się z tymi ludźmi. Tyle że przecież nie można małej dziewczynce zabronić wspomnienia zmarłej matki. Nie można zabronić mówienia o niej z miłością.

Znów przypomniał mu się święty Paweł. Zirytowany tym, że tak go ta myśl nurtuje, poszedł do kąta, w którym stała rodzinna Biblia. Zdjął ją z półki i zaczął kartkować Nowy Testament. Znalazł pierwszy list do Koryntian. „Choćbym znał wszystkie tajemnice i posiadał całą wiedzę (...) a miłości bym nie miał, byłbym niczym. I choćbym rozdał całe mienie swoje, i choćbym ciało swoje wydał na spalenie, a miłości bym nie miał, nic mi to nie pomoże”.

Wróciła do niego ich rozmowa. „Jak może być szczęśliwa, jeśli nikt jej nie będzie kochał?” - spytała go Christy. Te słowa stawiały go w bardzo niekorzystnym świetle.

W połowie drogi przez park zorientował się, że wcześniej pod dębem widział Serenę z Havergalem. Nan też z nimi była, siedziała niedaleko na trawie. Zdawało się, że Serena uczy ją szyc. Christy jednak nigdzie nie zauważył. Widocznie weszła do domu.

Nie mógł się jednak o tym przekonać, bo Davy dostrzegł jego obecność i podbiegł z wielkim krzykiem.

- Przyszedłeś pograć? Świetnie! Będziesz ze mną!

Julian podniósł go z ziemi.

- Spokojnie. W co gracie?

- W lotki. Nie widzisz?! - obruszył się Davy. - Nan nie gra. Siedzi z mamą i wujkiem Nigelem, bo mama powiedziała, że jest jej smutno.

- Widzę. A gdzie jest ciocia Christy?

- Ona nie lubi, żeby ją nazywać ciocią - poinformował go Davy. - Zawsze chce, żeby mówić do niej po prostu „Christy”.

- Ale gdzie ona jest?

Davy gwałtownie się poruszył i Julian musiał go odstawić na ziemię.

- Nie wiem. Może w domu. Zagrasz? Ja byłem z Emmą, a Matt sam.

- Zastanowię się.

W domu raczej Christy nie było, bo wtedy towarzyszyłaby jej Serena. Może wróciła już do dworu? Tylko dlaczego zostawiła tutaj Nan?

- Mamy lemoniadę. Chodź się napić. - Davy pociągnął go w stronę dębu.

Gdy się zbliżyli, Serena popatrzyła na nich, marszcząc czoło. Havergal już dzierżył w dłoni dzbanek z napojem

- Napije się pan? - spytał.

- Dziękuję, chętnie - powiedział Julian, kierując wzrok ku Nan. Odwzajemniła jego spojrzenie, ale się nie odezwała.

- Bardzo dobrze ci idzie, Nan - pochwaliła ją Serena. - Staraj się, żeby ściegi były równe, tak jak tu. - Uśmiechnęła się do Juliana. - Jest o wiele lepszą uczennicą niż w swoim czasie Emma i Alicja. Czyżbyś szukał Christy? Poszła się przejść. Na pewno niedługo wróci. - Sięgnęła po parasolkę. - Tymczasem możesz mnie zawieźć na mały spacer.

Wypił duszkiem podaną mu przez Havergala szklanekę lemoniady.

- Dobrze, Sereno. - Bez wątplenia miał się zaraz dowiedzieć, dlaczego nie wolno mu dopuścić do tego, aby Christy wychowywała Nan. Serena tymczasem otwierała parasolkę.

Julian był przyzwyczajony do wożenia macochy, ale nigdy nie lubił prowadzić konwersacji z różową parasolką, ozdobioną frędzlami. Jednak ledwie znaleźli się poza zasięgiem słuchu reszty towarzystwa, Serena rozpoczęła bardzo rzeczową rozmowę.

- Po odejściu Christy przedyskutowałam tę sprawę z Nigelem. Jeśli naprawdę uważasz, że nie jesteś w stanie przyjąć siostry pod swój dach, to Nan może zamieszkać u nas.

Julian wlepił zdumione spojrzenie w różową płaszczyznę. Serena miała zadziwiająco umiejętność wprawiania go w kompletne osłupienie.

- Ty wiedziałaś?

Parsknięcie macochy było bardzo wymowne.

- Przecież umiem liczyć. W tym okresie, kiedy Nan została poczęta, nie było cię w Amberley ani nawet w okolicy. Mam zresztą twoje listy z Paryża właśnie z tego czasu. Wiedziałam więc od samego początku. Kiedy rozeszły się plotki, zapytałam wprost twojego ojca, no i przyznał się. Upierał się jednak, żeby zostawić sprawy tak, jak są, bo nie chciał postawić mnie w kłopotliwej sytuacji. Niezbyt mi się to podobało, ale skoro niktogo to nie krzywdziło, zgodziłam się.

- I jesteś gotowa ją wychować? - spytał jeszcze bardziej zdumiony niż przed chwilą.

Parasolka zamknęła się z trzaskiem, a Serena posłała mu spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Byłam wściekła na jej ojca, a nie na nią! Naturalnie więc jestem gotowa się nią zająć. Z tym że chyba nie będę upierać się przy sprostowaniu tego kłamstwa o twoim ojcostwie. Wtedy wyjdę na świętą, a nie na głupią. Naturalnie gdybyście chcieli wziąć ją z Christy, możemy ujawnić prawdę, żebyście to wy byli świętymi, a ja męczennicą.

A już myślał, że macocha tego dnia niczym więcej go nie zaskoczy.

- Rzecz w tym, mój drogi, żeby nie dać ludziom najmniejszej przesłanki pozwalającej sądzić, że jakaś sytuacja jest dla ciebie krępująca - wyjaśniła i ponownie rozłożyła parasolkę. Zaszleściły frędzle. - Kiedy podejmiesz decyzję, daj mi znać. Proponuję też, żeby dzisiaj Nan została u mnie, bo przecież jedzicie z Christy na kolację, a to biedne dziecko potrzebuje towarzystwa. Służąca może przynieść z dworu jakieś jej rzeczy.

- Dobrze - powiedział Julian. - I jeszcze się zastanowię, co dalej z małą.

Parasolka wyraźnie drgnęła.

- Zrób to koniecznie. Nie pozwól tylko, żeby rządziły tobą uprzedzenia. One zresztą i twojemu małżeństwu nie pomagają. A teraz możesz odwieźć mnie z powrotem do Nigela i Nan. Potem wracaj do domu, bo Christy na pewno też wkrótce się pojawi. Miała w kieszeni zegarek.

Christy jednak nie wróciła. O wpół do czwartej Julian zaczął się martwić. Pół godziny później uległ panice. Wkrótce powinni wyjechać do Postletonów. Gdzie, u diabła, podziała się jego żona?

Spojrzał na Twigga.

- Jesteś pewien, że nie ma jej w parku?

- Całkowicie, milordzie. Szukaliśmy wszędzie. Wysłałem też ludzi nad rzekę, ale...

Reszty Julian nie usłyszał. Wiedział przecież, że Christy nie pływa dobrze. Gdyby wpadła do rzeki... Nie. Należało rozważyć również inne możliwości. Christy nie miała ochoty być na tej kolacji, może więc po prostu wymyśliła sobie taki wybieg. To wyjaśnienie nieco uciszyło jego niepokój.

- Przygotuj mi konia - polecił Twiggowi. - Poszukam jej sam.

Cztery godziny później nie był ani trochę mądrzejszy. Nie znalazł żadnego śladu żony. Ochrypl od wołania i właśnie wjechał na polanę, którą przedtem odwiedził już dwukrotnie. A może Christy tymczasem wróciła... Jeśli nie, wyjedzie jej szukać ponownie, ale najpierw musi sprawdzić.

Był już bardzo blisko dworu, gdy usłyszał krzyk. Jeden ze stajennych biegł mu na przeciwko.

- Milordzie! Milady się znalazła! Jest w domu. Natychmiast puścił konia galopem. Zatrzymał się pod stajniami w niecałą minutę. Rzucił stajennemu wodze.

- Czy coś jej się stało? - spytał.

Chłopak spojrzał na niego wyraźnie rozweselony.

- Nie sędzę, milordzie. Powiedziała, że po prostu spacerowała po lesie. I ma.

Julian tego nie usłyszał, bo już biegł w stronę domu. Christy spacerowała po lesie! Przestraszyła go swym zniknięciem nie na żarty, a co gorsza, nie pojechali przez to do sąsiadów na kolację.

Wszedł do domu bocznymi drzwiami i wnet natknął się na Hallama.

- Gdzie ona jest?

Służący przyjrzał mu się z nieukrywanym niepokojem.

- W holu, milordzie. Myślę jednak...

Również opinia Hallama nie została wysłuchana. Julian bowiem układał w myślach reprimendę, jakiej udzieli Christy, gdy tylko ją zobaczy.

Wkroczył gniewnie do holu i zastał tam swoją żonę pochyloną nad czymś przy kominku.

- Gdzie byłaś, do diabła! - zagrzemiał.

Poniewczasie uświadomił sobie, że otacza ją spory wianuszek służby.

- Z drogi! - zawołał do wycofującej się szybko służby.

Z głośnym stukiem obuwia o kamienną posadzkę zbliżał się do swej klęczącej połowicy. Jej pozę uznałby z pewnością za bardzo obiecujący znak pokory, gdyby nie to, że zdążył już trochę Christy poznać.

Zdawało mu się zresztą, że zmierzyła go dość nieprzyjaznym spojrzeniem. Nie był tego pewien, bo bardzo mu ulżyło, że widzi ją całą i zdrową. W każdym razie jednak lęku nie okazywała ani trochę.

Szybko zresztą jego uwagę zwrócił stan, w jakim znajdowała się żona. Jej batystowa suknia była podarta, a ona sama wyglądała tak, jakby leżała niedawno twarzą w błocie. Ramiona miała brudne i podrapane, a dłonie... miało się wrażenie, że zrobiła nimi głęboki podkop. Były dosłownie czarne, czarna była też ziemia za jej paznokciami. Ogarnął go lęk, że zaszła jakaś nieodwracalna szkoda.

- Gdzie, u diabła...?

Rozległ się żaloszny jęk, który odebrał mu mowę. Chwilę później Julian ujrzał psa, tak w każdym razie należało domniemywać. Stworzenie wyglądało jak wyrosnięty szczeniak, ale jego rodowód mógł być przedmiotem długich domysłów. Chudy, niemiłosiernie upačkany, miał prawdopodobnie białą sierść z brunatnymi plamami i kłapciaste ucho.

- Skąd to się wzięło? - spytał stanowczo.

- To - odparła Christy z naciskiem, który Julian uznał za niepotrzebny - jest pies. I...

- Czy jesteś tego absolutnie pewna? - spytał z gryzącą ironią.

Mimo rozpalonych policzków Christy dzielnie zniosła jego spojrzenie.

- Absolutne. Nawet ja wiem, że suki nie znaczą drzew. Julian mężnie zniosł tę odpowiedź.

- Dziękuję - powiedział, starając się zapomnieć o tym, że ma ją ochotę udusić... a może pocałować. - Jaki więc dowód możesz przedstawić na poparcie poglądu, że to coś jest psem? I gdzie tego psa znalazłaś?

- W lesie - odparła Christy dziwnie potulnym tonem. - On... ja... Bawiliśmy się. W przynoszenie patyka i w polowanie na króliki. W każdym razie on...

- I całkiem zapomniałaś, która godzina, bo tak akurat było wygodnie. Uznałaś, że kundel przybłąda jest ważniejszy niż wypełnienie zobowiązań towarzyskich, więc zabiłaś w lesie Bóg wie jak długo. A ja omal nie zamartwiłem się z tego powodu na śmierć! - dokończył.

- Martwił się pan?

Jej ton sprawiał takie wrażenie, jakby sam ten pomysł był absurdalny.

- Naturalnie! A jak myślisz, co innego mogłem przeżyć, skoro nie wróciłaś do domu o umówionej porze? Ale co to cię obchodzi! Zabawiałaś się z psem, którego należałoby zastrzelić jako bezpańskiego włóczęgę.

- Proszę na mnie nie krzyczeć! - rozzłościła się Christy. Czy pan nie widzi, że on jest ranny? I że go pan straszy?

Głos jej się załamał, a łza zostawiła mokry ślad na brudnym policzku.

- Niech pan lepiej stąd idzie - dodała bezsilnie.

Christy nie mogła naturalnie wiedzieć, że w ciągu ostatnich godzin dokładnie przemyślał swoje stosunki z żoną i uznał, że wina leży wyłącznie po jego stronie. Nie mogła też wiedzieć, że naprawdę zamartwiał się o nią niemal do szaleństwa.

- Co mu się stało? - spytał.

Zapadło milczenie.

- Prawa tylna łapa - rozległo się w końcu ciche wyjaśnienie.

Julian przykucnął, co wzbudziło warkliwy protest szczeniaka.

- Spokojnie, kolego - mruknął, wyciągając przed siebie pięść, aby szczeniak mógł powąchać. Ten kłapnął, a potem wydał żaloszny, przeciągły jęk. Julian dalej przemawiał do niego śpiewnym zawodzącym głosem, wiedząc, że ważny jest sam ton, a nie słowa.

Christy przyglądała się urzeczona zmianie, jaka w nim zaszła.

- Masz szczęście, że Christy cię znalazła. W jaką głupią awanturę się wdałeś, co?

Szczeniak ostrożnie powąchał wyciągnięte ramię Juliana.

- No, teraz lepiej. Widzisz? Nie zjadam psów. O, to jest dobre miejsce do drapania, prawda, chłopcze? No, spokojnie.

Miarowym ruchem zaczął drapać zwierzę za uchem.

- Zobaczmy teraz, w czym problem. Ach, widzę. W jaki sposób tak się urządziłeś, mały?

- Co mu się stało? - spytała z niepokojem Christy.

- Ma wybitą nogę - wyjaśnił Julian. - Paskudna kontuzja. Nie przejmuj się, kolego. Jak to się stało?

Christy zorientowała się po chwili, że to pytanie jest adresowane do niej.

- Wracalam już do domu... razem z nim - dodała wyzywająco. - I on pobiegł za królikiem. W głębi lasu jest takie powalone drzewo. Na samym brzegu rzeki. No, i pies zaplątał się w korzenie. I... - Zawahała się. Wiedziała, że za chwilę Julian znowu wpadnie we wściekłość.

- Proszę mówić dalej.

Odetchnęła.

- Dziwne, ale zdaje się, że cały brzeg rzeki był tam zryty norami i...

- Co to było za drzewo? - spytał groźnie. Szczeniak natychmiast się spłoszył. - Spokojnie, kolego. - Julian szybko się zmitygował. - No, więc co za drzewo. Christy?

- Dąb. Bardzo brzydko pachnący.

- Znam to miejsce. Tam mieszkały borsuki, a teraz w norach siedzą lisy - powiedział ponuro. - Proszę mówić dalej.

- Kiedy go zawołałam, nie wyszedł do mnie, słyszałam jednak, że ujada... potem był taki hałas, a on wciąż szczekał, tyle że coraz ciszej, tak głucho... - Przeszył ją dreszcz, kiedy to sobie przypomniała.

- Chcesz powiedzieć, że tam zapadła się ziemia?

Skinęła głową.

- Jak więc ten pies wyszedł z pułapki? - Przyjrzał się bacznie jej zniszczonej sukni. Z pewnością nie takiego wyglądu powinien oczekiwać wicehrabia od swojej małżonki.

- Zeszłam na dół po korzeniach i go wydobyłam.

Julian zbladł.

- Aby wyciągnąć tę skundloną parodię psa, wlażaś do borsuczej nory, która już dwa razy się zapadała?

- Wtedy w ogóle nie myślałam o jego przodkach! - odparła ze złością. - A pan bez wątpienia zostawiłby go na łasce losu i spokojnie wrócił do domu.

Nie zauważył, że się rozpląkała, dopóki drżącymi dłońmi nie otarła łzy z policzka.

- Christy, to tylko pies. A gdybyś też wpadła w pułapkę, mogłabyś nawet z niej nie wyjść! Przecież nie mieliśmy pojęcia, gdzie się podziałas!

- Nie mogłam go tak zostawić! - odparła, choć wiedziała, że Braybrook ma rację.

- Pewnie nie - mruknął Julian i dodał: - Trudno, musimy się nim zająć.

- Jak? - spytała. - Ta łapa wygląda bardzo brzydko.

- Zapewniam cię, że również boli go odpowiednio. Myślę jednak, że Twigg będzie umiał ją nastawić. Kiedy byłem chłopcem, nastawił mi kiedyś wybity obojczyk. Proszę pociągnąć za sznur dzwonka. Zaraz po niego pošlemy.

Christy spełniła polecenie, a potem zerknęła na męża, pocieszającego skundlonego szczeniaka.

- Julianie?

Podniósł wzrok. W jego niebieskich oczach było zadziwiająco dużo smutku.

- Przykro mi z powodu tej kolacji - powiedziała. - Pewnie mi pan nie uwierzy, ale szłam już do domu, żeby w porę wrócić. Naprawdę.

Twigg pojawił się błyskawicznie. Należało przypuszczać, że to kamerdyner czuwał gdzieś w pobliżu, licząc się z tym, że trzeba będzie przyjść pani z odsieczą. Julian pomyślał o tym z dużą niechęcią.

- Ale paskudnie się urządził - powiedział Twigg, któremu wystarczyło jedno spojrzenie na psa, by to stwierdzić. - Pan zresztą powinien coś o tym wiedzieć. - Uśmiechnął się do Juliana. - Na pewno pamięta pan, jak to boli.

- Aż za dobrze - odparł kwaśno. - Umiesz to nastawić?

- To proste, jeśli państwo pomogą. Mógłbym zawołać paru ludzi, ale on na pewno wolałby, żeby za dużo obcych koło niego nie było.

Christy przełknęła ślinę.

- Co mam robić, Twigg? Nie znam się na psach.

- Poradzi sobie pani - zapewnił ją z uśmiechem. - Nie mogę napić go brandy, więc pan niech dobrze trzyma go od przodu. - Przesłał miłady konfidencjonalny uśmiech. - W ten sposób jeśli pies kogoś ugryzie, to właśnie pana.

- Dziękuję - odparł ponuro Julian. - Chcesz referencje czy ci niepotrzebne?

Ale bystry stary Twigg patrzył teraz na przegub Christy.

- Pani zresztą już też jest pogryziona, prawda? Julian wbił wzrok w krwawe punkty na jej ręce.

- Christy, do diabła, jak to się stało?!

- To chyba ja uszkodziłam mu łapę, kiedy go wyciągałam. Wszystko przez to, że nora... Musiałam się spieszyć.

Unikała jego spojrzenia. Juliana przeszedł dreszcz. Gdyby Christy nie zdołała wyjść z pułapki, mogliby nawet nigdy jej nie znaleźć... Na szczęście Twigg przystąpił już do pracy.

- Teraz, miłady, skoro milord trzyma szczeniaka, pani musi złapać go poniżej uda, o tak! - Sękatą dłonią pokazał jej prawidłową pozycję. - Dobrze. Teraz będzie mi łatwiej tak wykręcić nogę, żeby z powrotem trafiła do stawu.

Christy przełknęła ślinę.

Twigg spojrział na nią współczująco.

- Proszę zamknąć oczy. Nie musi pani patrzeć na to, co będę robił. Pies na pewno się rozjazgocze, ale na to nie ma rady.

Christy zamknęła oczy. Łzy płynęły jej po twarzy, bo szczeniak wył rozdzierająco, ale trzymała go, jak jej przykazano. Wreszcie usłyszała triumfalny okrzyk Twigga:

- No, jest! Dobra robota, proszę pani. Udało się!

Półżywa Christy otworzyła oczy. Rzeczywiście, psia noga znów wyglądała normalnie.

- Pies musi teraz przez parę dni odpoczywać - powiedział Twigg. - Mogę zabrać go do mnie, do stajni - dodał, spoglądając na Juliana. - Tylko co z nim zrobić potem?

To pytanie zaskoczyło Juliana.

- Popytaj w okolicy, czy komuś nie zginął. Jeśli nie, to może jakiś gospodarz ze chce go dla dzieci.

Christy znieruchomiła.

- Nie mogę go zatrzymać? - spytała głosem, który skrywał przeświadczenie, że dzieje jej się krzywda.

Rozdział dwudziesty

Julian wytrzeszczył oczy. Czym innym było zaopiekować się rannym szczeniakiem, póki nie odzyska sił, czym innym zaś wziąć go na stałe. Po co trzymać takiego załóżnie wyglądającego kundla?

- Christy, jeśli chcesz psa, możesz go dostać. Ale porządnego psa, nie... - Urwał.

- Czy rodowód jest taki ważny, milordzie?

- Tak. Przynajmniej... - Urwał raptownie, usłyszał bowiem, co powiedział.

Christy spojrzała mu w oczy.

- Wobec tego taki pies dla mnie wystarczy. Ma ogon, którym będzie merdał na mój widok, uszy, żeby je postawić, kiedy go wołam, i oczy, żeby mi powiedzieć... - Rozpaczliwie zamrugła. - Więcej mi nie trzeba. Obawiam się, że nie mam takich eleganckich wymagań jak pan, milordzie.

- Christy, wcale nie chciałem powiedzieć... - A jednak powiedział i Christy to słyszała. Z każdą chwilą tracił w jej oczach. - Naprawdę go chcesz?

Skinęła głową.

- Nie mam nic przeciwko temu. - Westchnął. - Tyle że jeśli ma to być pies domowy, trzeba go będzie ułożyć.

Uśmiechnęła się trochę niepewnie, ale z wdziękiem.

- Ułożeniem mogę się zająć - zaproponował Twigg. - Moja kobieta ucieszy się ze szczeniaka, bo będzie miała czym się zająć, a kiedy pies się nauczy wszystkiego, co trzeba, może iść do dworu. - Zwrócił się do Christy. - Jeśli będzie pani teraz codziennie do niego przychodzić, a gdy wydobrzeje, brać go na spacer, to szybko zrozumie, czyj jest.

Zachwycona Christy wstała. Chciała podziękować Twiggowi, ale nagle zakręciło jej się w głowie.

- Christy!

Chwyciły ją mocne ramiona.

Gdy oprzytomniała, siedziała przy długim stole, a Julian mocno ją obejmował.

- Christy, dobrze się czujesz?

- Całkiem dobrze, milordzie. Musiałam się zmęczyć. Powinnam iść na górę, żeby się położyć.

- Za chwilę - powiedział, bacznie wpatrując się w jej twarz.

Zaczerwieniła się, widząc, że jego wzrok wędruje po jej podrapanych i brudnych dłoniach. Znow jednak zakreśliło jej się w głowie.

Julian widocznie to zauważył, bo chwilę potem niósł ją do sypialni. Jak przez mgłę słyszała różne głosy. Julian kazał przygotować dla niej kąpiel i przynieść kolację. Bezsilnie oparła mu głowę na ramieniu.

Chwilę potem bardzo delikatnie posadził ją na fotelu przy kominku i wilgotną szmatką zaczął jej omywać twarz. Nawet nie była w stanie zaprotestować, a tymczasem Julian oczyścił z błota jej ramiona. Miała takie wrażenie, jakby na szmatce pozostawały też jej strach i uraza.

Dłonie Juliana czyniły cuda. Zamknęła oczy urzeczona ich delikatnością. Było jej przyjemnie, że mąż tak czule się nią zajmuje. Ostatni raz zaopiekowano się nią tak troskliwie, kiedy jako mała dziewczynka rozbiła sobie kolano. Z zadumy wyrwał ją głos Beth.

- Maść żywokostowa, milordzie. Nie ma nic lepszego na takie zadrapania.

- Dziękuję.

Wcieranie maści okazało się bardzo przyjemne. Dziesiątki muśnięć i delikatnych dotknięć twarzy, rąk i ramion. Zanim Julian skończył pracę, myślał już tylko o tym, że chciałby żonę pocałować. Naturalnie w obecności służby nie mógł tego zrobić. Poza tym Christy musiała teraz dobrze się wyspać.

Nigdy przedtem nie uświadamiał sobie tego, jak głęboko można kogoś pragnąć. Uczucie, jakie budziła w nim Christy, było nie tylko silniejsze niż to, którego doznawał kiedyś w obecności atrakcyjnych kobiet. Było również zupełnie inne. Pragnął jej całej, nawet jeśli dotąd wmawiał sobie, że to nieprawda. Potrzebował i jej ciętego języka, i

urzekającego wdzięku, i bezkompromisowej szczerości w każdej sytuacji, i dumy. Taka właśnie była Christy. Jego żona.

- Przepraszam, milordzie - przerwała mu rozmyślenia Beth. - Kąpiel gotowa.

Musiał wstać, a to wymagało od niego w tej chwili wielkiego wysiłku.

- Będę u siebie - powiedział. Obiecał sobie, że gdy tylko służba położy Christy do łóżka, przyjdzie ją odwiedzić, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Christy potulnie poddawała się zabiegom Beth. Bardzo bolało ją miejsce po ugryzieniu na prawym nadgarstku, ale ból łagodziło wspomnienie Juliana, czyszczącego jej ranę i owijającego ją bandażem. Był przy tym taki delikatny!

Tymczasem została wmyta i nakarmiona. Pożywna ciepła zupa dodała jej sił. I tak jednak z przyjemnością się położyła, gdy Beth jej to zaproponowała zaraz po posiłku. Słyszała jeszcze krzątanie lokajów wynoszących wannę.

- Czy jeszcze czegoś potrzeba, milady? - spytała ją zaraz potem służąca.

- Nie, dziękuję. Tylko zdmuchnij świece. To wszystko, będę dzwonić dopiero rano.

Zdawało jej się, że mogłaby teraz przespać kilka dni. Zmęczone było nie tylko jej ciało, lecz i dusza. Leżąc na miękkich poduchach, słuchała, jak Beth zdmuchuje kolejne świece i widziała gęstniejący w pokoju mrok.

Po wyjściu Beth okazało się jednak, że zasnąć nie jest łatwo. Wraz z ciemnością pojawił się bowiem lęk. Ślepy, bezrozumny lęk. Nieustannie przypominała sobie osuwającą się ziemię z kamieniami i wielki pień drgający nad krawędzią osuwiska. Znowu czuła, że ma sekundy, by ratować życie, bo inaczej ciemność ją pożre.

Odetchnęła głęboko. Leżała w swojej sypialni. Julian był za ścianą. Przyszedłby natychmiast, gdyby tylko zawołała. Wiedziała, że tego nie zrobi, bo nie chciała się z nim dzielić swoją słabością, ale ta świadomość dodała jej trochę otuchy. Postanowiła wpuścić do pokoju księżycową poświatę. Wstała więc i podeszła do okna, by rozsunąć ciężkie zasłony. Widok pogodnego nieba ostatecznie ją uspokoił.

Odwróciła się, chcąc wrócić do łóżka, i nagle krzyknęła przerażona. Przy drzwiach przesunął się cień.

- Christy! - Julian znalazł się przy niej tak szybko, że drugi raz krzyknąć już nie zdążyła. - Pst, to ja. Chciałem tylko zobaczyć, czy dobrze się czujesz, i sprawdzić, czy

nic cię nie dręczy. - Kojącym ruchem pogłaskał ją po głowie. Chciała skłamać, ale drżenie ciała ją zdradziło.

- Przestraszył mnie pan. Postanowiłam wpuścić tu trochę światła, bo było tak ciemno. I okropnie pachniało... - Wiedziała, że mówi od rzeczy, że wciąż wraca do niej groza osuwiska. - Przepraszam za tę kolację. Naprawdę już wracałam do domu.

Julian mocno ją objął.

- Kiedy znikłaś bez śladu, bałem się, że cię stracę. A potem dowiedziałem się, jak niewiele do tego brakowało... - Dreszcz wstrząsnął jego ciałem. O dziwo jednak, poczuła się dzięki temu pewniej. - To ja przepraszam za to wszystko, co powiedziałem. Ta kolacja wcale nie była taka ważna. - Niezręcznie dotknął wargami jej powieki, potem skroni. A potem puścił ją i cofnął się o krok. - Czy jeszcze czegoś potrzebujesz?

Przełknęła ślinę, przywołując na pomoc dumę. Chciała go zapewnić, że wszystko jest w najlepszym porządku, że nawet się nie przestraszyła.

- Tylko ciebie.

Jej szept był ledwie słyszalny, widziała jednak, że zrobił na nim wrażenie. Twarz gwałtownie mu się zmieniła.

- Chcesz, żebym został z tobą przez całą noc? Żebym leżał obok i cię obejmował?

Byłoby łatwo i bezpiecznie zapewnić go, że właśnie o to chodzi. Ale to nie była prawda.

- Nie - powiedziała. - Muszę poczuć, że jeszcze żyję. Potrzebuję ciebie.

- Christy.

Więcej słów nie było trzeba. Oboje zwarli się w namiętym pocałunku. A potem Braybrook wziął ją na ręce i zaniósł do swojej sypialni, na swoje łóżko. Sprawnymi ruchami pozbawił okrycia najpierw ją, a potem siebie, aby nic nie przeszkadzało im cieszyć się sobą.

- Christy, zaufaj mi. Chcę cię pieścić z miłością - powiedział cicho.

Zbudził się, gdy słońce stało wysoko. Przekręcił się na drugi bok, słuchając dochodzącego zza okna dzwonienia skowronka, i ze zdziwieniem przekonał się, że leży w łóżku sam.

Wszedł do sąsiedniego pokoju. Śladu po Christy tam nie było, zastał za to jej służącą. Szeroko otworzyła oczy, widząc, że jeszcze nie dokończył wiązania szlafroka, i zaraz potem skromnie spuściła wzrok. Zrobiło mu się głupio. Powinien był najpierw coś na siebie włożyć. A tak cała służba będzie miała dzisiaj powód do śmiechu.

- Wiesz, gdzie jest twoja pani? - spytał.

- Tak, milordzie. Pani wybrała się z samego rana do wdowiego domu po Nan. Teraz są razem w pokoju dziecięcym.

- Dziękuję. Jesteś Beth, prawda?

- Tak, milordzie.

Szybko uciekł do swojego pokoju. I tam zrozumiał, że już podjął dwie ważne decyzje. Co do swojego małżeństwa i co do przyszłości Nan.

- Nie wiem, kochanie - doleciał go smutny, zmęczony głos Christy. - Obiecuję ci jednak, że będziesz miała dobrą opiekę.

Uderzyło go wahanie w jej głosie. Czyżby Christy nie była pewna, czy uda jej się dotrzymać obietnicy?

Głos dziecka zabrzmiał zbyt cicho, by mógł wyłowić słowa. Ale to była Nan, jego siostra.

- Rozumiem, że to wydaje ci się dziwne. Ja też nie za dobrze tu pasuję.

Julian z całej siły zacisnął dłoń na framudze. Tymczasem Nan znów coś odpowiedziała.

- Och, nie, Nan! Nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli pojeździsz!

Podszłuchał już dość, pchnął więc drzwi i wszedł.

Jego stary koń na biegunach stał na środku pokoju. Nan wyraźnie chciała z niego zsiąść, a Christy próbowała ją odwieść od tego zamiaru. Jego widok wprawił jednak małą w prawdziwe przerażenie. Niezgrabnie zsunęła się z konia i stanęła sztywno ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Poczuł się nieudolny i całkowicie bezużyteczny. Co mógł powiedzieć swojej siostrze? I co miał powiedzieć Christy?

- Trzeba było po mnie posłać, milordzie - odezwała się Christy.

- Chciałem zobaczyć was razem. - Przeniósł wzrok na siostrę, która wciąż stała w tej samej pozycji. - Dzień dobry, Nan.

Tym razem usłyszał w odpowiedzi jakieś bąknięcie.

- Przeszkodziłem ci w jeździe na koniu? - spytał ostrożnie.

Nan w milczeniu pokręciła ciemną główką.

Popatrzył na zabawkę. Był o rok młodszy od Nan, kiedy ojciec Twigga zrobił mu tego konia. Julian nazwał go Starlight od strzałki, jaką koń miał na drewnianym pysku. Teraz farba na srokaczu była już w wielu miejscach zdrapana, gdzieś kawałki drewna zostały odłupane. Nic dziwnego. Julian dobrze wiedział, że we wspaniałym skórzanym siodle galopowało po nim jeszcze czworo innych jeźdźców. Kiedy był w wieku Nan, wierzył, że ten koń jest całkiem prawdziwy, tylko rzucono na niego czar i zamieniono go w zabawkę.

- Wiesz, Nan, ja nazywałem tego konia Starlight - powiedział, głaszcząc drewniane zwierzę po karku.

Przez chwilę panowało milczenie.

- To on jest milorda? - spytała cicho Nan.

Trudne pytanie.

- Niezupełnie. - Tak samo jak Amberley, które przecież nie należało tak naprawdę tylko do niego. Może w istocie był tu jedynie zarządcą? Starlight przechodził w ręce kolejnych dzieci, a Julian miał nadzieję, że również rodzinną posiadłość przekaze któregoś dnia w ręce syna.

Rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok padł na arkę Noego ustawioną na niskim stoliku. Zwierzęta posłusznie stały parami w kolejce do korabia, pilnowane przez Noego, jego żonę i ich synów. Tylko lew na czele pochodu był samotny. Lwica leżała zapomniana pod stolikiem.

Przykląkł obok stolika i wyciągnął rękę.

- Chodź tu, Nan, popatrz.

Dziewczynka zbliżyła się z wahaniem.

- Tę zabawkę - powiedział - zrobiono dla naszego dziadka.

Usłyszał głośny oddech Christy. Niewątpliwie ją zaskoczył.

W tej chwili jednak najważniejsze dla niego było, by wytłumaczyć coś temu dziecku.

- Dla pana pradziadka?

- Tak. I twojego też. - Głęboko odetchnął. - Nawet go pamiętam, chociaż słabo. Był już bardzo stary, ale po kolacji przynosił mi arkę do biblioteki. Mówił, że nasz ojciec, twój i mój, też bardzo lubił się nią bawić.

Julian spróbował wziąć Nan za rękę. Spojrzała na niego z dużym zdziwieniem.

Jak, do licha, miał wyjaśnić dziecku coś tak trudnego? Postanowił spróbować.

- Widzisz, Nan, kiedyś twoja mama i nasz ojciec byli oboje bardzo smutni i zostali przyjaciółmi. Twoja mama była bardzo dobra dla naszego ojca i urodziła ciebie. Zawsze o tym wiedziałem, ale twoja mama chciała, żebyś mieszkała z nią i oczywiście miała do tego prawo. Tak powinno być. Teraz jednak...

Urwał. Z oczu Nan płynęły łzy, a i jego ścisnęło w gardle. Znalazł w kieszeni chustkę, ostrożnie wytarł dziewczynce oczy i pomógł wydmuchać nos.

- Niektórzy ludzie uważają, że twoi rodzice źle robili, bo ojciec miał swoją żonę, a mama swojego męża. Ale to było dawno i nie ma w tym twojej winy. W każdym razie jesteś moją siostrą, przyrodnią siostrą, tak samo jak Emma i Lissy. A Davy i Matthew są moimi przyrodnimi braćmi. Wszyscy mieliśmy tego samego ojca.

Nie odważył się spojrzeć na Christy. Kilka dni temu powiedziała mu, że go kocha, a on to zlekceważył. Sprowadził jej dar do fizycznej rozkoszy. A wszystko przez to, że jej szczerość i uczciwość po prostu go przerażały.

Tak samo łatwiej i bezpieczniej byłoby oddać Nan na wychowanie rodzinie Jane. Tyle że nie była to droga uczciwa. Wiedział, że podjął trudną decyzję, bo zawsze znajdują się ludzie, którzy go za nią potępiają. Był jednak zdecydowany zaopiekować się swoją siostrą.

- Podobnie jest z tymi zabawkami, Nan - ciągnął. - Niektóre zrobiono dla mnie, inne dla mojego ojca i ciotek. Nikt nigdy nie protestował, jeśli bawiły się nimi również inne dzieci. Po prostu ich miejsce jest w tym pokoju. Na pewno będziesz tu często spotykać Davy'ego, a za rok, może trochę więcej pewnie przybędzie następne dziecko. - Zaryzykował spojrzenie na Christy, ale odwrócona do niego plecami, składała jakieś ubra-

nia w koszu. Znów zwrócił się do Nan. - Może więc będziesz musiała dzielić się tymi zabawkami, ale mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza. Możesz się nimi bawić tak długo, jak chcesz, ponieważ twoje miejsce jest teraz w tym domu, tak samo jak tych zabawek.

Nan nie odpowiedziała, ale uwolniła rękę z jego uścisku, pochyliła się i podniosła zagubioną lwicę. Pieczołowicie ustawiła figurkę dokładnie przy lwie.

- Dobrze - powiedział Julian. - Razem będą szczęśliwsi. - Zdawał sobie sprawę z tego, że Christy odwróciła się i uważnie ich obserwuje. - Biedny stary Rex pewnie czuł się bez niej samotny. Teraz będzie mu łatwiej, lwica wskaże mu drogę.

Spojrzał w oczy Christy.

- Chodź - rzekł i wyprowadził ją na korytarz. - Czasem trudno jest nam dostrzec to, co jest tuż przed naszymi oczami - odezwał się, gdy zostali sami.

Christy bała się głośniej odetchnąć. Julian wydawał się zajmować całą przestrzeń. Czowała jego męski zapach z nutą sandałowego drewna. I pamiętała delikatny dotyk.

- Christy?

Błado się uśmiechnęła. Bo przecież Braybrook przyznał, że to ona pokazała mu, jak należy postąpić z Nan. A wyboru dokonał z potrzeby serca, nie dlatego, by się jej przypodobać. Po prostu naprawdę jej słuchał i pod wpływem jej argumentów zmienił decyzję. Na pewno darzył ją szacunkiem.

Ujął ją za rękę tak, jakby trzymał coś wyjątkowo cennego.

- Co było ci tak trudno dostrzec? - spytała z wahaniem. Uniósł jej dłoń do ust i pocałował w miejscu, gdzie palce

Christy zdobiła ciężka obrączka.

- Ten cytat. Dopiero ty wczoraj zwróciłaś mi na niego uwagę. Aż musiałem go odszukać.

Trudno jej było sobie wyobrazić Braybrooka wertującego Biblię w poszukiwaniu wskazówki.

- Święty Paweł miał wyrobiony pogląd na temat miłości, prawda? - odezwał się ponownie. - W świetle tego cytatu nie było dla mnie żadnego usprawiedliwienia. Nie

miałem odwagi, by wyznać własne uczucia. Co gorsza, nie miałem również najmniejszego prawa, by umniejszać i lekceważyć twoje.

- Wyznać uczucia? - powtórzyła, nie mogąc w to uwierzyć. Objął ją czule, dając jej ciepło i pewność, że jest bezpieczna.

I to on pierwszy westchnął, gdy wtuliła się w jego objęcia.

- Tak. Dużo czasu i wysiłku poświęciłem na to, by przekonać się, że mam wiele racjonalnych powodów, by cię pragnąć i poślubić. Pożądanie, obowiązek, honor. - Pocałował ją delikatnie. - W końcu jednak musiałem przyznać, że jestem głupcem. Pożądałem cię, oczywiście, ale było też coś znacznie ważniejszego. - Urwał, chcąc znaleźć jak najwłaściwsze słowa. - Zależy mi na tym, żebyś o mnie dobrze myślała, zależy mi na tobie i zupełnie mnie nie obchodzi, jakie masz pochodzenie, chyba że ktoś z tego powodu cię obraża. Wczoraj, kiedy zrozumiałem, jak niewiele brakowało, bym cię stracił... - objął ją mocniej - wpadłem w przerażenie. - Troszkę ją od siebie odsunął i spojrzał jej w oczy. - Powiedz mi, że nie jest za późno, kochanie. Powiedz mi, że wciąż mnie kochasz.

- Tak, kocham cię - szepnęła. - Nawet bardzo. Chciałabym tylko... - Głos jej się załamał.

- Czego byś chciała, kochanie?

Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Chciałabym... być inaczej urodzona.

Położył jej palec na wargach.

- Nie miej takiego pragnienia - powiedział cicho. - Nie chciej być nikim innym niż sobą. Bo jesteś kobietą, którą kocham i którą zawsze będę kochał.

Korytarz, w którym stała, nagle znikł za mgłą. Julian ujął jej twarz w dłonie, zdjął jej okulary i wsunął je do kieszeni.

- Dałaś mi te słowa, a ja nie miałem odwagi ich przyjąć, a tym bardziej odwzajemnić. I tylko cię zraniłem. - Zaczął okrywać pocałunkami jej oczy i policzki, chwytając wargami łzy toczące się po policzkach. - Nie jestem wart tych łez - szepnął.

Uśmiechnęła się.

- Nawet jeśli są to łzy szczęścia?

- Nie chcę być już powodem twojego płaczu.

Znów popłynęły łzy, ale przez tę mgłę radości Christy widziała świat bez granic, który nagle odzyskał barwy. Był pełen tajemnic i niezbadanych ścieżek, zapewne również nie wolny od smutków, niebezpieczeństw i pułapek, ale należał do nich i mogli go poznawać. Razem.



TLR